ANDRZEJ STRUG

PORTRET
GAŁĄZKA JEMIOŁY

EDIZIONI "LA RONDINE"
RZYM 1947

PORTRET

GAŁĄZKA JEMIOŁY

ANDRZEJ STRUG

PORTRET

GAŁĄZKA JEMIOŁY

Bronisław Mazowiecki
Łomża, 1996 r.

EDIZIONI "LA RONDINE"
RZYM 1947

PRINTED IN ITALY

O. G. I. - Officine Grafiche Italiane - Via Cesena, 14 - Roma - Tel. 767166

OD WYDAWCY

„Portret" powstał jako ułamkowe odbicie rewolucji 1905 r. w całkowicie obcej jej psychice artysty malarza, na poły dekadenta ze schyłku zeszłego wieku. Nie szukajmy przeto w tej powieści ani realizmu zdarzeń, ani historycznych refleksji. Odnajdźmy w niej natomiast, w postaci bohaterskiej Kory, tętniący krwią łącznik wszystkich walczących o wolność pokoleń. W każdej bowiem generacji polskiej wykuwano typ bohaterki — swój, odmienny, a przecież wspólny w poświęceniu całkowitym.

Kora — symbol — przepełnia całą opowieść drugą, p. t. „Gałązka Jemioły". Motyw portretu à la Wilde jest jedynie tłem jakże słabych przeżyć estetycznych, wobec przeżyć miłości i śmierci, właściwych mistrzyń sztuki.

Opowiadanie składa się z trzech części, z których ostatniej p.t. „Ślady na śniegu", związanej już luźniej z bohaterką nie przedrukowujemy, ograniczając się do dwóch pierwszych. Stanowią one zamkniętą całość w tematyce przeżyć dziewczyny, biorącej udział w „akcji", jakbyśmy powiedzieli dzisiaj, akcji z której wyjść nie można. Pragniemy też w ten sposób nie przesłonić niczym wspaniałego hołdu, jaki wielki pisarz złożył wszystkim bezimiennym bohaterom — wszystkich powstań polskich.

P O R T R E T

Niepokój Siewierskiego stawał się coraz bardziej nieznośnym. Po przebyciu granicy był to naturalny u nerwowca nastrój — po paru latach tułactwa, w chwili powrotu na stare miejsca, gdzie tyle się przeżyło. Była ciekawość, jak tam będzie, tam, gdzie zostało dawne życie, ślady i pamiątki ciężkich przejść, cierpień, obłędu, konania, tych czasów najgorszych i najlepszych. Nie wrócą czasy, ani uczucia, ale ożyją wspomnienia, powrócą obrazy, znajome miejsca, znajomi ludzie. Odezwie się w uszach znajomy i rodzony, tak ukochany niegdyś gwar Warszawy. Za parę godzin, jeszcze dziś wieczorem, roztworzy okno w swojej pracowni — wieży, spojrzy z góry na mroki i światła i wsłucha się w głuchy gwar miasta. Jakim słowem powita go rodzone miasto? Czyje imię usłyszy w zmieszanym nurcie odgłosów, płynących z dołu od rojnych ulic? Tych ulic, gdzie niegdyś i ona...

A kiedy jego pociąg ruszył ze Skierniewic, kie-

dy już wiedział, że nie zatrzyma się, aż w środku miasta, porwał go strach. Pożałował po niewczasie, że porzucił samowolnie, bez żadnej przyczyny ów Paryż ukochany, gdzie było spokojnie, dobrze, martwo, gdzie było słodkie z dnia na dzień. Tam można było żyć, tam zabliźniały się krwawiące, żywe rany.

Porwał go strach przed tym starym, przeokropnym bólem. Na mgnienie oka szarpnął się w nim dawny ból w całej swojej mocy. Dał mu znak, że żyje, istnieje w utajeniu, w pozornej martwocie, ale czeka, czyha, grozi.

Wyjrzało i coś gorszego od bólu. Było to widmo ponurej, beznadziejnej tajemnicy. Otworzył się odmęt, pełen skłębionych, gorączkowych snów, gdzie poczwary bez imienia miotały się, jak w ogniu piekielnym. Od razu zmąciło się w głowie. Na jednym włosku zawisło wszystko. Za jedną sekundę odsłoni się okropna tajemnica. Coś się powtórzy jeszcze raz — coś, co już było... Było? Nie umie się tego uchwycić myśl — ześlizguje się, jak z gładkiej, potwornie zwinnej gadziny i gdzieś tonie, w czymś gęstym, lepkim, obrzydliwym.

Ale moment przeleciał bez śladu, jak przyszedł bez przyczyny. Rozchmurzyło się czoło, rozprostował się przykry skurcz w twarzy (obserwowała te rzeczy z pewnym niepokojem pani, siedząca naprzeciwko niego po drugiej stronie okna). Oczy, które przed chwilą były na chwilę przerażająco błędne i bezmyślne, zaczęły widzieć.

Po raz pierwszy spostrzegł przelatujące za szybą pola, lasy, wioski i po raz pierwszy ucieszył się trochę —że znowu jest w kraju. Smutnym, zatroskanym uśmiechem przemówiła do niego ziemia. Powitała go, jak stara matka niedobrego, obojętnego syna, który długie lata zajęty swoimi sprawami ani pomyślał o niej.

Zapatrzył się na smętny niemalowniczy podwarszawski krajobraz, który mknął i mknął w dal jednostajny, pusty, zimny i wilgotny w tym niepewnym poranku późnej jesieni. W duszy na wpół otwierało mu się coś i przymykało, nie dając się rozeznać i ująć. Czyniło się dobrze, smutno, rzewnie, to znów ulękła się dusza wzruszenia. Nie chciało się cierpieć, nie chciało się niczemu radować.

Siewierski chciał, żeby było zwyczajnie, właśnie tak, jak gdyby się nic nadzwyczajnego nie stało. Przed trzema laty pojechał do Paryża, bo chciał — a po trzech latach wraca, bo tak mu się spodobało. I tam malował i tu będzie malował. Różnie tam bywało w życiu i różnie jeszcze będzie. A czy wówczas, czy teraz, czy w Paryżu, czy w Warszawie — w istocie wszystko mu jedno. Żywi żyją, jak chcą, mogą i potrafią — a zmarłym wieczne odpoczywanie.

I zaczął pakować do walizy rozrzucone książki i pisma, których zresztą nie czytał w drodze. Ręce mu lekko drżały.

Kiedy szedł w tłoku za swoim tragarzem, kie-

dy czekał na wydanie bagażu, wpadł jakby w drzemanie. Ocknął się w chwili, kiedy trzeba było wsiadać do dorożki. Obrócił się nagle i obejrzał się kilkakrotnie. Zdawało mu się, że się przemknął ktoś znajomy, a raczej coś znajomego. Kazał tedy dorożkarzowi odjechać na bok i zaczekać, a sam pobiegł szybko ku bocznemu wyjazdowi od ulicy Chmielnej i, śpiesząc się, szukał czegoś wśród pokrzyżowanych uliczek.

Wynalazł wreszcie na Zielnej pewien dom. Dom był zwyczajny, warszawski. Stróż zamiatał, zagarniając do pół ulicy wielkim mietliskiem. Siewierski drgnął — stróż był ten sam. Nic się nie zmienił przez te trzy lata — tylko kożuch miał nowy. Niezmiernie chciało mu się ze stróżem pogadać, niezmiernie bał się, że go stróż może poznać i zaczepić. Odszedł chyłkiem z powrotem, nie odważywszy się spojrzeć w ostatnie lewe okno na trzecim piętrze.

Pracownię i mieszkanie swoje zastał nadspodziewanie w zupełnym porządku. Długo opowiadali mu stróż ze stróżką o codziennym przez trzy lata sprzątaniu, długo radowali się z jego przyjazdu, przyszły na tę uroczystość nawet wszystko czworo dzieci stróżowych, które przez ten czas podrosły i pobrzydły. Dziękował, mówił z ożywieniem, rozpytywał i wyprawił całą czeredę porozdawawszy wszystkim paryskie gościńce, kupione po drodze w Krakowie.

Stanął w oknie pracowni i zapatrzył się na miasto. Wieże, kominy, dachy, lśniące od wilgoci, a z dołu znajomy gwar ludzkiego życia. Odgłos sudzych trosk, uciech, mozolnych zabiegów, mętna monotonna symfonia powszedniego dnia za tym razem, w tej pierwszej chwili uderzyła mu w duszę czymś odmiennym, przenikliwym, nowym. Coś tu zastaje, czego nie było przedtem. W szarzyźnie stłumionego zgiełku odzywał się miarowo, rytmicznie czyjś jakby jęk, jakby niewymowna czyjaś skarga, która tonie w tłumie obojętnego na wszystko życia, ginie i wynurza się znowu. Jakieś wielkie nieszczęście staje się między ludźmi, którzy ocierają się o nie, potrącają je, depczą a nie widzą. Łka i zanosi się w płaczu jakaś nadludzka istota, która czuje za wszystkich, czuwa za wszystkich i za wszystkich pamięta. Jęszy przenikliwie jej tajemniczy głos, podnosi się i opada, gaśnie, milczy — za chwilę znowu odżyje. Płacze tak od wieku, płakać będzie jeszcze długo, długo przez pokolenia. A ludzie? Siewierski był pewien, że on jeden to słyszy i rozumie.

Chodził po pracowni, grzał się przed kominkiem, krzątał się, poodwracał od ściany obrazy, stare kartony i szkice, pootwierał wielkie teki, jakby czegoś szukając. Ale nie chodziło mu o nic, nie zależało mu na niczym. Kręcił się tak sobie, jak zwykle w pierwszej chwili po przyjeździe. Nie było mu ani źle, ani dobrze. Nie bardzo był ciekawy miasta i znajomych i jeszcze niezupełnie uświadamiał sobie, że naprawdę już przyjechał, że

realnie i we własnej osobie stanął w Warszawie. W tej samej Warszawie.

Nagle zerwał się na równe nogi, a wielka teka wysunęła mu się z rąk na ziemię i dyskretnie zamknęła się sama. Zimno uderzyło mu na twarz, bolesny skurcz chwycił go za gardło i dusił. Jak niegdyś.

Był to zaledwie zarysowany szkic. Kilka pociągnięć węglem, zatoczonych z zamachem i rutyną majstra. Grube, rwące się linie konturu otaczały pustą przestrzeń.

Z pustego miejsca spojrzały weń czyjeś oczy.

Z tydzień minął, a Siewierski nie zdecydował się wyjść z domu. W ciągu tych dni wciąż był zajęty. Przeczytał od jednego zamachu kilka tomów książek, które zabrał był na drogę. Czytał jedną po drugiej, bez żadnego wyboru i z jednakowym zajęciem. Siedział do późnej nocy, spał do południa. Potem schodził mu czas na chodzeniu od kąta do kąta i na rozmyślaniach, w których brak było jakiejkolwiek wyraźniejszej treści.

Czynił przygotowania do przyszłej pracy, zarysował węglem wszystkie kartony, jakie miał w zapasie i nawet odwrotne strony starych szkiców. Ta przyszła praca pozostała mu jednak niewiadomą. Mazał i rozmazywał jakieś nieuchwytne motywy jakieś spotworniałe w przepychu niebywałe kwiaty, zarysy witrażów, wystylizowywał wstęgi płomienia, spoglądając w ogień na kominku, i do-

rabiał jak najfantastyczniejsze kłęby dymu. Chwilami odrywał się od pracy i nadsłuchiwał. Podczas rozmyślań wśród ciszy nocnej stawał jak wryty pośrodku pokoju i słuchał. Zrywał się nawet po nocy i długo nie mógł sobie przypomnieć, gdzie jest. Towarzyszyło temu zupełnie wyraźne wrażenie, że ktoś niewiadomy zbudził go ze snu.

Właściwie wciąż na coś czekał. Niby to miał ktoś przyjść. Może będzie to pewien ważny, najważniejszy w życiu list. Tak, to ma być jakaś niesłychana wiadomość. Coś niepokojącego błądziło wśród gwaru ulicy, stawało za jego progiem, czaiło się, wahało. Coś nad nim wisiało na włosku. Miało się to stać samo przez się, ale przekonał się w ciągu tych dni, że właściwie po to umyślnie aż tu przyjechał. Czekał zatem i czekał.

Doczekał się, że nareszcie ktoś zadzwonił. Od razu uczynił postanowienie, że zapanuje nad sobą. Przybrał wyraz pogardliwy i lekceważący, powtórzył sobie jeszcze raz, że nic nadzwyczajnego żadną miarą stać się nie może. Ale zbladł w niepohamowanej, przesądnej obawie i ręce mu osłabły, kiedy otwierał drzwi.

Było to wszystko niepotrzebne. We drzwiach stał najzwyczajniej w świecie jeno „Prycza'', czyli Kostek Prycznicki. Siewierski ucieszył się niezmiernie z najszczerszego serca. Chwała Bogu — nic się nie stało! O Pryczy nie pomyślał ani razu od czasu, jak się rozstali przed trzema laty, ale właśnie jego mu było potrzeba.

Kolega był zdumiony i rozczulony niebywale serdecznym powitaniem. W pierwszej chwili nawet bał się zaryzykować i uwierzyć w te wybuchy. Przypuszczał jakiś kawał, a nawet zląkł się, że Siewierski może znowu ma swoje napady. — Licho tam wie takiego — myślał — ale był miły jak anioł, a gadał jak młyn. — Jeszcze wczoraj wspominaliśmy cię u Żaby — bo widzisz, my już nie siedzimy u Kroczyńskiego. Stosunki się zmieniły, napchało się tam Żydów i oficerów, a zresztą były pewne nieprzyjemności. Teraz jesteśmy u Żaby — Żabusiewicz, na placu Teatralnym, pierwszorzędny punkt i co najmniej drugorzędna firma. Bosko się tam żyje, przemiły nastrój, nas wyróżniają, no i kredyt. A więc kiedyś przyjechał, zabieram cię i jazda do Żaby, do naszych! Oblejemy ten interes.

— Powoli, Prycza, najpierw opowiadaj wszystko od początku, a następnie, w co ty tam teraz wierzysz, bo ja nie erudyta, kawy sobie uwarzymy w pracowni — jest ogień na kominie. Ogromnie się z ciebie cieszę...

— To każ przynieść od Lija Grand Marnier, ale Gordon Rouge, chociaż... Poczekaj! Napiszę na kartce. Niech będzie za tym razem Prunelle. Crême de Prunelle, rektyfikacji w Dijon. W kamionce!

— Pisz jedno i drugie...

— Co znowu? Tego się razem nigdy nie miesza. Jeżeli Prunelle, to niech już będzie na drugie Cherry Brandy — widzisz, ja to wolę, a tobie wszystko jedno.

Pili i rozmawiali do późnego wieczora. Prycza był w siódmym niebie i opowiadał, jak za najlepszych swoich czasów. Siewierski śmiał się, jak wariat. Męczyło go to, kaszlał, dusił się, bo od zbyt dawna już się nie śmiał. Picie nie działało na niego zupełnie, ale radował się głęboko, z wdzięcznością, że świat, ludzie i życie istnieją, jak istniały. Cieszył się, jak gdyby odzyskał wzrok i po wielu latach ślepoty ujrzał znowu obraz życia. Życie jest, bo istnieje na przykład wszędzie na świecie taki oberwus i psi syn, czyli ukochana Prycza, bo Warszawa stoi na swoim miejscu, bo obok wielkich i ponurych zjawisk istnieją i rzeczy drobne, codzienne, szare, głupie i strasznie miłe. A na tych rzeczach właśnie stoi świat.

Prycza gadał o tych małych sprawach z dowcipem i humorem człeczyny, który ze wszystkiego sobie kpi i którego najmniej obchodzi własna osoba. Nie miał żadnych tajemnic, nie wstydził się niczego, nie żałował niczego, nie szanował nikogo i niczego nie pragnął, prócz pustego życia z dnia na dzień, jeno pod warunkiem, żeby w każdym dniu była co najmniej jedna kobieta, mniejsza o to jaka, i co najmniej parę butelek, co do których był wybredny. Ażeby to mieć na codzień, codziennie trochę malował i to nawet zupełnie przyzwoicie. W opinii uchodził za wielki, beznadziejnie zmarnowany talent i nic sobie z tego nie robił.

— ...Paryż — dobry i Paryż na iakiś czas. Nabyłem się tam i nikt by mnie już tam po raz drugi

nie napędził. Dopiero w Warszawie żyć nie umierać! Dobrześ zroził, żeś wrócił. Będą cię tu szkalować, bo o tobie za głośno, ale to przecie tym przyjemniej. Nasi od Żaby zawsze cię przygarną, bo my żyjemy dla siebie, a nie dla tam jakiejś kariery. Nie chodź, Siewier, do tamtych draniaszków. Oni wyprawią ci ucztę powitalną, nagadają ci komplementów, potem urządzą jakąś zbiorową wystawę ruchomą po prowincji, czy tam po Rosji, czy po Kalifornii, obiorą cię prezesem, pokryjesz wszystkie deficyty, a ci przez cały czas będą cię obgadywać i szarpać. No, i napożyczają od ciebie floty — po naszemu. Bydełko. A u nas wszystko zostało po staremu po monachijsku.

Wszystko nam jedno, czyś sławny czy nie i czyś tam na tę sławę zasłużył. Nabierze cię jeden, drugi, może i trzeci, a może nawet wszyscy (i ja!) — ale na dziesięć, dwadzieścia rubli i po bratersku, szczerze, bez żadnego słowa honoru. Będziesz sobie siedział u Żaby, jak król — bo my tam co do jednego króle, nawet Gazik jest król, choć kretyn, bo u nas każdy ma święte prawo być czym chce, byleby kanalia nie blagował. Kiedyś pijak, to pij, kiedyś abstynent — masz wodę sodową, kiedyś kobieciarz, to się puszczaj, kiedy już nie możesz, to też to każdy uszanuje, bylebyś nie opowiadał o swoich herkulesowych czynach. Masz talent — to go masz — robisz kicze, to rób na zdrowie i nic do tego komu. U nas się o sztuce nie mówi, bo my ludzie poważni.

— A co robi Gasparski?

— Gasparski robi to, co zawsze. Przeczyszcza cygarniczkę, odziedziczoną po dziadku, która jest zapchana od czasu powstania listopadowego i nie chce ciągnąć, pomimo tylu przewrotów dziejowych.

— Oczywiście! Widzę go, ale jakże mu tam idzie?...

— Reszta mnie nie obchodzi. Ja się nie wdaję w szczegóły. Zresztą, jeżeli chcesz — rozwiódł się z żoną, dostał pierwszą nagrodę 125 rubli na konkursie „Pszczoły'', wygrał w lipcu na loterii Pogotowia w ogrodzie Saskim żywą świnię — ale i to wszystko nie przepchało cygarniczki.

— Maluje dużo?

— Maluje dużo, wystawia, sprzedaje, stworzył nawet własną szkołę, ale cóż, kiedy ta cygarniczka...

— A Koturn?

— Kolega Mielczyk wciąż jeszcze nie znalazł i wciąż jeszcze szuka.

— Czego?

— Zapominasz o przyjaciołach. Czegóż może poszukiwać Koturn?

— No, dalej tam! Co za kawały, nic nie wiem — chyba coś nowego?

— Nie, to samo, Mielczyk jest fanatykiem. Ale żeby w Polsce tak trudno było o idealną stopę kobiecą...

— Aha! Jak to, wciąż to samo i jeszcze nic?

Czegóż on u diabła chce? Każdy rzeźbiarz znajdzie wszystko, czego mu tylko potrzeba. A jak nie znajdzie, niech wymyśli. Od tego jest sztuka...

— Nie rozumiem idei Koturna. Jaki tam z niego rzeźbiarz! Ale własnymi oczami zobaczyć tę idealną, wymarzoną stopę kobiecą, no, powiedzmy całą nogę. Rzucić okiem, niechby tam wreszcie ucałować. A to znaczy uwierzyć w cud, ująć w rękę swoją chimerę. Mówisz, że w Polsce są piękne nóżki — może to i prawda, samemu zdarzało mi się to i owo sprawdzić, ale ja nie bardzom przebierny, bo ja się tylko puszczam, a on z tej niebywałej stopy uczynił świętość. Czego on nie zniósł, czego nie przedsiębrał! Przecie to czterdziestoletnie pachołę! Czysty, niewinny, wstydliwy. — Musi udawać lowelasa, uwodzić mężatki, panny, choć uważa to za świństwo. Bo jakże tu do tej stopy. Nie możnaż powiedzieć po prostu: Proszę pani — jako artysta i w imieniu czystej sztuki, proszę o zdjęcie pantofelka i pończoszki...

Trzeba się głęboko pogrążyć w komedie miłosne. To ciężka praca. A rzecz byłaby najłatwiejszą w świecie, gdyby chłopu chodziło o samą rzecz, czyli o kształt. Ale gdzie tam...

— No, a co?

— Mówiłem: tu się kryje idea. Wiesz, że ja tam zawsze mam kupę dziewczyn — każda ma po dwie nogi, więc też patrzę. Przyprowadzam mu raz prześliczną taką Staśkę. Widzę, zły, odwraca się do ściany, nie chce gadać. A kiedy, na nic nie

zważając, pokazała obie nogi (rozumie się, zdjęła ze siebie wszystko, no, mówię ci, Wenus!), Koturn spojrzał spode łba i orzekł: Panna jest cudownie zbudowana i stopę ma prześliczną, ale idealną stopę może mieć tylko kobieta czysta. Staśka się obraziła, rozwarła jadaczkę po warszawsku, jak to one potrafią. A on do mnie: też z ciebie cham. Nie rozumiesz, że piękno, to coś więcej, jak burdel. Niezmiernie fałszywe i niezmiernie głębokie słowa. Niezmiernie szanuję kolegę Mielczaka.

— No a ty? Jak się czujesz?

— Nie ma większego szczęścia, jak być Pryczą. Daj ci Boże, żebyś i ty kiedyś doszedł do tego samego.

— Głęboka racja, mówię zupełnie serio. I dziękuję ci za dobre słowo. A floty ci nie potrzeba?

— Floty mi nigdy nie potrzeba, teraz zaś muszę zapłacić za pracownię i w tym celu do ciebie przyszedłem, bo mi z Paryża pisali, żeś podobno wyjechał. Lubię cię i kto wie nawet, czy nie kocham, ale interes interesem. Czasami też trzeba być na serio.

— Ależ owszem, droga Pryczo. Ile tylko chcesz.

— Nigdy nie chcę więcej, niż mi na razie potrzeba. Ale — wiesz? Dopytuje się tu chwilami o ciebie pani Narcyza.

— A gdzież ty ją widujesz? Może i ona już wysiaduje u tego Żaby.

— Co znowu! Taka hrabina! Ona tylko tole-

ruje sztukę i czasami, jak ją spotykam na ulicy, zaczepi mnie i od niechcenia spyta o ciebie. Była w Paryżu. Nie widzieliście się?

— Nie.

Z tonu odpowiedzi wyczuł kolega Prycznicki, że się wybrał nie w porę z panią Narcyzą, więc zaczął się żegnać, tym bardziej, że obie butelki były puste. Z prostotą przypomniał o pożyczce, wziął tyle, wiele mu było potrzeba na komorne i poszedł, a chociaż go nikt nie zapraszał, obiecał przychodzić częściej.

Siewierski odprowadził go do drzwi, pożegnał najserdeczniej i zapomniał natychmiast o jego istnieniu i o wszystkim, co mówił. Przez chwilę jeszcze plątała się mu w myślach cudna pani Narcyza. Przebiegły mu przez pierś łaskotliwe płomyczki — jak niegdyś. Uśmiechnął się smutnie. Ziewnął i zasiadł na całą noc do czytania. Wyciągnął z półki, nie patrząc, pierwszą lepszą książkę, otworzył ją na chybił trafił i zaczął czytać od środka.

Po godzinie oderwał wzrok od książki i, nie odwracając głowy, bystro i groźnie spojrzał w bok, w ciemny kąt pracowni, gdzie stała otomana, zarzucona perskim dywanem. Coś mu się w przykry sposób przypomniało.

Zerwał się, zgasił światło i po omacku, po ciemnych schodach zeszedł na swoje piętro do mieszkania. W ciągu drogi bał się ciemności. Bał się swoich myśli po ciemku.

A kiedy się znalazł u siebie, puścił wszystkie

światła w całym mieszkaniu i zabrał się do czytania jakiejś drugiej książki. Zrobiło mu się trochę pusto i nudno. Zachciało mu się gwałtownie stać w tej chwili na moście Sekwany pod Nôtre Dame i patrzeć w czarną głębię. Spostrzegł, że naprawdę wyjechał z Paryża. Uczynił to niepotrzebnie, bo przecież nic się nie stało. Gdyby coś miało być — nie czułby w sobie tej pustki, która już zaczynała boleć...

Gdzieś tuż stoi znajome widmo. A tam głęboko w piersiach już szarpie pazurami znajomy ból. Już się zbierają pod powiekami palące łzy. Pod naciskiem bólu, płuca rozdymają się i kurczą gwałtownie, niepowstrzymanie, coraz szybciej. Siewierski nie mógł uchwycić oddechu, dusił się, mocował się ze sobą. Wreszcie wydarły mu się z głębi piersi bolące, głuche łkania.

W ciągu tych pierwszych tygodni po powrocie wydawało mu się, że obudził się z jakiegoś letargu. Stopniowo, dzień za dniem, spostrzegał i przypominał sobie mnóstwo rzeczy, myśli, ludzi, zdarzeń. Już odróżniał w otaczającym go życiu rzeczy miłe i niemiłe; dotychczas, od niepamiętnych zda się czasów, było mu wszystko jednakowo obojętne. Zaczął bywać u Żaby, czytywał z pewnym zajęciem gazety, śmiał się z dowcipów, odpowiadał, kiedy go o co zapytano, ale przeważnie milczał. Przyglądał się ludziom z ciekawością.

Kompania postarzała, ale ani się dorobiła, ani

nabrała statku. Byli to już szpakowaci, ołysiali, ale zawsze jeszcze obiecujący młodzieńcy, którzy rozumowali i w ogóle zachowywali się tak, jak gdyby życie stanęło dla nich na roku dwudziestym i którymś i nie posuwało się dalej. Siewierskiemu było dobrze w atmosferze tej lekkomyślności. Nic tam dla nich nie było ważnego, ani pilnego, ani świętego. Kpili ze siebie nawzajem zjadliwie i w żywe oczy. Nikt tam nie potrafił nic ukryć; wszystkie sekrety były wspólne. Ani etykiety, ani tak zwanej etyki. Kompanijka składała się niby z ludzi przeciętnie uczciwych, ale plątał się tam stary aktorzyna, Czaprański, który przedstawiał się zwykle sam jako „Jan Czaprański znany szubrawiec''. Był to brudas cyniczny i otwarty, który za nic się nie obrażał z zasady. Ten znosił plotki i anegdoty ze świata teatralnego, a utrzymywał się z ułatwiania stosuneczków z aktorkami teatrów rządowych i prywatnych. Urzędował jednak w innej cukierni, a do Żaby przychodził tylko dla miłego towarzystwa i żeby odetchnąć raz na dzień, jak się wyrażał, uczciwą atmosferą. Mocno niepodrabianą szujowatością zalatywało i od reportera Michorewicza, który znowu znał wszystkie skandale i całą genealogię arystokracji warszawskiej, a po cichu uprawiał dobroduszny i niekosztowny szantażyk na osobach znakomitszych w towarzystwie. Reszta, byli to artyści lub eks-artyści i w przeważnej części starzy znajomi lub koledzy Siewierskiego.

Przyjęto go u Żaby z otwartymi rękami i traktowano z widocznym szacunkiem. Pomimo ustalonych w kompanii ultra wykolejeńczych zasad, Siewierski był to bądź co bądź głośny i uznany raz na zawsze artysta. Ten i ów gotował się wprawdzie zawczasu do przejechania się po tej sławie, ale na razie ujęła wszystkich czarująca prostota, z jaką „mistrz'' zasiadał w ich gronie i godził się bez najlżejszego skrzywienia, a nawet z widoczną niekłamaną radością na wszystko, co się tam działo.

W istocie, Siewierski zupełnie szczerze lubował się widokiem ludzi, dla których nie istniały żadne dramaty ani żadne bóle. Zastanawiał się nad tym, jacy też ci ludzie są tam gdzieś po swoich norach, sam na sam ze sobą. Obawiał się, że u Żaby odprawiają oni swoje oficjalne godziny filozoficzne, coś w rodzaju jakiegoś nabożeństwa, czy utwierdzenia w wierze, a poza tym dręczą się i, trapią i coś tam szanują — jak każdy. Cynizm ich uważał za najwyższą mądrość, do jakiej dojść może człowiek. Był zupełnie szczery, kiedy zazdrościł im i uważał się za niższego. Niestety, nie potrafił dostroić się wewnętrznie do ich poziomu. Uczył się dopiero i zdołał zaledwie ich naśladować. Ale postanowił się przemóc i przemagał się. Podawał rękę i zadawał się za pan brat z Czaprańskim i Michorewiczem, słuchał bez skrzywienia pornograficznych subtelności Pryczy lub opowiadań muzyka i kompozytora „de Kolpackiego'', grywającego po no-

cach w jakiejś norze — o tym, jak go zdradza własna żona, słuchał anegdot ze świata policyjnego, które znosił do Żaby stary dziadyga, eks-malarz, który z Matejką był na „ty'', a obecnie utrzymywany był przez zięcia, rewirowego w cyrkule nalewkowskim.

A ponieważ wszyscy tam byli trochę obdarci lub przynajmniej wyszarzani, więc nie chcąc nikogo razić ani urażać, idąc do Żaby ubierał się w „uniform'', czyli w najgorszy, jaki wynalazł, stary garnitur i wkładał odpowiedni do garnituru kapelusz.

W brudnej knajpie, w dobranym towarzystwie, gdzie jeden tylko „Koturn'' wraz ze swoją idealną stopą kobiecą zdawał się należeć do innego świata, Siewierski wypoczywał w spokoju i bezpieczeństwie. Tu go coś chroniło od napadów dawnej choroby. Tu mógł udawać, że kpi sobie i z siebie i ze wszystkiego. Tu jedynie mógł pijać i pił dużo, co pogrążało go na kilka godzin w miłej martwocie myśli.

Koniak i likiery po paru kieliszkach sprawiały mu wstręt, ale pił przez rozum, dążąc do tego błogosławionego stanu, kiedy nie czuł tuż za swoimi plecami strasznego jakiegoś widma. Tego się bał, od tego się bronił zapamiętale.

Chciał żyć. Za wszelką cenę chciał się wydobyć z ciasnej szczeliny, w którą osunął się, dążąc na swój „szczyt szczytów''. Szczyt zostanie niezdobyty, szczęścia nie będzie — niechże jednak los

da mu nareszcie powrócić z tej nieszczęsnej wyprawy na niziny.

Już nie będzie próbował po raz drugi. Połamany i obolały, niechże nareszcie zacznie wypoczywać — żyć.

Jeszcze nie wiedział, na co mu tego życia. Sztuka? Malował dużo, ale od paru już lat, od tamtego czasu nie żył sztuką. Nie widział przed sobą żadnej drogi. Chciał jednego: nie cierpieć i nie bać się bólu, który każdej chwili mógł przyjść niespodziewanie. Był, jak chory, który marzy tylko o jednym — żeby go nie bolało.

Po powrocie ani razu jeszcze nie przyszedł znajomy moment „logiczny''. Zbliżał się raz jeden, obudził go wczesnym rankiem. Ocknął się i od razu pomyślał: teraz. Ale przez niezbadane skojarzenie myśli stanął mu przed oczami obraz, a którym wyobraźnia jego od dawna już zapomniała ze szczętem.

Była to biała cela, twardy materac, dużo przenikliwego światła, naokoło miękka, poddająca się z łagodnym oporem, niezwalczona sznurowa sieć. To okropne widmo ostrzegło go. Zaczął natychmiast uważać to wszystko za sen. Brauning nabity jedną kulą spoczywał w komodzie i nie przyszło mu nawet do głowy zajrzeć do niego.

Pokochał kwiaty i malował je zapamiętale i bezmyślnie. Potym leciał do Żaby, wysiadywał godzinami wśród dymu, zgiełku, kawałów i pijackich

wywnętrzań i z tępym zamętem w głowie powracał do domu. Czytywał wiele, do późnej nocy i po nocach, z upodobaniem trzymał się niezmiernie starych roczników Biblioteki Warszawskiej, które od niepamiętnych czasów pleśniały w szafach. Spał twardo, jadał dużo i coraz mu było lepiej i spokojniej w tym drzemiącym i szarym trybie życia. Wkrótce zapomniał o tym, że dopiero co powrócił do Warszawy, oswoił się ze wszystkim i zdawało mu się, że nigdy nigdzie nie wyjeżdżał.

Pewnego razu opowiada Czaprański u Żaby kawał z niedawnych czasów:

— Idzie sobie raz taka socjalistyczna panna (wiadomo, co tam były za „panny''!). Idzie, a pod kiecką w wiadomym miejscu niesie bombkę. Idzie taka bombonierka, stąpa szeroko, ostrożnie — a naprzeciwko patrol.

Takim wariatkom oczywiście wszystko jedno: ciska tym interesem o ziemię. — Jak nie huknie! Poszarpało i ją i sołdatów. No, policja, wojsko i tak dalej, wszystko to dobrze pamiętamy.

Zaczynają salcesony zbierać — ale to, powiadam panom, wszystko — na kawałeczki. Tu sołdackie, tam panieńskie, tam na kupie jedno z drugim wraz, a tam już nie wiadomo ani co, ani czyje. I wyobraźcie sobie, co się stało. Co za genialny traf! Podnoszą taki jeden ochłap — słowo honoru daję, że nie łżę, w protokule zapisano w XIII cyrkule...

I stary aktor rżnięty przez pysk przewrócił się

razem z krzesłem. Siewierski nie spojrzał na nikogo, nie zapłacił, nie obejrzał się i poszedł.

Wciąż zapamiętale malował kwiaty. Trzy razy na tydzień przynoszono mu z kwiaciarni pęki nowalii, hodowanych w kraju, bądź sprowadzanych z zagranicy. Najrozmaitsze róże, kolosalne prawie goździki angielskie, czarne irysy, przepyszne, rozpasane aż do bezwstydu, orchideje.

Orchideje pozowały mu, kusząc i zatruwając go swoim piekielnym czarem. Kiedy badał i oddawał ich tajemnicze i rozkoszne kształty, potworną wybujałość ich nigdy nieprzewidzianych odchyleń, ich blade usta rozwarte, jak w szale rozkoszy i żywe, cieliste, jak żywe, gorące ciało, barwy — odzywały się w nim jakieś głęboko utajone, zagadkowe głosy, zdradzające w przenikliwym szeptaniu jakąś jego dawną tajemnicę. Dawne jego, to poprzednie umarłe życie przypominało się dyskretnie... Stamtąd to szły owe szeptania niby wstydliwe, niby obłudne.

Gdzieś z niezmiernej odległości sięgały do niego spojrzenia na wpół przymkniętych oczu. Patrzyły weń uparcie, zaglądały do zamkniętych głębin jego istoty, niepokoiły. Bywała w nich nieprzebrana dobroć i pokorne błaganie.

Zdarzało im się połyskiwać gniewem, okrucieństwem, niecierpliwym nakazem. Cudną była ich zła, przewrotna, udana dobroć. Porywający był ich szczery gniew.

Bił od orchidei gorący oddech, upajała ich ponadzmysłowa woń. Siewierski rozglądał się po sobie z podejrzliwą nieco radością — jeszcze się bał uwierzyć, że coś czuje, że zaczyna żyć.

Lekceważył w sobie te pierwsze, pospolite, ludzkie drgnienia, udawał, że nie rozumie ich prawdziwego znaczenia.

Jednak od tego dnia wyżej zaczął nosić głowę, a oczy, zgaszone od paru lat, nabrały znowu połysku. Ruchy stały się żywsze. Przepływały przez niego wrażenia, zadumy, zjawiały się wyraźne myśli, wreszcie chcenia.

Tak w samotności, pracując nad orchidejami, powracał do życia. Ogrodnik, zachwycony swoim rzadkim w Warszawie klientem, nasyłał mu skwapliwie, co tylko wynalazł najwspanialszego. Pracownia wyglądała, jak ogród zaczarowany.

Pewnego paranku obudził się z lekką głową, z niebywałą radosną ochotą do wszystkiego. Przywidziało mu się, że dzisiaj czeka go niechybnie coś nowego, coś miłego. Śpieszyło mu się na spotkanie tego szczęścia i żwawo zerwał się z łóżka. Ale wszedłszy do pracowni, uczuł, jak tylko przestąpił próg, że dzieje się z nim coś złego. Na głowie legł mu w jednej chwili ciężar, myśl zgasła i straszny, trujący ból przejął go na wskróś.

Dopiero po chwili oszołomienia odgadł i spostrzegł, co to było. Pracownię wypełniał mocny, przesłodki zapach kwiatów mimozy. W wazonie tkwiło kilka wielkich gałęzi, obsypanych kiściami

złocistego kwiatu. Bogaty, puszysty kwiat jaśniał w całej swojej krasie. Za podzinę stulą się, poskręcają się w suchym cieple przesubtelne, czułe pąki, ale w owej chwili, wśród pochmurnego, zimowego dnia, bukiet jaśniał, jak złoty promień słońca.

Oto szczęście dzisiejszego dnia...

Z nienawiścią wbił oczy w cudne kwiaty. Chwila szalonej furii — tej samej, która ciskała nim ongiś „tam”, kiedy go schwytano w sznurową sieć i oplątano. Zacisnął szczęki i z zawziętością, jak gdyby zabijał najgorszego wroga, porwał pęk gałązek i cisnął je w wesoło rozgorzały ogień.

Zasyczały w bólu, poskręcały się i w jednej chwili umarły. Siewierski stał przed ogniem, pilnując, aż dopalą się ostatnie resztki. Otworzył okno i wypoczywał w strugach mroźnego powietrza. Wypędzał duszący zapach, czekał ponuro, spokojnie, jak kat, aż uleci z ofiary ostatni dech życia.

Jego myśli stały się zimne, złe. Potrzeba mu było zemsty, upustu dla nagromadzonej ku czemuś, ku komuś zajadłości. Stał w miejscu i rozglądał się wokoło, jakby czegoś poszukując, jakby kogoś się radząc. Cóż uczynić?

Widział w dole pod sobą białą od śniegu ulicę i mrowie czarnych, ruchliwych ludzi. Tuż za oknem ośnieżone dachy, dymiące kominy, wieżę kościoła, wypiękniałą przez tę noc zadymki, ubraną w pasma śniegu na gzymsach, po załamkach. Ro-

zejrzał się po dwóch ścianach, zawieszonych obrazami.

Ze złą radością podszedł do sztalugi, na której było już wykończone wczoraj studium orchidei i długo wpatrywał się w swoje dzieło przenikliwym wzrokiem. Był zadowolony. Kwiaty dyszały niepokojem i trucizną. Takich kwiatów nie wydała natura i nie wytworzył ich jeszcze człowiek aż do takich granic. Mniejsza o to, są właśnie takie, jakimi być powinny.

Wziął za pędzel i czerwoną farbą położył datę i podpis. Zadzwonił i kazał wołać natychmiast ramiarza. Śpieszył się, niepokoił się i niezmiernie był z czegoś rad.

Kiedy przyszedł ramiarz, wybrał oprawę, kazał mu zabrać obraz i w trzy godziny skończyć robotę..

— Wiesz pan, że się nie targuję?

— Wiem, wiem, proszę, pana, musi być, bedzie gotowe.

— A odeśle pan natychmiast pod tym adresem. Będzie tu list. — Napisał bez namysłu parę wierszy, zalepił, zaadresował i kiedy ramiarz wyszedł, zabrawszy obraz, w jednej chwili uczuł rozkoszną ulgę.

Czekał wesoło, bez cienia niepokoju, ze złośliwą radością. Niczego się właściwie nie spodziewał, ale miło mu było, że się zdobył na czyn stanowczy. Teraz miał niezłomną pewność, że dobił wroga.

Chodził sobie po pracowni i bezładnie czynił różne dociekania nad własną osobą. Zdawało mu się, że całe jego życie wewnętrzne leży przed nim odsłonięte i wyraźne, jak szematyczny przekrój anatomiczny. Nareszcie wszystko zrozumiał. Spostrzegł, że choroba jego nie była żadnym nieuleczalnym nieszczęściem, tylko prostym (zapewne w pewnej mierze tragicznym) nieporozumieniem. Sam sobie winien. Bał się rozważać, nie ośmielił się nigdy dotknąć tego swojego dramatu zwyczajnie, jak się dotyka rzeczy zwyczajnej. Od dawna mógł już być w jego życiu ten dzień odrodzenia. Wystarczyło jednego porywu, jednego śmiałego gestu. Wszystko czynił, wszystkiego próbował, nie potrafił tylko być twardym.

Odtąd potrafi. Już go nic w życiu nie zaboli naprawdę. Będzie odważnym, brutalnym, bezczelnym. I sam na sam ze sobą znowu się będzie ze wszystkiego śmiał, jak to robił przedtem. Znowu będzie szczęśliwy, jak był, zanim...

W istocie już był tym szczęśliwym. Śmiał się, gadał sam do siebie, nucił jakieś melodie, wykonywał dziwne gesty, nawet skoki. Z tej radości nie mógł usiedzieć na miejscu. Siadał i zrywał się. Chwytał za paletę i pędzle i na gwałt zabierał się do pianina. Spostrzegł je, że stoi, i przypomniał sobie, że mu na gwałt potrzebna muzyka. Pianino nie było strojone od kilku lat. Jakaś sonata Beethovena brzmiała w pracowni w ciągu godziny

nieudolnie, poczwarnie i fałszywie, ale Siewierski tego nie zauważał.

Odpowiedź przyszła jeszcze tego samego wieczora. Z rozerwanej koperty wionął znajomy ten „jej'' zapach. Mocny, duszny, pełen nieprzepartej pokusy. Teraz dopiero spostrzegł Siewierski, co znaczy w jego życiu ta istota. Znowu uczuł na sobie jej przeklętą potęgę — i błogosławił ją w tej wodzinie. Dusiła go krew, zerwał się z krzesła, ale spętała go dziwna, przesłodka omdlałość. Był to jeno głód życia.

— „Dziękuję za powitanie i za kwiaty, ręką pana wyhodowane. Nie zmieniłam jednak imienia, jak to pan niesłusznie przypuszcza. Orchidea piękne imię, ale ja pozostanę dla siebie i dla pana zawsze jeno tym, czym byłam, dawną — Narcyzą''.

Jakież to szczęście żyć... Siewierski ubierał się szybko, wystroił się, jak to on umiał niegdyś. Śpieszył się, aż mu wszystko z rąk leciało. Już wychodząc, spojrzał w lustro i stał długo. Patrzał nań stamtąd ktoś obcy, ponury, sczerniały, nad wyraz przykry w spojrzeniu.

— No, dosyć tego — przemówił do niego dobrotliwie. — Teraz będziemy żyć. Rozumiesz? Po waszemu, po dawnemu. Za wszystkie czasy! Nie bądź no głupi! Co mi tu stoisz, jak karawaniarz?

I roześmiał się wesoło, życzliwie. Tamten roześmiał się również i od razu zmienił się cały. Stał się piękny, spojrzał pogodnie i wesoło.

— A widzisz — rzekł z triumfem Siewierski i wyszedł.

Leciał czas, jak na skrzydłach, zawrotnie szybko, górnie, ponad wszystkim, co tam tylko było na świecie. Zlewały się dnie z dniami. W obłędnym upojeniu wszystko zasnuło się jakby złotą mgłą.

Siewierski ukorzył się przed panią swoją, na nowo się w niej rozkochał i w skrusze żałował za swoje dawne winy.

Nie mówili zresztą o tym zupełnie. Ujmująco dyskretnie dała mu do zrozumienia, że tego nie chce.

Odkrył w niej coś, czego nie było dawniej. Szczerość w spojrzeniu, subtelną serdeczną czułość i niezmiernie wyczuloną delikatność wobec jego spraw i przejść. Znikła żywiołowa, niepohamowana porywczość, brutalny egoizm i ten odcień pogardy ku wszystkiemu, co było poza nią, którego w niej nie rozumiał i nie cierpiał kiedyś. Cieszył się z tego i nie z tego i nie wątpił, że ta przemiana jest i szczerą, i ostateczną.

Zresztą pozostała, jaką była. Zdawało mu się, że rozstali się wczoraj. Tylko złote włosy wydały się być jeszcze bujniejsze, a zielone oczy jeszcze ogromniejsze. W tej najzupełniejszej i skończonej dojrzałości, od której lada moment miało się zacząć przekwitanie, w tym policzonym roku trzydziestym siódmym, wszystkie jej szatańskie po-

nęty wzmogły się jeszcze i odurzyły Siewierskiego od pierwszego spojrzenia.

Niepomny na nic, gdy tylko znaleźli się sami w salonie, porwał ją w objęcia. Bez żadnej obłudy podała mu usta. Zaprawdę — jak gbyby nic nie zaszło, jak gdyby rozstali się wczoraj.

Tak cudownie i gładko przeszli od razu do dzisiejszego dnia swego życia. Nie pytali się siebie o te cztery lata, nie mówili sobie o miłości, nie czynili nad sobą żadnych uwag. Usłała się między nimi jakaś bezpośrednia najszczersza prostota. Jakby za wzajemnym porozumieniem, pomni na swoje lata, chwytali piękną chwilę i żyli nią — nie tracąc czasu o tej ich chylącej się już ku zachodowi godzinie życia.

W jej duszącym uścisku, na jej piersiach, u jej stóp zapominał o wszystkim, co nie było szczęściem, pięknem, rozkoszą. Wszelkie tragedie, groźne pożary, które strawiły tyle jego lat, ponura tajemnica, przeżywana w samotnych cierpieniach, były niczym wobec jej bladoniebieskiego, cienkiego jak mgła peniuaru, haftowanego w srebrne gwiazdy. Zapach jej ciała jak czarodziejskie kadzidło odganiał wszelką troskę, nawet możliwość troski, porywał całą jego istotę, odurzał i pchał do rozkosznego szaleństwa.

Rychło poznał po sobie Siewierski, jak mocno się ongiś mylił, lekceważąc Narcyzę. To już nie było tylko cudne ciało i bogata zmysłowa wyobraźnia. W jej czarodziejstwach odkrywały się

przepaście i głębiny, jej szał był przytomny, rozumny, w jej spojrzeniach widział świadomą siebie potęgę panowania, bezwstydną hardość odgadywania i niepohamowaną, potworną, nigdy nienasyconą żądzę niebywałego, pogoń za chimerą — namiętną tęsknotę do piekła.

Porwała go za sobą gdzieś daleko poza zmysły, w krainę rozkosznego obłędu, gdzie się dzieją poczwarne cuda. Wraz z nią dostąpił tajemnicy: pokochał ból rozkoszy. A w końcu obłąkaną żądzę śmierci na stosie ognistym — śmierci z rozkoszy.

Spalał się, ginął i radował się swym zatraceniem. Nie postała w jego głowie zła myśl. Dzieliło się jego życie na godziny upojenia i na martwy długi sen ze śmiertelnego wyczerpania nerwów. Budził się w marzeniu o tym, co go czeka. Czekał niecierpliwie, licząc godziny, malując byle co, robiąc nie wiadomo co. A potem biegł — tam.

Chwilami pani Narcyza spoglądała na niego bacznie, podejrzliwie. Były to chwile jego furii, miłosnego zapamiętania. Zdarzały się momenty, że nagły strach ściągał jej niepokalane rysy, a cudne ramiona odpychały go z siłą. Ona, która wszystko wiedziała i o wszystkim zawsze pamiętała, myślała wówczas ze strachem i z na wpół kuszącą odrazą o tym, o czym dawno już zapomniał sam Siewierski.

Już dawno nie przemknęło mu się przed oczami ponure widmo — sznurowej sieci i okropnej jego walki ze sznurową siecią. Ale pani Narcyza pa-

miętała wszystko i chwilami drżała ze strachu przed czymś. A na wpół świadomie pragnęła i tego.

Nadeszła wiosna.

Siewierski dał na wystawę jeden tylko obraz. Nabywca znalazł się natychmiast, ale zwiedzający wystawę i recenzenci byli mocno niepewni, czy mają się oburzać, czy też zachwycać. Wahania, jak wszelkie wahania, przecięła ręka kościoła. Organy katolickie podniosły swoją wrzawę, organy postępowe wstrzymały się od wyraźnego sądu i pan oberpolicmajster, zwiedziwszy wystawę, polecił usunąć "Orchideę". Nabywca był uszczęśliwiony i zabrał swój obraz, żeby napawać się nim niepodzielnie. Siewierski śmiał się, a pani Narcyza również, choć w głębi duszy żałowała, że tłumy przestały już podziwiać jej ciało. Przez te kilka dni codziennie bywała na wystawie, stawała skromnie na uboczu i błądziła spojrzeniami po tłumach, zgromadzonych przed płótnem. Dumą i rozkoszą zdejmowały ją uwielbiające i pożądliwe oczy mężczyzn, zawstydzone, oburzone i z głębi duszy zazdroszczące jej spojrzenia kobiece. Usłyszała nawet, że dwaj starzy jegomoście-dżentelmeni wymienili jej nazwisko. I to ją bawiło.

Przydały się Siewierskiemu studia nad kwiatami, przydała się i pani Narcyza. Stos kwiatów zapełniał olbrzymie płótno, zapełniał całe tło i kwiaty zdawały się wysypywać poza ramy. Orgia niebywałych, potwornych kwiatów, najprzeróżniejszych orchidei, olbrzymich, puszystych i kolczatych róż, biła wszystkimi barwami. Mąciło się w oczach od chaosu złowrogich kształtów, konwulsyjnie skręconych łodyg, rozwartych kielichów. Zdejmował niepokój przed zagadką, która kryła się w tych kwiatach, które wiły się, roiły, tłoczyły i zdawały się być w ciągłym ruchu.

Patrzono jednak głównie na nagość kobiety, która tonęła w morzu orchidei i róż. Tonęła czy topiła się, wijąc się i prężąc w rozkosznej agonii. Malarze kręcili głowami, podziwiając majstersztyk — nieodpartego wrażenia ruchu, które artysta zasugestionował, czy nakazał widzowi. Naga kobieta tarzała się po kwiatach. W uda jej wpiły się kolce róży, broczyły krople krwi. Przegięta, z odrzuconą głową, obu ramionami ujmowała bezładnie pochwyconą więź orchidei i tuliła ją do twarzy. Cała głowa tonęła w kwiatach — spływały tylko spod nich złote włosy. Obnażona, rozwarta bezwstydnie, z niebywałym pominięciem wszelkiego artystycznego konwenansu, była wcieleniem bezwstydu, zapamiętania, piękna, prawdy. Wraz z kwiatami tworzyła jedno pojęcie i jedno wrażenie. Cała Warszawa tłoczyła się przed nią w ciągu kilku dni po otwarciu wystawy.

Kiedy obraz usunięto, podniosła się w prasie wrzawa i walka. „Orchideę" napastowano i broniono z równym zapałem. W imieniu wolnej sztuki i w imieniu polskiej sztuki, w imieniu moralności.

Oburzano się na pornografie, które przywędrowały z Paryża, podnoszono z uznaniem śmiałość mistrza, która odświeżyła zatęchłą atmosferę. I po raz pierwszy od początku świata dwaj nieubłagani antagoniści, dwaj głośni krytycy od sztuki, pan Bosakiewicz i pan Kopko, omal że nie zgodzili się na jedno: znalazł się artysta o głośnym imieniu, który „w centralnym miejscu na głównym planie swego nowego dzieła poważył się umieścić wycinek z atlasu anatomiczenego"... „Obraz piękny, poza porywająca — pewien szczegół ohydny"... W pisemku broniącym Siewierskiego Prycza zatytułował jeden ze swych artykułów: Rzecz o ohydnym szczególe pana Bosakiewicza i o centralnym miejscu pana Kopki.

Kochankowie czytali pisma i bawili się wyśmienicie. Nic ich nie obchodziły ani wymyślania, ani obrona. Siewierskiemu zdawało się, że jest poza całym światem, a raczej gdzieś jakby na innym świecie. Wycofał się ze wszystkich znajomości i stosunków, nie wpuszczał do siebie nikogo. Nurzał się w niezgłębionych urokach pani Narcyzy, był jej najszczęśliwszym niewolnikiem. Było mu wciąż nie tylko dobrze, ale jak najlepiej. Ciężył mu tylko chwilami w głowie nieprzerwany czad upojenia. Jak nałogowy pijak nie odrywał się od kielicha, choć czuł, że ginie. Najwyższą ulgą było dla niego, że nie myślał, nie pamiętał, nie cierpiał. Z potworną rozkoszą śmiał się ze swojej eks-tragedii — jak gdyby to była bajeczna farsa, której

sens prawdziwy dopiero teraz ogarnął.

Pani Narcyza rzuciła projekt wyjazdu za granicę, nad jeziora włoskie, może do Szkocji, może gdzie indziej — wszystko jedno. Było to wszystko jedno, gdyż gdzieś za granicą, w cichości, miał się odbyć ich ślub, o czym nie mówili zbyt wiele, ale co rozumiało się niejako samo przez się. Wybierali się tedy w drogę.

Pewnego wieczora, idąc do Narcyzy, Siewierski spotkał postać złowrogą. Głęboko i przenikliwie spojrzał mu w oczy i rozminęli się. Tamten go nie spostrzegł, czy nie poznał, ale Siewierski nasrożył się, potem roześmiał się głośno i urągliwie. Ale czad na chwilę uleciał z głowy i zawisł nad nim moment świadomości i pamięci. Coś się w nim zachwiało. Jakiś wielki i potężny gmach, wyniosła świątynia, której już nie groziły zda się żadne burze, zakołysała się. Zgiął się w przerażeniu, że runą mu na głowę jej sklepienia, i w zwałach gruzów pogrzebią i jego i cudowny ołtarz, przed którym się modlił.

Ale moment minął bez śladu. Sponiewierał tylko w myśli złowrogiego przechodnia, wyszydził go, dziwił się, że on jeszcze żyje, oburzał się, że mu włazi w oczy. — Jeżeli zacznie mnie nachodzić i zechce cośkolwiek... po dawnemu, to rozczaruje się srodze. Najpierw nie puszczę go na próg, a jeżeli dojdzie do rozmowy, to będzie ona nad wyraz krótka. Idź pan do diabła i tyle.

Tego wieczora pani Narcyza z niepokojem zaglądała mu w oczy. Dojrzała w nich tępe, ponure zamyślenie, jakiego nie bywało tam od niepamiętnych czasów. Była czułą, dobrą, uległą, z pani stała się niewolnicą, oczarowała go — po raz już setny — jeszcze jedną nieoczekiwaną swoją przemianą. Siewierski tracił zmysły i odzyskiwał przytomność. Chwilami mijał go złowrogi przechodzień i znikał. Jakiś płomyk chwiał się w nim i gasł i znowu rozpalał się palącym pożarem. W łunie tego ognia, wśród dreszczu nigdy niesytego upojenia, ujrzał w jakiejś chwili, jak przez kłęby purpurowego dymu, nagość Narcyzy, poczuł aż w głębi mózgu jej piekielne pocałunki. I niespodzianie zrodziła się w nim myśl: Teraz umrę. Niech już zaraz umrę...

A ona, wsparta na jego kolanach, uniosła ku niemu głowę i cudne grzeszne swoje oczy. Rzuciła od niechcenia z dziwnym, drwiącym, haniebnie porozumiewawczym uśmiechem na płonących ustach.

— Cóż? No, powiedzże nareszcie... Warto ci było? Czy może się równać ze mną ta twoja niegdyś jakaś panieneczka?...

Skamieniała ze zgrozy. Bała się poruszyć. Zastygła, klęcząc przed nim w śmiertelnym strachu.

Siewierski miał obłęd w oczach i twarz skażoną potwornym grymasem wariata. Pięścią czy kopnięciem odepchnął ją od siebie. Głosem zduszonym, nieswoim, dławiąc się w furii, zabełkotał, zaryczał.

— Jak ty śmiesz... Ty... Ty... Ty...

W zapamiętaniu powtarzał tę jedną obelgę, jak gdyby zapomniał wszystkich innych słów.

Pani Narcyza poznała, że popełniła błąd nie do naprawienia. Ale poznała po chwili opamiętania, że jednak Siewierski nie zwariował za tym razem.

Podniosła się z ziemi, rozprostowała się w królewskiej swojej nagości i spojrzała na niego z pogardą.

— Żal mi pana. Widzę, że cię za wcześnie wypuścili ze szpitala wariatów.

Znikła za kotarą i zostawiła go samego w purpurowym półzmroku, w odurzającym zapachu buduaru.

Siewierski ocknął się dopiero w swoim mieszkaniu. Zbudził się nagle, jak ze snu. Rozważał w przerażeniu, jak on się tutaj znalazł, kto go przeprowadził przez ulice, kto go posadził przed biurkiem, kto położył przed nim irchowy futerał z rewolwerem? Były to niepojęte dziwy. Nieprzytomnie błądziły jego oczy po oknach, po ścianach.

W jednej chwili przypomniał sobie, co się stało. W jednej chwili porwała go furia. Irchowy futerał kusił i podmawiał. Zabić, zamordować, pastwić się, karać.

A teraz przypomniał sobie już wszystko. Pow-

tórzył mu ktoś usłużny słowa, którymi go pożegnała Narcyza.

Spada nań jak bryła lodu strach. Miażdży, mrozi, trzęsie. Znowu — jeszcze raz! Znowu będą się z nim mocować jacyś obcy ludzie, okropni siepacze, którzy czyhali na niego przez długie cztery lata. Wypełzną z jakiegoś swojego ukrycia. Znowu bać się będzie tych potężnych, okrutnych złoczyńców w białych fartuchach. Zawloką go do strasznego białego pokoju, oplączą siecią, zacisną, zamkną, zostawią...

Nie. Jeszcze nie. Czuje, że dziś po nocy zostawią go w spokoju. Ma jeszcze przed sobą kilka godzin nocy. Oni śpią teraz, przyjdą dopiero rankiem. Wyjął zegarek i patrzył długo. Pocieszyło go to, że wskazówka sekundnika porusza się za tym razem daleko powolniej, niż zwykle. Zapatrzył się we wskazówkę, chciał oderwać od niej oczy i nie mógł. Męczyło go to, ale wodził oczami po maleńkiej przestrzeni wciąż w kółko, zdążając za kołowatym, nieustannym posuwaniem się sekundnika. Tak mu zeszło kilka minut. Czuł w głowie obolałe zmęczenie, oczy przymykały mu się same, zasnął.

Bez ruchu, bez żywszego oddechu spoczywał zagłębiony w fotelu. Jak umarła uczyniła się twarz. Wpadły głęboko podsiniałe oczy, ostro wystąpiły kości na skroniach, na policzkach. Zlepiły się od potu siwiejące czarne włosy.

Zdawało mu się, że spał niezmiernie długo. Jasnym, bystrym wzrokiem spojrzał przed siebie. Pierwszą i jedyną rzeczą, którą widział, był to futerał z szarej irchy. Leżał tuż przed nim w pełnym świetle lampy elektrycznej. Sprawiało mu to nadzwyczajną radość, że nie trzeba się podnosić z miejsca. Tylko sięgnąć.

— Tak od razu? — zdziwił się nie wiadomo kto.

— Właśnie tak — odpowiedział — cóż ja mam jeszcze do zrobienia? Co ja mam? Kogo?

I zapłakał nad swoją straszną samotnością. Nie myślał o tym nigdy — teraz spostrzegł, że jest sam jeden na świecie, a jeżeli się zabije, to i tam zapewne będzie sam — przez całą wieczność. Jest jak umarły, leży głęboko pod ziemią. Nad nim żyją ludzie, tam, na wierzchu pozostało wszystko. Świat, życie, powietrze, słońce. Do niego nikt nie zajrzy. Nawet nie może zajrzeć.

Nie może żyć w tej samotności. Musi umrzeć. Może tam... Może przygarnie jego znękaną duszę czyjaś nadludzka, niepojęta, niezasłużona litość. W tej otchłani cieniów może napotka cienie, błądzące jak on.

Tam może ona...

Wzdrygnął się ze strachu. Nie! Za żadną cenę...

Zawisł między życiem a śmiercią i na próżno mocował się ze sobą, chcąc poruszyć z miejsca zdrętwiałą myśl. Czepiała się myśl drobiazgów, zahaczała o byle co, rozważała nieprzebrane mnóstwo rzeczy niepotrzebnych.

Męczyło go to strasznie. Wydzierała mu się wszelka władza nad sobą. Rozpadał się na jakieś okruszyny, rozłazil się na strzępy. Przestawał istnieć. Jak marne robactwo łaziły głupie myśli po jasno oświetlonym biurku, okrążały z daleka ircho-wy futerał, szperały między kałamarzami, książkami, papierami, wsuwały się między stronice książek, w otwarte koperty, szeleściły w gazetach, rozbiegały się po gabinecie, chodziły jak muchy po ścianach, po obrazach.

Czynił wszystko — czego nie czynił — szukając samego siebie. Jęczał, płakał, modlił się, zgarniał oburącz do głowy jakieś bezkształtne obrazy, które wciąż wypadały i rozbiegały się po pokoju. Gniótł to i zaciskał w garściach, jak wiechcie potarganej słomy. Było to jałowe, puste, obrzydliwe — i co najstraszniejsze — już skądś znajome.

— Już to wszystko raz było. Kiedy było? Kiedy? Boże miłosierny, ratuj!

A po schodach już łomotali się tamci. Skurcz pośpiechu, niedołężne gramolenie się wśród zwałów postrzępionych myśli, strachów, wysiłków. Jeszcze sekunda — jeszcze czas! Coś jedynego trzeba pomyśleć, natychmiast coć takiego zrobić.

— Co? Co? — pytał rozpaczliwym szeptem.

Ale ktoś, co to doskonale wiedział, spoglądał na niego szyderczo i, nic sobie nie robiąc z jego okropnego położenia, wybierał sobie najspokojniej cygaro z brązowej skrzynki, leżącej na biurku:

— Zlituj się, zlituj się nade mną... — na próżno jednak błagał, na darmo poniżał się przed najgorszym wrogiem. To jego spokojne, badawcze spojrzenie, ten jego uśmiech, pełen okrucieństwa... Z tym samym uśmiechem wystawał godzinami w szyderczym milczeniu tam, wówczas — za jego siatką. Ta sama zrudziała czapa sportowa na łysej głowie. Skąd ja wiem, że on łysy? Kiedy zawsze w czapie? Wiem!

— Ty! Łysy! Czapka ze łba! Rozumiesz! To nie Tworki! Po coś tu wlazł? Gadasz? Nie gadasz? Wynoś się...

Wróg znikł w jednej chwili, jakby zgasł. I w tej samej sekundzie zadzwoniono mocno do drzwi wejściowych.

Siewierski zerwał się i znieruchomiał. Co robić? Walczyć? Strzelać? Poddać się? Nadsłuchiwał. Ktoś nacisnął dzwonek mocno, brutalnie, trzymał długo. Ale Siewierski wytrzymywał, zacisnąwszy zęby. Wreszcie, kiedy trajkotanie elektrycznego dzwonka wypełniło mu całą głowę i zaczęło ją rozsadzać, nie mógł znieść bólu i poleciał do drzwi.

— Czego tam po nocy? Psy! Wasze psie prawo czekać do rana. Nie otworzę! Won, bo was tu ze wszystkich schodów!...

Dzwonek urwał nagle, aż zabolało w głowie. Za drzwiami się śmieją. Siewierski w furii zapomina o niebezpieczeństwie i odmyka drzwi — zostawia jednak łańcuch.

Co za radość!

Za drzwiami stoi Prycza, a z tyłu za nim Micho-

rewicz z Czaprańskim. Wyszyscy trzej pijani.

— Witajcież, mili goście! No, no — właśniem o was myślał. To dobrze, wspaniale!

— A może za późno? Może przeszkadzamy, może szanowny pan nie sam w obecnej chwili? — ceremoniuje się Michorewicz, który wobec Siewierskiego był zawsze z wielkim ugrzecznieniem.

— Co to za późno? — rozbija się Przycza — dla przyjaciół zawsze pora. Wystawili nas o drugiej z knajpy. Ani grosza przy duszy — bo byśmy wiedzieli, gdzie się zabawić do rana. Przyszliśmy z przyjaźni, ale mamy też interes. Jest co do picia?

— Jest, jest, włażcież raz. Bardzom rad, bardzo.

— I czarna będzie?

— Najczarniejsza pod słońcem!

— Jak murzynka.

— Miałeś kiedy murzynkę?

— Nie.

— I ja nie.

— A ja miałem! — oznajmia ochrypłym głosem Czaprański. Ale nie wejdę, dopóki sprawa honorowa nie zostanie załatwiona. Jakem Czaprański, artysta dramatyczny, znany szubrawiec. Ja nie uznaję pojedynków, ale jak mnie aż tak walą po mordzie, to mam prawo wiedzieć za co. Za co! Za co? Mnie starego, wysłużonego, schorowanego, prześladowanego przez los i policję, przez najszczerszych przyjaciół i najbliższą familię. ...Po pysku — i jeszcze jak...

— Nie błaznuj no i nie rób po nocy króla Lira — nucił Prycza.

Ale stary zachlipał i prawdziwe łzy zaczęły mu ciec po rudawo-siwej szczecinie nieogolonej brody.

Wzruszyło to niezmiernie Siewierskiego. Widząc tę spłakaną starą gębę, sam poczuł łzy w oczach. Już się chciał rzucić na starego z przeprosinami i ze wszelką, jakiej tam zechce, satysfakcją — kiedy nagle otworzyły się drzwi naprzeciwko i w pełnym świetle stanęła groźna, gruba jejmość w koszuli i zawiesistym kaftanie, w czepku na rozkudłanej głowie.

Ale nie zdołała ust otworzyć, kiedy stary aktor padł na kolana i, wznosząc ku niej ramiona, deklamował.

— Niebiańskie zjawisko, snu wiosennego słowicze westchnienie. O nieprzeparty uroku wieczystej młodości... Księżycowy promień cię zrodził z czystej perełki rosy o tej godzinie nocy... ...o tej godzinie nocy... o tej godzinie... Jak to dalej idzie?

Jejmość trzasnęła drzwiami i znikła. Wśród ogólnej wesołości kompania wtoczyła się do mieszkania.

— W stołowym pokoju już stały gotowe butelki. Pili koniak szklankami.

— Pierwszy toast za zgodę!

— Kochajmy się!

— Kocham pana, panie Siewierski, i rozumiem, jak tylko artysta artystę... — rozwodził się Czaprański. — Ale czyżbyś pan trzymał z socjałami?

— Głupi! Daj spokój — chcesz dostać jeszcze raz? — ostrzegał go Michorewicz...

— Nieprawda! — gorączkował się Siewierski — nienawidzę ich wszystkich! Uwodziciele dusz! Truciciele! To tylko nieporozumienie...

— Jak nieporozumienie, to zapijmy ten interes.

— Jaki interes? — pytał zupełnie nieprzytomny Prycza.

— A interes jest taki — zaczął Michorewicz i mówił szybko, zdradzając upicie tylko przez dzikie gesty i czkawkę. — Jedna tu pani zarzuca sieci na niedorosłego chłopca, na niewinne dziecko. Stara baba (choć niczego) chce się wydać ku rozpaczy szanownej rodziny wyżej wzmiankowanego Stasia. Gdyby wcześnie zaczęła, mogłaby być jego matką. Skandal! Zaszalała się w dziecku. Tak zawsze na starość. A moralność? A rodzina? A opinia? To też mam tu artykuliczek, który później odczytamy. Na razie, honor zawodowy i mój własny każą mi uprzedzić wielce szanownego pana, że, podając *Curriculum Vitae* owej Mesaliny (smutny obowiązek dziennikarski), musiałem mówić cokolwiek i o panu, który jest chlubą Polski i zagranicy. Musiałem, panie! Musiałem, bo albo się ma zasady, albo ich się nie ma. Wielka to dla pana przykrość i że tak powiem, pewiem łatwy do zrozumienia wstyd. Trudno! To też przyszedłem uprzedzić zawczasu, jak przystało między ludźmi honoru i obowiązku wobec etyki, społeczeństwa i

Polski. Ja zawsze z otwartą przyłbicą... A oto artykuł.

— Człowieku, za cóż tamci?

— Przejechałem się i po nich, bo rodzina dziedzicznie zdegenerowana. Wywodzą się z Targowicy, od stu lat brudy. Niech pan liczy, że to interes ideowy — 75% idzie na redakcję, a ja, który muszę utrzymywać ociemniałą babkę Toporską, z domu Bujno...

— Dosyć tego — zaczął się oburzać Prycza. — Daj mu, Siewier, piętnaście blatów. A jak słowo piśniesz, złodzieju, ode mnie weźmiesz piętnaście razy po pysku.

— Milcz! Michorewicza jeszcze nikt ani nie nastraszył, ani nie przekupił. Bijali mnie więcej niż piętnaście razy, a wytrwałem na stanowisku. A na ciebie mam pięć dowiedzionych faktów skończonego łajdactwa. Oczu nie będziesz śmiał pokazać. Nawet od Żaby cię wystawię.

I Michorewicz uroczyście roztworzył gruby notatnik.

— Pisz, drukuj — co ci się podoba. Mam cię... i sam z przyjemnością przeczytam.

— Posłuchajcie starego — wtrącił Czaprański. — Mnie już zabijali tysiąc razy na scenie, a żyję, Czaprański, artysta dramatyczny, znany szubrawiec...

— Jeszcze nie całkiem znany — indyczył się Michorewicz, — bo świat dopiero pojutrze się dowie, że stręczysz i jedenastolatki — tu szybko wy-

szukał w notesie: — Między innymi (rozumiesz?) kapitanowi Plestokowi z petersburskiego pułku (Szopen siedem, mieszkania trzy). A żydóweczkę puszcza matka, stara żydowica Brana Krelman (recte Parnes) Nowolipki 77 m. 125. Cztery lata rot aresztanckich.

— Rany boskie — rozłożył ręce stary aktor.

Dzika chryja z gośćmi trwała nieskończenie długo. Kłócili się, godzili się, dzielili się na partie, wygadywali niesłychane paskudstwa, pili wciąż, śpiewali, zasypiali, budzili się, całowali się, bili się, przewracali, wreszcie sufit zwalił się na nich, zapadła się podłoga i wszystko runęło gdzieś w czarną przepaść.

Kiedy się zbudził, była już siódma rano. Był tak osłabiony, że nie miał sił wyciągnąć ręki, aby zagasić lampę, której światło dziwnie go drażniło wśród jasnego dnia.

Przez otwarte okno wpadało słońce, przesiane przez zieloną gęstwę liści kasztanowych i pachnący chłód poranku. W gałęziach gwarzyły wróble i ich ostre, jakby metaliczne ćwierkania natrętnie nakazywały mu wspominać rzeczy dawne.

Gdzież to tak zawzięcie ćwierkały wróble? Kiedy to było? Taki sam chłodny powiew, pachnące liście — lipcowy poranek w Tymiankach w gościnie, na miłych wakacjach. Kręta, obrośnięta, prawie stojąca rzeczka Skroda, wierzby, trzciny, stare łachy, pełne żab, zapach mokrych łąk — stojącej

wody. Pejzaż... Trzy pannice: Zośka, Ira, Wichna. Pustota, zabawy, flirty, pikniki, tańcowanie po sąsiedztwach, w domu...

Wesoło. Będzie jeszcze weselej. Ma przyjechać jakaś panna Kora. Zośka, Ira, Wichna, Kora. Czy nie za dużo dobrego? Czekają na Korę. Czekają. — Panie, to zupełnie nie jest zwyczajna panna. — Zobaczymy. — Panie, to największa działaczka! — Bardzo brzydka? — Nieprawda, milusieńka. — Nie lubię takich. — Widział pan kiedy? — Nie i nie ciekawym — same Żydówki i do tego brzydkie. — Reakcjonista! Czarna sotnia! Endek! Artysta! Wieża z kości słoniowej! Ale ona i pana przekona.

Ćwierkają wróble. Pachną liście. Szczekanie psów, zajeżdża powóz. Pan Siewierski — panna Kora. Bardzo mi przyjemnie. Krótkowidzące, cudnie patrzące słodkie oczy.

Chwyta za serce mocna radość. Dziwi, boli radość. Chce się powrócić do wesołego dziś. Co za niebywałe rozrzewnienie? Niesłychane rzeczy! Nie daj się, — małoś to w życiu widział? Po co ci? Chce ci się głupstwo zrobić? Na stare lata? Głupi. Wzdychasz? Wzdychasz? Głupi. Wszystko trzeba brać lekko. A ona? No i cóż w niej jest? Ho — ho... Tajemnicza nieznajoma. Baje po cichu stara Łączewska pełnym czci i oburzenia wystraszonym szeptem. Opowiadają dziwy panny. No i co z tego?

Czy miło, czy ciężko? Cóż to się wyrabia... Pierwszy raz w życiu. Kpinkują dwuznacznie, już go wyraźnie wyśmiewają smarkate pannice. Zdra-

dził się stary gracz, donżuan warszawski, paryski wyga, malarz. Udaje, flirtuje na zabój z Zośką, nic nie pomaga. Kora... Kora... Ani razu pomówić swobodnie — tyle ludzi w domu, pannice ciekawe, wścibskie, nieznośne.

Szeleszczą trzciny nad łachą. Przenikliwie, smutno. Panno Koro... Panno Koro... Czemu taka smutna? Szeleszczą trzciny, chylą się i płaczą. Porywy nagłego wichru grają po nich boleśnie. Co to znaczy? W jej oczach łzy... Duszny wicher kładzie trzciny do ziemi i jęczy. Szybko gnają na wietrze czarne chmury. Z wyschłego gościńca pędzą tumany pyłu. Ściemniało niebo. Źle, straszno. Daleki pierwszy grzmot — za ziemią, pod ziemią... Czemu płaczesz? Panno Koro... Wracajmy. Boi się pani burzy? Nie — tylko bardzo smutno. Panno Koro, posłuchaj. Nie, nie, nie można. Zlituj się, przecie widzisz. Nie — nie wolno. Mówić? Nie można mówić, nie wolno słuchać. Nic, nic... Uciekajmy, idzie burza.

Już chodzi po mieszkaniu Jakub. Ostrożnie, cicho. Pochrząkuje, kręci się, niby sprząta, podgląda pana. Śpi, nie śpi? Czyta? Dzień biały, lampa się pali — cicho. Jeszcze tego nie bywało. Czegoś się przestrzaszył Jakub. Odważył się, wszedł, chrząknął. Zląkł się. — Proszę Pana?

Już się bardzo boi, aż drży cały. Spojrzał, obaczył na biurku futerał, pana zza fotelu nie widać, tylko ręka lewa wisi bezwładnie spuszczona. Ola-

boga, nieszczęście się stało.

Dopadł. Patrzy w niego pan żałosnymi oczami, szepce cichuteńko i płacze.

Siewierskiego trzeba było zadźwigać na łóżko. Odwrócił się do ściany i płakał. Wszystkie żale zeszły się w tym płaczu pomagać, płynęły łzy.

Stary Krysztalewicz siedzi nad nim i opowiada anegdoty.

— Czemu się pan u diabła nie śmiejesz, kiedy dowcipne? Z tego samego właśnie śmiał się przed godziną jeden stary grzyb, który dziś w nocy umrze. A ty nic, choć będziesz żył, aż do skutku? Dawaj no tu puls. No — mówiłem, trzeba się szanować. Nerwy to są nerwy, a nie postronki. A tych miłych rzeczy używaj na deser, bo to nie kartofle. Wyglądasz, jakbyś przejechał przez wyżymaczkę. Cóż to za diablica obracała korbą? Sprany jesteś, sprany, wymydliło cię — poczekaj, ja cię teraz wysuszę i wyprasuję. A nie wstyd ci? Tak się dać. Przecie ty mocny chłop, niczym nieboszczyk ojciec. A i to był ananas, panie świeć nad jego duszą. Niedaleko jabłko od jabłoni. Kochaj się, puszczaj się, kiedyś głupi, ale żebyś, smyku jeden, nie zapominał o tych, co cię na kolanach nosili; trzy razy ci życie odratowałem. Czekajże: szkarlatynka (ciężka), tyfusik (byłeś w ósmej klasie), no a potem te chryje, mniejsza o to. Siedzisz już pół roku, po gazetach cię poniewierają (no i chwalą), a do mnie ani nogą. Dopiero, jak „caput'', to do

starego. Nie dałbym ja ci aż do tego dojechać. A to twoje świństwo na wystawie, to ona? Nic dziwnego. Tylko zdaje mi się, że ma jeden feler... Kto się aż tak rozkłada, a twarz sobie zasłania... Co mi się tu będziesz marszczyć? Myślisz, że się ciebie boję? Jakbyś ją kochał, to byś jej nie wystawiał...

Siewierski wpatrywał się w doktora z serdeczną wdzięcznością. Przypomniał mu się gabinet w domu rodziców. Ojciec z doktorem grają w szachy. Na stoliku pękata butelka i szklanki. Miło w ojcowskim zadymionym od cygar pokoju. Miło i trochę strasznie patrzeć na trudną i tajemniczą grę w szachy, na zamyślone i surowe twarze panów. Długo siedzą pochyleni i w głębokim milczeniu patrzą na figury. Doktor podnosi rękę do góry, zakrzywia palce i czai się do jakiejś figury. Zaraz coś posunie, może ojciec przegra? Już dużo ojcowskich białych figurek stoi smutno na stoliku. Okropnie mu ojca żal. Podkrada się, gracze zapatrzeni nie zważają nic. Bierze ostrożnie białą figurkę z końską główką i stawia z powrotem na szachownicy. Żaden nie widział. Jak ślepi! Stoi cichuteńko, czeka, tylko mu serce bije mocno i prędko. Nareszcie posunął doktor. Zabrał coś. Posunął ojciec koniem i zabrał wieżę. Co? Jak? Jaki koń? Gdzie? Co to? Kłócą się panowie. Już się naprawdę kłócą. Przyznać się? Boi się bardzo.

Zdaje się Siewierskiemu, że naprawdę jest małym chłopcem. A raczej nie zdaje mu się, tylko chce się łudzić. Żyje ojciec, żyje nawet mama, żyją

wszystkie ciotki. Wszystko zostało, jak było przed trzydziestu laty, nie było żadnego długiego męczącego życia, żadnych okropnych zdarzeń, może dopiero zacznie się wszystko od początku, powolutku, rok za rokiem. Jeszcze musi skończyć szkoły, akademię, potem jeszcze bardzo długo żyć, zanim dojdzie do tego, co niby jest teraz. Tyle lat swobodnych! Niech tam wszystko najgorsze, byleby nie zaraz, tylko kiedyś.

Siedzi stary doktor Krysztalewicz i opowiada anegdoty. Siewierski nie odrywa oczu od pomarszczonej, wygolonej twarzy. Roztapia się w swoim szczęśliwym dzieciństwie, uśmiecha się słodko. Stary myśli, że to z jego kawałów, i jest zadowolony.

— Będziesz mi tu leżał, dopóki nie pozwolę wstać. Jeść dużo, rzeczy dobre, delikatesy, kawiorek, wszystko wolno. Wino od Fukiera, stare. I ja się z tobą przy okazji napiję. Będę przychodził dwa razy na dzień, chocieś tego niewart. Książki czytaj sobie lekkie, gazet nie, najlepiej śpij i jedz. A nie będziesz mógł spać, dam proszki. Ludzi do siebie nie wpuszczaj, a żadnych tam kobiet ani-ani mowy! Zastanę którą kiedy, wyrzucę za drzwi, choćby to była ta z wystawy z całą oranżerią...

Rozkosznie, słodko być małym dzieckiem. Miło zajadać smaczne rzeczy, które znosi Jakub. Wino smakuje i upaja. Śmieje się Siewierski z dziecinnym chichotaniem, aż się rzuca po łóżku, aż doktor

Krysztalewicz wymyśla mu od głupców.

Niezmiernie ciężko patrzeć małemu dziecku na okropne i smutne rzeczy, które dzieją się przed jego oczami. Nie podobna znieść tych nieopisanych nieszczęść, które spotkały kogoś. Godzinami płacze dziecko, słuchając smutnej bajki. Straszą go po nocach upiory, cicho, bosymi stopami chodzą koło łóżeczka cierpiące, pokutujące za coś dusze.

Zapomina o wszystkim, kiedy rano przychodzi doktor z anegdotami. Piją wino, grają w szachy. Z dumą gra, udając dorosłego, i za każdą partią wygrywa. Wesoło.

Po trzech tygodniach, zataczając się na dziwnie słabych nogach, z zamętem w głowie szedł Siewierski, odpoczywając na każdym stopniu schodów — do pracowni. Wzruszenie jego było bolesne i lękliwe. Wsparty ręką na klamce, stał długo, bojąc się wejść.

Mógł tam kogoś zastać. Kto wie? Przyłożył ucho do drzwi, nadsłuchiwał. Odchodził ode drzwi, powracał, namyślał się. Wreszcie rozgniewał się na siebie, opanował się i wszedł.

Od razu ogarnął go ciężki smętek. Jakiś niemy, zduszony jęk błądził po wielkiej, przyćmionej przez posępny dzień pracowni. Ożyła w tym miejscu pamięć czyjejś niezmiernej krzywdy. Krzywda nie da się już naprawić — można jej żałować, można ją opłakiwać bez końca, obchodzić wieczną żałobę. Kto z krzywdą swoją odszedł na zawsze?...

Siewierski usiadł na otomanie i płakał cicho. Był słaby i zgnębiony, jak gdyby dopiero teraz zdjął mu ktoś z oczu dolegliwą mgłę, w której wszystko dotąd rysowało się niepewnie, fałszywie, obłędnie. Już nic nie mieszało się ze sobą w bezładnych wirach. Spostrzegały oczy każdą rzecz z osobna i każdy jej szczegół. Wspominały wszystko bez zawodu. Widziały to — co było.

Naprzeciwko na wysokiej ścianie wisiało wielkie płótno, białe w dwóch trzecich, zaledwie lekko pokreślone węglem. Pogmatwane zarysy jakiejś fantastycznej draperii, projekt wyniosłej jakiejś postaci, puste miejsce, pozostawione na coś głównego w obrazie. A nad tym zupełnie wykończone tło: odmęt chmur ciężkich, ponurych, na które z ziemi bije krwawa łuna. Purpurowe odblaski zdają się drgać i mienić się w chmurach. Gdy się na nie patrzy, wzmagają się i przygasają. Gdzieś tam daleko na ziemi szaleje wśród wichru wielki pożar.

Ponury niepokój bije od chmur. Groza i lęk otacza to niewiadome, co miało powstać na płótnie. Wróżba i zapowiedź jakiejś tajemnicy, której wyjawić nie można. Chciało się odgadnąć niedopowiedzianą resztę, wyobraźnia rzucała na puste płótno rysy ludzkie i nadludzkie, gesty olbrzymie, wielkie tragedie, przewroty...

Siewierski widział całość, wszystko czego brakło, co tam być powinno. Widział i pamiętał każdy

szczegół. Porwało się w nim dawne potężne i czyste uwielbienie dla swojego starego marzenia. Rodzona, ojcowska, nieogarniona miłość do ukochanego tworu, poczętego w uniesieniu, wśród cierpień bez miary.

— Byłeś wart swego cierpienia. Pamiętałeś. Samo niebo użaliło się nad bólem twoim, dał ci siłę Bóg, byś wydał dzieło ku uczczeniu i pamięci. Byłeś wielki... Teraz już nic. Teraz „Orchidea''.

Zabolała, oburzyła go straszna niesprawiedliwość. To mówił ktoś, co wszystko wie. Dobrze, skończone życie, niech tam. Teraz — prawda. Ale naówczas? Byłby wytrwał, byłby stworzył dzieło, jakiego świat nie widział, jakiego świat potrzebował. Byłby postawił pomnik niebosiężny duszy dusz i sercu serc. Tam utopiłby wszystkie swoje bóle i całą „Jej'' prawdę. Oddałby temu wszystkie siły, wszystką krew i padłby martwy, ukończywszy dzieło. Uczyniłby — co był poprzysiągł. Teraz nie. Teraz koniec. Ale wówczas? Czemu zawistne piekło zesłało na niego nieszczęście? Czemu odebrało mu oczy, duszę i wydarło mu pędzel z ręki?

Czemu onego dnia odrywali jego rękę od sztalugi podli siepacze tutaj w tej pracowni i pastwili się nad nim, gniotąc mu piersi kolanami? Przemogli go, opanowali, związali mu ręce i nogi, zabrali...

Szalona zawziętość, furia nieprzytomna przeciwko chamom w białych fartuchach... Przelatuje widmo białego pokoju, sznurowej sieci, „łysego''

w czapie sportowej, który drażni się z nim dnie i noce...

Już się opanował.

— Byłem wariatem... Ozdrowiałem. Chodzę, jem, piję. Ale już nie żyję. Tutaj u stóp rozpoczętego dzieła zostało życie. Zadeptali je siepacze. Oto wszystko. Nie zostało nic. Nawet wspomnienie — bom już niegodzien wspominać.

Siedział Siewierski, nie odrywając oczu od falujących w łunach chmur. Powstawał zwolna, budował się, zapełniał się obraz. Tworzyły się dzieje całej ludzkości: cierpienia, wysiłki i walki, bohaterstwa, klęski, zwycięstwa, cmentarze mogił, pomniki chwały. Z rojowiska kształtów, z zamętu zamalowanej płaszczyzny dobywało się tajemnicze słowo, wyciskała się pieczęć wszechwiedzy — widomy jasny znak, którym przemówi dzieło do człowieka. Ustalała się wśród ciszy boska harmonia — niesłychane nadludzkie objawienie. Stawał się cud... Aż wytrysła ponad wszystkim kolumna Sławy — postać wyniosła, rozpostarte skrzydła... I spojrzały ku niemu zza świata „Jej'' oczy.

Porwał się ku niej — jedna chwila — i opadła ułuda. Długo siedział jeszcze skulony i bezsilny, patrząc przez łzy na puste płótno i na niebo falujące nad nim w chmurach i w łunie.

W jednym kącie pracowni za wzorzystą kotarą była graciarnia, skład starych płócien, ram, kartonów i wszelakich rozmaitości. Siewierski po

kilka razy na dzień zagłębiał się w ciemny kąt i szukał. Męczył się, wznosił tumany starego kurzu bez potrzeby, poruszał z miejsca mnóstwo gratów i odchodził wypoczywać na otomanie. Tu, siedząc z papierosem, przypominał sobie dopiero dokładnie, o co mu chodziło — ale kiedy szperał między rupieciami, zaczynało się w myślach jakieś dziwne zamącenie. Niby to było roztargnienie, niby niechęć, niby strach, żeby na coś takiego nie natrafić. Dotykał się tego, o co właśnie chodziło, i cofał się natychmiast, szepcąc: nie, nie...

Była to skrzynia, przyparta do ściany i zawalona stosami kartonów. Siewierski udawał przed sobą, że nie pamięta o żadnej skrzyni, że nic go ona nie obchodzi. Denerwował się po prostu, bo po chorobie jeszcze się nie zabrał do roboty, bo psuł płótna, bo miał pustkę w głowie — nie pustkę a raczej zamęt pomysłów, z których żaden nie dał się uchwycić, poznać i zobaczyć oczami. Czuł gorączkową żądzę pracy, tworzenia, śpieszyło mu się i od tygodnia plątał się tylko po pracowni w denerwującej bezczynności. Kiedyś zajrzał do owego kąta, chcąc wydobyć jakiś stary szkic, i spostrzegł skrzynię. Otąd nie dawała mu ona spokoju.

Wiedział zawsze od samego początku, że skrzynia stoi na swoim miejscu za kotarą. A jednak dopiero teraz, przypadkowo uświadomił sobie, że tuż w pobliżu, w tym samym pokoju przebywa z nim sam na sam to — przed czym wzdryga się w zgro-

zie i strachu. I nieswojo uczyniło mu się u siebie, dziwnie zaczęła wyglądać pracownia, jakieś dawne cienie ożyły i snuły się między sprzętami, po ścianach. Zapełniło się wszystko lękiem.

Romyślał nie bardzo przytomnie, trapiąc się i trwożąc.

— Cóżeś chciał uczynić? Po coś dotykał? Coś zamierzał? Szalony! I ty byś otworzył? Śmiałbyś spojrzeć? Nigdy! Niech spoczywa w spokoju, na wieki wieków. Nigdy nie ujrzy światła dziennego. Umarła. Nie obrazi jej niczyje spojrzenie. Co czynić? Nie otwieraj trumny! Nie znieważaj! Co czynić... Zostawić w spokoju.

— Co czynić?... Zabrać, wywieźć daleko. Daleko, długo wędrować, aż znajdzie się miejsce piękne i godne. „Tam, gdzie są od razu góry i morze''. Tak ona mówiła kiedyś. „Nigdy tam nie będę, ale jakież to piękne... Czasami śni mi się taki pejzaż: śnieżny szczyt, potężny lodowiec spływa ku morzu i gubi się w nim. Modre fale biją u dołu o zwały lodu. Czy to gdzie tak bywa?...''.

— To chyba w Norwegii, na samej północy. A więc tam jechać. Tam ją pogrzebać w piękny słoneczny dzień. Zakopać trumnę w samotnej wysepce, skąd widać góry, lodowiec i morze. Zostawić na wieki — niech patrzy. „Nigdy tam nie będę''... Będziesz, będziesz...

Niebardzo był przytomny Siewierski, planując naprędce daleką wyprawę. Wyobraziła mu się ta północna Norwegia, o której coś kiedyś słyszał. O

tej porze panuje tam wieczny dzień i słońce nie schodzi z nieba. Będzie jechał parowcem wzdłuż wybrzeża i będzie wypatrywał. Wybierze najpiękniejsze miejsce. Będzie miał ze sobą oskard, łopatę, wszystko, co potrzeba do kopania. Wynajmie łódź i człowieka. Samotna wysepka o parę kilometrów od brzegu. Pustynia smutna i piękna. Nic — tylko morze i mewy — i ona. Będzie jej tam dobrze i pięknie.

Ma prawo ją pogrzebać. Któż to uczyni? Nie obrazi jej niegodnym spojrzeniem. Nawet nie będzie błagał o przebaczenie — bo nie może być przebaczenia. Gdyby chciała — dałaby znak, przyszłaby do niego we śnie. Nie przyszła. Przez cztery lata ani razu. Dręczyły go po nocach wizje i widma, nie dawały i we śnie spocząć skołatanej głowie korowody obłędnych myśli i obrazów — tylko nie zagościła tam ona, ani nic z nią związanego. Odeszła, zapomniała — taką była jej wola. Taką była jego wina. Niegodnymi rękami pogrzebie ją — ale musi. Któż to za niego zrobi? Kto jej da ten jej grób piękny, wymarzony? Przecież ona nie ma żadnego, żadnego... Przecie nigdzie nie ma swojego miejsca. Nie ma dokąd pójść, podumać, uklęknąć, złożyć kwiaty — nie ma do czego przywiązać tej strasznej tęsknoty... Gdzieżeś jest?...

Ostatni nędzarz spocznie kiedyś pod murem we wspólnym dole. Jak jest taki, kto o nim pamięta, może tam sobie przyjść. A ty? Gdzie ciebie szukać? Rozmiotło cię na wszystkie strony świata, znikłaś

straszliwie, bez śladu i resztki... Chyba ten bruk całować, chyba te kamienie z ziemi wydzierać i chować, po których od tego strasznego dnia przez cztery lata dniem i nocą deptało plugawe życie ulicy...

Odżyło widmo. Dawno, zda się całe lata minęły od czasów, kiedy zapełniało mu ono cały mózg, wciskając się nieprzeparte, nieodegnane pod zawarte z bólu powieki. Wróciło, po dawnemu okropne i niepojęte.

...Zimny wieczór grudniowy, smutne, nędzne płomyki latarni w brudnej, zapuszczonej robotniczej dzielnicy. Giną we mgle kominy fabryk — wyboisty bruk, grząskie błoto z topniejącego śniegu. Przeraźliwy blask, głuchy wyjący huk, jęk lecących zewsząd szyb... Jakieś strzępy w błocie, strzępy czegoś w powysadzanych oknach, strzępy przylepione do ścian, wszędzie...

Tego ogarnąć, tego pojąć nie mógł nigdy. I teraz nie mógł — choć stał mu w oczach obraz wszystkiego, jak było. Tu jego żal stawał się nie do zniesienia okropny. W tych chwilach przychodziły najcięższe ataki. Siewierski wił się po ziemi, po swoich bogatych dywanach w szaleństwie bólu i łkał głucho bez łez, najboleśniej.

Pamiątki...

Dwie kartki jej ręką pisane, bez znaczenia — kilka słów, zawiadamiających, że tego dnia przyj-

dzie pozować. Gałązka jemioły, prosta szpilka rogowa od włosów, którą znalazł w pracowni, numer kuriera z reporterskim sprawozdaniem o wypadku. Numer rewolucyjnego pisma z szumnym nekrologiem i z nie do poznania źle odbitą podobizną zmarłej. To wszystko. I jeszcze kilka ćwiartek zapisanych jego własną ręką. Czytał:

„Leży przede mną na stole jej podarunek, mała pamiątka, którą sobie wyprosiłem. Już jest moim, już ze mną pozostanie ten mały dar.

Śmiała się ze mnie, nie dawała i pytała: — Na co ci? Nie umiałem odpowiedzieć. Prosiłem, błagałem. Płakałbym, gdyby odmówiła.

Sam nie wiedziałem, jak się zrodziło to zachcenie. Nie wiedziałem tego i w godzinie pożegnania, owego dnia, kiedym się wstydził moich łez, które mnie dusiły za serce.

Teraz wiem i cieszę się moim skarbem. Dopiero teraz, kiedy ona już daleko. Teraz — kiedy uwierzyłem, że już nigdy...

Była i dla niej cenną ta drobna rzecz — kiedyś, jeszcze niedawno. Jeden jedyny ten nabój został jej w broni, która jej nie opuszczała nigdy. Resztę odebrali jej przemocą, powykradali ludzie bliscy, którzy pragnęli, żeby żyła. Ten jeden ostatni ładunek zachowała w tajemnicy, w ukrytym zakątku. Jego pieściła myślą, on ją koił, uspokajał, on jej mówił: — Przecie ja ci jeszcze zostałem, przecież ja czekam cierpliwie.

W godzinie, kiedy złe myśli, zbierane w ciągu tygodni, przygniotą duszę całym ciężarem, kiedy natrą całą swoją siłą, wydobywała go w tajemnicy, w cichą noc. Kładła go na dłoni i patrzyła długo.

Pytała cichym szeptem: Czy dasz mi nicość i odpocznienie? Czy dasz mi nowy, niesłychany byt? Czy ty otworzysz mi krainę nieprzeczuwaną, kędy na progu spotka mnie matka moja, która odeszła?

A teraz w zapomnieniu został stary pocieszyciel. Jest nowy wybawca. Płodny, wielki czyn!

Hej, rzucić siebie na pastwę!

. . . .

I piękne było i straszne to jej życie chwila, życie czekanie. Albowiem lada dzień, lada godzina...

Otoczyli ją ludzie z żelaza i długo nauczali rzemiosła swojego — sztuki pożytecznego umierania. Nowe codzienne udręczenie zastąpiło dawną mękę życia. Dawała się męczyć. Przerzucała ją cudza wola po świecie. Obcy ludzie wokoło, a ciąży duszy tajemnica, a nie wolno nikomu słowa szepnąć ze strasznej tajemnicy.

W długą noc bezsenną przychodziła godzina najgorsza. Znowu ręka ujmowała za broń. Lecz na próżno szukać było, czym ją nabić. Gdzieś się zapodział ów ostatni ładunek, opuścił ją stary pocieszyciel. Aż odnalazł się przypadkiem, zagubio-

ny w drobiazgach. Znowu szeptać zaczął: jam jest odpocznienie i cichość wieczna.

Oparła mu się niejeden raz. Było to bowiem wbrew rozkazowi.

Bywało lżej, bywało ciężej. Ładunek wydobyty czekał i kusił ku sobie.

Spotkałem ją, nieznajomą. Zaczęła mnie od pierwszego spojrzenia dręczyć swoją nieznajomą tajemnicą. Od pierwszego wejrzenia rozkochały się w niej moje oczy. Szukałem jej. Była dla mnie dobra. A ja przecie tęskniłem przez długie lata za taką, jak ona, i za tym, co już zdawało się zbliżać... Wyrastał mi w duszy czysty wiosenny kwiat, jakiego nie zaznało moje, już ku jesieni chylące się życie.

Pewnego dnia powiedziała mi wszystko. Dlaczego? Ach, już musiała komuś wypowiedzieć...

Porwała mnie zgroza. Zgrozą powiało od jej dziewczęcej postaci. Złowroga siła wydobyła się z niej i chmura siadła jej na czole. Stała się groźna, ponura. Śmierć patrzyła przez jej cudne oczy i dreszcz brał, kiedy się słyszało jej młodzieńczy śmiech.

Uniosła się nade mną wysoko — wysoko! I pochyliłem przed nią czoło — już na zawsze.

Przestałem szukać jej spojrzenia. Gardziłem sobą za swoje ludzkie nadzieje. Chciałem ratować, pragnąłem ukoić. Pragnąłem ślady jej stóp całować. Rozpaczałem, że nie mam sił, aby ją zastąpić i za nią zginąć.

Gdzieżeś ty, stary łachmanie, gdzieżeś ty, pustko — ty wczorajsza duszo moja? Powstałem z martwych i dążyłem za jej duszą. Wyszedł z grobu wskrzeszony Łazarz i rozglądał się po odmienionym świecie.

Nie wierzyła, gdym jej za to dziękował.

Nie wierzyła, iżbym był nędzny przedtem.

Nie wierzyła moim nowym myślom, że od niej pochodzą.

I nie wierzyła mojej rozpaczy, mówiła: — to minie.

Stałem się cieniem, wszędzie jej towarzyszącym. Znosiła mnie, lubiła mnie, bo źle było samotnej. Przywykła do mnie. Duszę rozwarła przede mną.

Żyliśmy jak nie ludzie — ani razu nie spotkały się nasze dłonie. Była dla mnie cudownym marzeniem, świętym symbolem. Targały mną rozkosz i ból. Ja powszedni, ja zszargany czułem się ponadczłowiekiem!

Zerwał się czar. Wyjrzało ponure widmo. Żegnałem ją, jak życie własne. Odsłoniłem przed nią całą duszę, całą bez utajenia. Wypowiedziałem nareszcie wszystko. Odważyłem się, cierpiałem. Szalałem z bólu. Ten żal...

Przysięgałem uczcić ją życiem całym. Poprzy-

siągłem, że wielkie będą moje czyny. Że na zawsze dźwigać będę dług jej należny — i że go do śmierci nie wypłacę. Moje życie — to pamięć twoja i twój rozkaz. Tak mówiłem.

I prosiłem o tę drobnostkę, ażeby mieć ku pamięci. Dała mi i poszła tam, kędy czekał na nią straszliwy wybawiciel — pocisk druzgocący.

A teraz jestem sam. Czekam. Ten żal, dławiący żal! Pogarda dla siebie, duszny wstyd! Trzeba było jej nie opuścić. Trzeba było tak, jak ona. Słyszę w mózgu jedno słowo: hańba! To na osłodę mego bólu.

Dopieroż zrozumiałem, o com prosił. Usłyszałem ciche szeptanie: otom jest wyzwolenie wieczyste i koniec.

Położyłem na dłoni mały mój dar i wpatrywałem się długo. Tak niegdyś czyniła ona. Tak ona spoglądała nań nieraz w złej godzinie swoimi smutnymi oczami.

Mijają dnie.

Przechodzą godziny rozpamiętywania. Odżywają wspomnienia. Z przyzwyczajenia same nogi mnie niosą znajomą drogą, ku jej domowi. Pusto. Jeszcze słyszę jej cudny, do duszy sięgający głos. Czuję na sobie jej żyjące spojrzenie. Tam, gdzieś ona jeszcze żyje...

Mijają dnie.

Tam, gdzieś idzie swoją koleją straszliwe dzieło. Wplotło ją w siebie nieubłagane koło i toczy się powolnym, pewnym obrotem. Tam otoczyli ją żelaznym kręgiem twardzi ludzie. Nie wyrwie jej żaden cud, ani moje błaganie.

Mijają, mijają dnie.

Aż przyjdzie chwila, kiedy się dowiem. Z daleka, z daleka przyleci wieść. Już słyszę daleki szum jej czarnych skrzydeł.

Nie przyjmie, nie zniesie już tego moja dusza, ani rozum tego nie ogarnie.

Na tę chwilę zachowany jest twój złowrogi dar. Czeka przyczajony w czarnej skrytce dopasowanej broni. Czeka jeden, samotny — on jeden wystarczy.

Mocno trzyma się życia słaby człowiek. Nie wie nigdy, co uczyni, gdy w jego jest mocy zostać lub odejść. Potężnie pociąga wola do życia — potężnie odpycha śmierć.

Kto wie, kto to wie...

Kiedy minie najgorsza chwila, gdy w bólu zapamięta się człowiek, gdy wyleje już wszystkie łzy, gdy do ostatka osłabnie stratowana myśl — zapadnie dusza w martwotę, znikczemnieje...

Zabraknie w ręku siły, by ująć za broń — minęła jedyna i najszczersza chwila. Ocalał człowiek.

Tłumaczy mu wymownie, dowodzi mu niezbicie chytry, wykrętny rozum. Przypomina mu się uparcie niby — sumienie. Radzą mu zebrane wszy-

stkie władze życia. Kłamią bezczelnie, bo już wiedzą, że uwierzy.

Masz żyć, bo dużo możesz uczynić.

Masz żyć, bo dług zaciągnąłeś. Teraz płać!

Masz żyć, bo może się pocieszysz. Któż to wie, co się stanie?

I popłynie czas, powlecze się rok za rokiem. Różną koleją, smutkiem, nudą, pustką, zapomnieniem. Zetrze te ślady, które wyżarły łzy, zatrze cudny jej obraz, zagłuszy przysięgi, zadepce głos sumienia — ten wiecznie stąpający wróg pamięci — szary powszedni dzień.

Aż w pewien taki powszedni dzień ozwie się surowy głos. Z ukrycia, z zamknięcia, z dawnego zapomnienia wydobędzie się groźba przenikliwa.

— Ja jestem, ja jeszcze jestem. Czemu nie czynisz, coś winien? Jam jest kara. Ja czekam.

Wstydem zapłonie czoło. Ruszy się wola. Do czynu zerwie się obudzone sumienie. Zjawi się jej duch i powie: Wytrwaj! Czyń, com nakazała!

Jakże to będzie?

Dnie i miesiące upłyną na pracy ciężkiej, przeklętej, bezpłodnej.

Udręczona będzie myśl w ciągu dnia i udręczone będą noce bezsenne w ciągłym bezowocnym wysiłku.

Na próżno będę gonił twój obraz, na próżno będę błagał oszalały: przyjdź, bądź przy mnie choć przez chwilę! przyjdź, dodaj siły!

Zmarnowane będą najdroższe marzenia, pójdzie wniwecz dzieło, które miało żyć i żywić. Nie powstaną, nie wyjrzą na świat wykochane w ciągu lat postacie. Nie staną przed ludźmi w tragicznym swoim pięknie. Sczezną myśli w długiej męce poczęte, oniemieją mocne, serdeczne, krwią spod serca bijące słowa.

Nie będzie pożytku, ani owocu, ani śladu z tego, czemu życie chciałem oddać. Nie będzie złotej sławy... I czyż o nią idzie?

Ciebie nie będzie... Duszy we mnie nie będzie. Zabrałaś ją, i za tobą poszło życie moje. Trup po tobie pozostał — cóż stworzyć może trup?

Jakże to będzie? Jak to będzie?

Ech — sięgnie ręka po twoją pamiątkę...

A może po latach nędznego żywota wygaśnie wszystko i spodleje, co było ongi płomienne i piękne.

Może zasnuje twoją świętą pamięć wciąż grubiejąca skorupa codziennego brudu.

Wrzawa życia zagłuszy ów dawny daleki huk, który oznajmił światu, żeś już umarła.

Przestanie żywiej uderzać serce, już pierś nie podniesie się westchnieniem, już nic nie zaboli, nic nie uraduje.

Jeszcze raz oto ocalał człowiek. Oto cuchnie trup żyjący.

Aż kiedyś, nagle ocknie się, porwie i wstanie dawna pamięć. Coś ją wyważy z grobu, jak stary

głaz spod ziemi — na światło dzienne.

I ujrzę ohydę starych lat. Ciebie przypomnę sobie. Zmarnowane lata, znikczemniałe życie złamane, wbrew wysiłkom, przysięgi.

Staniesz mi przed oczami, staniesz żywa, taka jak w ów ostatni dzień, kiedyś mi podawała gałązkę jemioły — na szczęście życia.

Nie zniosę tego. Tego dnia się nie zawaham. Ozwie się po raz ostatni twój dawny, zapomniany dar. Wypowiesz ty swoje ostatnie, nieodwołalne słowo. Zażądasz nareszcie pomsty i pokarania.

Sama wyciągnie się ręka i ujmie broń.

I w tej spóźnionej, nareszcie szczerej i przeokropnej chwili tę jeszcze dasz mi radość, tę jeszcze jedną niezasłużoną łaskę, że skołataną moją głowę rozsadzi twoja kula.

Ta, którą kiedyś zostawiłaś dla siebie — której dotykały twoje ukochane dłonie...

. . . .

Czytał jednym tchem, z wypiekami na twarzy, z obłąkanym wzrokiem, nieprzytomny. Przeżywał każde słowo, pamiętał każdą swoją z tamtego czasu myśl. Cofnęły się czasy wstecz, legło na nim opętanie rzeczywistości — pewnej tamtej nocy.

Nic sobie nie postanawiał, niczego nie pragnął, o niczym nie myślał, kiedy wstał i szukał po szufladach.

Szukał długo, bo same ręce szukały, plącząc się czas jakiś po rzeczach niepotrzebnych. Wreszcie

natrafiła ręka. Otworzył futerał, odciągnął, trzasnął zasuwą, wymierzył i strzelił.

Siedzi stary doktor Krysztalewicz i opowiada anegdoty. Patrzy dobrotliwie i jowialnie, jak gdyby nic się nie stało. Ośmiela to Siewierskiego, który boczy się, chmurzy i umiera ze wstydu. Obserwuje spod oka lekarza, ale unika jego wzroku. Wreszcie zaczął.

— Co? Idiota ze mnie Stary dureń...

— Straszny dureń. Wyobraź sobie, że ja to o tobie zawsze myślałem i nie zawiodłem się ani razu. Znam cię od dziecka, wieleś ty już głupstw od tego czasu narobił? A każde głupstwo w wieku dojrzałym liczy się za dziesięć. W tym stosunku sądzić cię będą na tamtym świecie...

— Żałuję, żem za tym razem...

— Nie żałuj. Już miałem kilkunastu pacjentów, którzy chorowali na to samo, na co ty leżysz — na niedoszłe pogrzebanie. Opowiadali ciekawe rzeczy. Wszyscy oni chcieli pana Boga oszukać. Powiada mi któryś: „Każdy ma prawo uciec od swojego nieszczęścia''. To jest prawda, tylko kto ci, idioto jeden, powiedział, że tą furtką właśnie uciekniesz? Myśli sobie jeden z drugim, że na tamtym świecie panuje jakieś generalne umorzenie i likwidacja wszystkich spraw ziemskich. Skąd? Dlaczego?

— Bo tak jest.

— Tak jest? Poczekaj. Otruł mi się tu jeden

jegomość już dosyć stary. Trapił się, póki mógł, — aż mu na starość cierpliwości zabrakło i jazda na tamten świat. Obarczony rodziną, dzieci, żona wiecznie chora, synowie łobuzy, długi lichwiarskie przez całe życie — jazda! Zaledwo tam trochę przyszedł do siebie po tym wstrząśnieniu, bądź co bądź, przewrót niesłychany, niebo, piekło i tym podobne wielkie rzeczy — zamęt, niepewność i tak dalej — aż tu z jakiejś mgły wyrasta przed nim jak żywy jego główny lichwiarz, baba obskurna, która jak wesz jadła go przez całe życie. Tarmosi go, grozi sądem, licytacją gratów.

— To i pani umarła? — pyta — powiada, że się nawet w pierwszej chwili ucieszył, zawsze ktoś znajomy!

— Ani myślę! Co pan tu koncepta prawisz, w trzy dni po terminie? Dawaj co masz *à conto*, bo cię z torbami puszczę!

— Kobieto, przecie ja umarłem!

— To mnie nic nie obchodzi, winien jesteś, to płać. — Ogląda się biedak, oburzony, za jakąś przecie pomocą. Przechodzi właśnie, śpiesząc się, jakiś tam miejscowy urzędnik z papierami pod pachą. Łapie go za połę.

— Panie, ratuj! Co to wszystko znaczy?

Urzędnik tylko ramionami wzruszył i ziewnął:

— Wiecznie ta sama sprawa z wami, „amatorami''. Nas obchodzą tylko ci, których sami powołamy. Po co się wyrywasz jeden z drugim? Radź sobie sam i nie zawadzaj mi tu, bo jak będziesz

zaczepiał ludzi zajętych, to cię tu urządzę po naszemu! drogą administracyjną wpakuję cię w żydowskiego konia, albo w sługę warszawską na sto pięćdziesiąt lat.

— Więc cóż ja mam nieszczęśliwy robić?

— Rób co chcesz, a przede wszystkim nie zawadzaj nikomu.

— Jakże to?

— Jak sobie uważasz.

— Litości — to tak będzie przez całą wieczność?

— Tak będzie, aż dopóki nie umrzesz naprawdę!

— Przecie ja naprawdę!

— Głupstwo. Naprawdę umiera ten, kogo my sami powołamy i któremu wypadnie termin z jego papierów. Dla takich są prawa i wszelkie udogodnienia, a nie dla was, hołoty grzesznej i niecierpliwej. — I tak dalej.

— No i cóż się ostatecznie stało?

— A cóż się miało stać? Chodzi stary osieł do biura i dalej haruje na swoją lichwiarkę. Sam mi wszystko opowiadał, pod słowem honoru, twierdzi, że na jakiś czas umarł, ale że najgorszemu wrogowi nie życzy takiego okropnego zawodu. Teraz cierpliwie czeka na swoją kolej, bo wie, że pana Boga nie oszuka.

— To z jakiegoś starego kazania. Śmierć to śmierć — zawsze ona jednakowa — nicość — mgła — cisza wieczna.

— Takiś mądry? Bardzo już jestem stary i o śmierci często myślę. Obawiam się, że tam nas czekają srogie niespodzianki, coś takiego, co właśnie nikomu do głowy nie przyjdzie. Dlaczego ma być cisza? Pustka? Ohoho... A ty po coś zrobił? Gadaj. Czego tu się wstydzić.

— Chciałem nie cierpieć i już.

— Co ci to było? Miłość? Przepraszam cię nawet za takie przypuszczenie, bo to by już było chyba najgłupsze, zważywszy, że masz lat trzydzieści pięć, i że cała banda kobiet traktowała cię miłością. Masz majątek, sławę, zdrowie. Czego ty u diabła chcesz?

— Chcę zapomnieć.

— Widzisz — niedyskrecja. Czytałem ten kawałek, jakaś nowelka, czy co. Jakeś chciał, żeby nikt nie wiedział, trzeba było przedtem spalić — a tak, gdyby co — czytałby w cyrkule pan komisarz, a potem przez reporterów mogłoby to trafić bodaj do kurierka. Dobrze, że jeszcze na mnie wypadło. Ja, lekarz, powinienem coś przecie wiedzieć. Chcę cię na ludzi wykierować. Gadaj resztę, opowiadaj, ulżyj sobie, przecie wiesz, że cię lubię, choć zupełnie nie wiem za co.

Siewierski odwrócił głowę do ściany, sapał głośno z irytacji i nic nie odpowiadał. Stary obraził się.

— Gdybyś był mój równy, zabrałbym się i poszedłbym sobie precz. Ale żeś smarkacz, więc ci obiecuję, że ja cię tu do porządku doprowadzę, czy

chcesz, czy nie. Z twojej nowelki, czy jak tam, wypada, żeś kogoś tam kiedyś stracił. Jakaś panna zginęła? Rewolucjonistka? Otóż u nas dwa były wypadki, o ile dobrze pamiętam: jedna jakaś robotnica — no to nie to, druga zaś ta panna, którą rozerwało na Żelaznej. To ona? Co? Kiwnijże choć głową. Przecie ja nie z ciekawości, tylko jako lekarz. Psychiatrą jestem do stu diabłów i to od trzydziestu pięciu lat! No, dobrze. To już będzie temu cztery lata. Chorowałeś ciężko. Nerwy ci wyporządziłem uczciwie. Tamte chryje już nie wrócą i nie mogą wrócić. Siedziałeś przez trzy lata w Paryżu. Cóżeś tam robił? Nie gadasz, to ja ci powiem. Chodziłeś do chiromantek, wróżbiarek i innych małp, żeby się czegoś dowiedzieć, zobaczyć, wywołać i tak dalej. Brały i brały. Zaglądałeś do okultystów, z których jedni są to zwyczajni szarlatani, a zaś inni spokojni wariaci. Poznałeś się i na tym. Gadajże co przecie? No, a potem coś robił, żeby zapomnieć? Piłeś? Chyba nie, bo to za ordynarne na takich piesków angielskich. Morfiny, opium ani innych specyfików francuskich po tobie nie znać. Pozostaje jeszcze jeden *article de Paris* — najprzedniejszy przemysł francuski — rozpusta. Poczekajże, ja nie o dziwkach, które są wszędzie na kuli ziemskiej. Ja o tych rzeczach najgorszych, co to tam w zaufanej kompanii, w tajemnicy, za siedmiu zamkami, gdzieś w ustronnej kamieniczce, *troisième à droite* u jakiejś pani Bichard czy Boulard, w wyborowym towarzystwie... Jednym słowem,

jakieś ostatnie świństwa, wołające o pomstę do Boga i nawet prześladowane przez *police de moeurs*. Możesz się nie przyznawać, bo ja nie spowiednik. Po kościołach się włóczyłeś? Próbowałeś się modlić? Nie? Życie przyszłe? Spotkanie za grobem? Mój drogi, ja mówię zupełnie na serio. Niejednego pocieszyła religia. No, więc nic z tego. Wróciłeś do kraju. Dobrze. Czyś aby wiedział po co? Nie? Poderwało cię, więc jazda. O ile wiem, zadawałeś się tu z tą kanalią od Żabusiewicza i wyprałeś po pysku pewnego starego łajdaczynę Czaprańskiego, który właściwie powinien być bity po trzy razy na dzień przez całe życie i nawet po śmierci. No, i obrali cię tylko trochę z pieniędzy. Potem pani Narcyza — no i cóż takiego, wszyscy o tym wiedzą, myślisz, że u nas to Paryż? Więc czemu ona do ciebie nie przychodzi? Chcesz, to ci ją sprowadzę. Nie? To nie. Idziemy dalej. Zachorowałeś sobie. Zwyczajne wyczerpanie nerwowe. Było już zupełnie dobrze. Więc co ci do łba strzeliło? Zajrzałeś do tego pudełka? Po co było otwierać, kiedyś sam zapieczętował i sam napisałeś kiedyś: spalić, nie otwierając. Trzeba było spalić. A tak, oparzyłeś sobie bok, podarłeś trochę skóry i co gorsza zniszczyłeś taką piękną oprawę. Tęgo bije nowa broń. Przez taki tom przewaliło na durch, kula wlazła w szafę biblioteczną i tam siedzi. Widzisz?

Siewierski odwrócił się mimo woli i spojrzał z bezmyślną ciekawością.

Doktor trzymał w ręku grubą księgę w starożytnej pergaminowej oprawie.

— Legende Dorée. To niby żywoty świętych i różne święte bajeczki. To masz chyba jeszcze po ojcu. Lubił stary grzesznik ku końcowi taką lekturę, jak ostatecznie zapadł na cukrzycę. Pewnie to gdzie u ciebie jest. Biblioteczka spod ciemnej gwiazdy, pożyczał i mnie nieraz, stary rozpustnik, Panie świeć nad jego duszą... Były tam z XVIII wieku sztychy jak morowe powietrze. No i co teraz?

Stary urwał i wpatrywał się w chorego badawczo sponad okularów.

— No i nic. Żyć mi się zupełnie nie chce, bo nie wiem, co robić.

— A umierać ci się chce?

— Tyż nie. Wszystko mi jedno.

— To dobrze. Najgorsze to, jak mówił św. Augustyn: wstręt do życia, strach przed śmiercią. Ale ty się przecie śmierci nie boisz?

— Nie.

— Naturalnie. Będziesz malował.

— Nie będę. Nie mogę, jakbym chciał, więc dam spokój.

— A jakżebyś chciał?

Siewierski westchnął.

— Widzi doktor — przed paru laty... Takie były okoliczności... Powziąłem zamiar namalowania wielkiego cyklu... Bo sztuka, to nie goła kobieta, ani drzewa w śniegu, ani „wnętrze”, ani na-

wet Wawel przy księżycu. Coś z duszy... Jakaś wielka myśl... Symbole... No, i przez całe życie nic ze siebie nie wydobyłem. Inni potrafili, a ja nie. Za to stałem się modny. Dopiero te pewne moje sprawy otworzyły mi duszę. Porwałem się, jak paralityk z łoża. Byłem bardzo nieszczęśliwy, ale byłem i szczęśliwy. Rozkosz i ból. I niechby tam nie wiem co — nigdy tak nie kochałem sztuki. Czytał doktor te kartki? Ja tam nie literat, ale wyprorokowałem sobie co do joty. Stało się. Tak jak doktor mówił. No — tam — na Żelaznej... Umierałem z bólu, a pracowałem. Co dzień miałem sobie w łeb strzelić, a malowałem. Odchodziłem od zmysłów, a w głowie wciąż obrazy, obrazy, obrazy... Czemuż mnie wtedy zabrali? Czemuście mnie tak strasznie skrzywdzili? Oh, medycyna... uleczyliście mnie na całe życie. Trup jestem.

Siewierski zerwał się i usiadł na łóżku. Chwycił się za bolący bok i mówił w strasznym podnieceniu:

— Czy i teraz jeszcze będziesz doktor twierdził, żem ja wówczas zwariował. Możem i zwariował — ale dopiero później, już w Tworkach. Gdyby mnie zostawiono w spokoju, przy moim nieszczęściu i przy robocie, może byłbym zginął, alebym coś stworzył. Coś by po mnie zostało. Miałoby jakiś sens moje cierpienie. Oh — ci ludzie w fartuchach, te draby... Ci doktorzy... Najzdrowszy człowiek nie wytrzymałby tego i stoczyłby się. Stoczyłem się i ja. Wizje, halucynacje, męczarnie. Napady szału i chwile oprzytomnienia — sto razy gorsze niż ataki furii wariackiej! Teraz żądasz pan ode mnie równowagi i rozsądku. Rychło wczas. Nie trzeba mnie było wtedy ruszać. Dusza ludzka to delikatna struna, wara od niej chamskim rękom! Medycyna...

Doktor wciąż wpatrywał się w niego badawczo sponad okularów. Słuchał chciwie i wyczekiwał na odpowiedni moment, żeby wtrącić słowo. Miał on już gotowy swój mądry plan, za mało jednak wiedział o historii Siewierskiego i czatował na to, żeby chory się sam wygadał.

I Siewierski mówił. Czuł niepohamowaną potrzebę wypowiedzenia się. Zbyt długo nosił swoją tajemnicę. Nie spodziewał się od starego doktora żadnej rady, ani pomocy. Po prostu uginał się już pod ciężarem swojej doli i chciał się z kimś podzielić. Wobec tego starego, którego pamiętał od dziecka, nie wstydził się niczego. Przypominał mu on tak żywo ojca, matkę i lata dziecinne, że chwilami czuł się przy nim, jak małe dziecko. Przy nim mógłby nawet płakać!

Stary milczał mądrze i nie przeszkadzał. Był ciekawy, ale i wzruszony. Siewierski przypominał mu matkę, panią Lucynę, Siewierską, jedyną i już dozgonną miłość swego życia. Uczucie nigdy nie wypowiedziane, tajone przez całe życie. Jeżeli kto chodził w żałobie po zmarłej przed dwudziestu laty matce Siewierskiego — to doktor, jezeli kto

odwiedzał jeszcze jej grób na Powązkach i składał na nim kwiaty — to on. Pod jowialnością, anegdotami i zatabaczonym starokawalerstwem doktora ukrywał się cichy dramat, o którym nikt nie miał pojęcia. Stary przez całe życie nie tracił z oczu Siewierskiego, zbierał o nim informacje, a traktowany przez młodego malarza z zupełną obojętnością jako zwyczajny stary nudziarz, cierpiał nad tym i pośpieszał mu zawsze z pomocą w złej chwili.

Teraz po raz pierwszy Siewierski przemówił do niego po ludzku. Stary zląkł się swego wzruszenia Bał się, że lada chwila wydobędą się z niego jakieś czułości, które przede wszystkim popsują całą sprawę, a następnie będą same w sobie głupstwem wierutnym, bo kto przez całe życie udawał zrzędę, ten może już wytrzymać do końca. Ze strachu wdał się w szeroką i uczoną rozprawę o neuropatologi, o histerii i dowodził Siewierskiemu, który tego zupełnie nie słuchał, że bynajmniej ani przez chwilę nie był wariatem, że egzaminu do prawdziwych Tworek nie zdał, że w tych Tworkach przebywają i ludzie zupełnie rozsądni. Dowodził, że właściwie każdy artysta jest nieco nienormalnym i że nawet tak bodaj być powinno, wreszcie nie mógł wytrzymać i, czerwieniąc się, a jąkając, puścił się na zamaskowane wynurzenia. Opowiadał o jakimś człowieku, który utracił narzeczoną („na tyfus, leczyłem ją, ale naszły pewne komplikacje, no i umarła'') i po wszelkich perypetiach żalu i rozpaczy pogodził się z losem ,a to

dlatego, że wyobraził sobie, że ona właściwie nie umarła zupełnie...

— Jakby ci to wytłumaczyć?... Bo on zwierzał się przede mną i powiadał, że jest szczęśliwy. Czuł ją nad sobą, przy sobie, jednym słowem miał ją w sobie. Żyje, jak się patrzy, najzwyczajniej — już się dobrze zestarzał i, wyobraź sobie, wciąż to samo. Doszło do tego, że mówił o niej ze mną, jak o żyjącej. Przy innych się pilnuje, ale ze mną nieraz zapędzał się tak, że zacząłem go obserwować. Ale medycyna nie miała powodu do wkroczenia. Chłop jest zdrów, najnormalniejszy i tym się tylko różni od reszty, że żyje fikcją, kiedy inni czepiają się życia realnego. Właściwie mała to różnica...

— Otóż, co mi on powiada pewnego razu...

Siewierski z całą bezwzględnością przerwał mu tę opowieść, której zdaje się zresztą zupełnie nie zrozumiał i bodajże nawet nie słuchał. Mówił jakby do samego siebie.

— Można się szarpać przez całe życie ze swoim nieszczęściem, można je ubrudzić, wytarzać po wszystkich rynsztokach. Można się zagłuszać przez jakiś czas, zapijać sprawę. Długo można udawać. Ale nie podobna zabić cierpienia. Nie podobna odpędzić widma. Nieśmiertelny jest ból! Tęsknota, ta ślepa na wszystko tęsknota! Zdawało mi się kiedyś, że jakąś piekielną nadludzką pracą, że gorączką tworzenia, tą zwodniczą sztuką zdołam stworzyć sobie jakieś nadzwyczajne istnienie po-

za życiem, ponad życiem. Łudziłem się, że wyjdę poza granice ludzkich możliwości i stworzę coś niesłychanego. Chciałem poruszyć niebo i ziemię, odrodzić ludzkość, wstrząsnąć światem... Mój ból był moją siłą. Jakiż byłem mocny! Ale zawzięli się ludzie ratować mnie, bom im się wydał za mało podobny do kupy. Ani jeden człowiek nie znał mojej tajemnicy, nikt nie miał pojęcia o mnie, nikomu nawet do głowy nie przyszło zapytać mnie, czy chcę, czy nie chcę. Jazda do Tworek! A kiedym przyszedł do siebie, zbudziłem się bezsilny, pusty i okropnie, już na całe życie, nieszczęśliwy. Zaczęło mnie żreć moje cierpienie. Toczyło mnie, jak rak — już bez żadnej nadziei. I tak do dzisiejszego dnia. I tak będzie już na zawsze! Co się tu może odmienić? Kto mi tu może pomóc? Sam jestem. Sam na sam ze sobą. Kiedyś robiłem co mogłem, żeby jej obraz wywołać — szarpałem sobie nerwy, dochodziłem do obłędu... Opowiadałeś mi tu doktor, com ja tam robił w Paryżu. Dużoś zgadł. Przecie, że chodziłem do wróżbiarek i do takich, co wywołują duchy. Trafił do mnie i taki szuja, co się podjął sprowadzić ją do mnie, zza świata. Uwierzyłem. Wówczas we wszystko mogłem uwierzyć. Odbywał ze mną seansy, z jakimiś ponurymi dekoracjami, z jakimś okropnym kadzeniem. W odurzających wyziewach, w tumanach dymu miałem ją ujrzeć na własne oczy. Umierałem ze wzruszenia, bom wierzył, chciałem uwierzyć. Zdręczył mnie strasznie. Wyciągnął ze mnie

parę tysięcy, niby za ekspens tego tam swojego fluidu. Spryciarz — znał na wylot wszystkie manie nieszczęśliwego człowieka i jego bezgraniczną wiarę i głupotę. Mniejsza o to...

Potem szukałem zapomnienia. Mniejsza o to jak. A potem wymyśliłem sobie, że ona, to nie żadne świętości, tylko mój wróg okrutny i nieludzki. I walczyłem z nią, jak z wrogiem. Zapragnąłem zemsty. Mściłem się jak wariat i bezecny zbrodniarz. Mniejsza o to, jak. Oczywiście znowu tylko zdarłem sobie duszę. Obudziłem się któregoś dnia bez sił, bez myśli, jak paralityk. Mieszkałem blisko kościoła St. Sulpice. Kościół brzydki, ale dzwony cudne. Ocknąłem się, jak na dnie studni, bez żadnego światełka w duszy — leżę bezwładny, ranek, miasto huczy — zagrały mi te dzwony poranne. Słyszałem je co dzień rano i wieczorem i lubiłem słuchać. Ale za tym razem wygrały mi, obwieściły mi zbawienie. Zerwałem się, łkając, w przeczuciu jakiejś niesłychanej radości. Do kościoła. W kościele znowu organy. Trafiłem na jakąś mszę żałobną. Jakiś majster wygrywał tę mszę. To mnie dobiło. Wspomnienia dzieciństwa, przeżytki, tradycje, łzy... Konfesjonał stał tuż obok mnie, spowiadały się jakieś baby. Stanąłem i ja. Do dziś dnia nie wiem, kto mnie spowiadał. Jakiś przerażająco mądry ksiądz. Tak mądry, że chyba on nie mógł sam wierzyć. Powiedziałem mu wszystko. Wszystko od razu zrozumiał Francuz, a resztę odgadł. Mówił, jak psychiatra, jak filozof, jak

rewolucjonista — ale radził jechać do Chartres, no tam, gdzie się to nawrócił Huysmans. Cóż, pojechałem.

Przez miesiąc błąkałem się całymi dniami po mrocznej katedrze. Wierzyłem, nie wierzyłem, korzyłem się, wątpiłem, leżałem krzyżem, spowiadałem się, komunikowałem się, szydziłem ze siebie, bluźniłem, chodziłem na roraty o piątej rano do dolnego kościoła, wreszcie wyjechałem z niesmakiem i pogardą do siebie. Co jeszcze? Parę lat strawiłem na niczym. Tygodniami włóczyłem się po mieście, zakopywałem się w domu na całe miesiące.

Co jakiś czas rwałem się do pracy — próbowałem malować. Mordowałem się na próżno. Miałem w duszy pustkę i nicość, nic mi się nie układało w głowie, oczy przestały widzieć. Żyłem z dnia na dzień. Nie miałem nawet siły odebrać sobie życia. Zmarniałem. Mogłem tak martwo z dnia na dzień przeżyć długie lata aż do samego końca. Ale pewnej nocy przyśniło mi się coś. Nie podobna by tego opowiedzieć. Przywidzenie czy jakiś nakaz, przeznaczenie, Bóg wie, co to było — dość, że ożyłem, zapragnąłem czegoś, zacząłem się spodziewać. Szarpnąłem się i powróciłem do kraju. Nie wiem, czy mi było lepiej, czy gorzej — usiłowałem się bronić od mojego upiora, z rozpaczą garnąłem się do życia. Nie obroniłem się. Upadłem. Trzeba być strasznie mocnym, żeby plunąć na swój ból. Oplułem tylko siebie. Teraz brzydzę się

sobą. Jeżelim do siebie strzelał, to z tego obrzydzenia. Nie ma na mnie kary! Do niczego już nie mam prawa. Nie mam nawet prawa wspominać. Nic nie mam i koniec. Nędzarz jestem, drogi doktorze, co gorsza, na szczęt zidiociałem. Po co ja to wszystko opowiadam? Mam gorączkę, jestem nieprzytomny, a doktor z tego korzystasz i tylko uszu nadstawiasz. Kto ci dał prawo wkradać się w moje sprawy? Kto cię tu wołał? Wieczne ludzkie chamstwo. Zostawcież mnie raz w spokoju — do wszystkich diabłów!

Siewierski urwał i odwrócił się do ściany. Doktor siedział cicho i wysilał całą wolę, żeby nie zagadać. Niespodziewane zakończenie tych zwierzeń rozbiło wszystkie jego plany. Siedział zgorszony i zawiedziony z otwartą nieco gębą ze zdziwienia; — a to mnie ubrał, — myślał sobie i był zły za swoje rozczulenie, za przygotowaną przemowę, za to swoje głupie serce, które już miało się roztworzyć szeroko, jak wrota od obory i przygarnąć znękanego „chłopaka''. Za różowe perspektywy, które otworzyły się przed nim, wróżąc bliskie ojcowskie współżycie, serdeczną, wieczną przyjaźń z „jej'' synem.

Długo siedział w strapieniu i na próżno czekał, że Siewierski może się opamięta i zagada jakoś po ludzku. Chory leżał wciąż twarzą do ściany i ręką nerwowo szarpał kołdrę. Stary ostrożnie i po cichu wstał z krzesła i poszedł.

Chory leżał nieruchomo, twarzą, do ściany. Mijały godziny. Jakub, wartujący w sąsiednim pokoju, nie mógł się doczekać, żeby pan się obudził i poruszył na łóżku.

Ale pan nie spał.

Siewierski przez cały czas wpatrywał się pilnie w ścianę, na której zdawała się pisać długa, dręcząca opowieść.

GAŁĄZKA JEMIOŁY

W całym domu rejwach z powodu nadchodzącej Św. Anny i imienin pani domu. Ma być wielki bal (trzy córki w domu) ogromny zjazd, panny zajęte przygotowaniem toalet, tapicerzy łomoczą sie od świtu przy odświeżaniu salonu. Siewierski wymyka się nad łachy na długie godziny studiów. Nic tam nie robi. Składa byle gdzie kasetkę z farbami i cały swój sprzęt malarski i błądzi po łąkach, wozi się w ciężkiej krypie po „jeziorach'', marzy, rozmyśla.

Odkrywa, że cały urok panny Kory, to jeno wysmukłość i — ruch. W sposobie chodzenia i siadania, w każdym mimowolnym układzie, w każdym geście jej było coś nieopisanego. No cóż — zgrabna. Ubiera się nędznie, ale i tak linie wytworne. Nóżka piękna, ręka pełna wyrazu. Za to żadnych rysów, tyle że miła, ogromnie miła i jakaś wdzięczna. Długo rozważa malarz i nie myli się. Młodość ją zdobi. Jak dojdzie do wieku Narcyzy, nie będzie na co patrzeć. Ale nie tęskni za Narcyzą. Wciąż ma do niej pisać, ale jakoś się na to nie

zanosi. Miał niby w początkach sierpnia jechać do niej na Rugię, ale nie chce mu się o tym myśleć.

Narcyza zjawia się chwilami pomimo woli. Jest w tym pewne zdziwienie, trochę niechęci, trochę nudy, trochę jakby przymusu. Palące iskierki we krwi, zwykłe ulubione, codzienne piekiełko, rozbujana wyobraźnia, czepiająca się każdej napotkanej kobiety — wszystko to znikło nieznacznie, nie wiadomo kiedy. Dobrze mu w nowej, od młodzieńczych lat nieznanej swobodzie.

Innymi, jakby dziecięcymi oczami patrzy na piękny świat. Wszystko widzą oczy, dusza pełna tych prawdziwych, nieomylnych cudów, staje się jak czyste, radosne zwierciadło. Wiernie odbija w sobie wszystko, nie mąci zwierciadła żadne myślenie.

Rozkoszny jest upał i zapach wody. Las trzcin, między którymi błądzi krypa, wydaje się pełen tajemnic. Głosy dzikich kaczek i innego wodnego ptactwa odzywają się gdzieś bardzo blisko, gdzieś bardzo daleko, zwodzą, bawią, zaciekawiają. Staje łódź w więzach dzikiego wodnego zielska, ani naprzód, ani w tył. Jakieś dziwne, maleńkie czubate ptaszeczki biegają z nadprzyrodzoną chyżością po nenufarach, skaczą z liścia na liść, biegają zda się po samej wodzie. Coś się przewala i szeleści w trzcinach, pluśnie dźwięcznie i błyśnie srebrną łuską ryba. Zadudni, zatrąbi gdzieś bąk, przeleci ciężko, szumiąc skrzydłami, niezdarne bocianisko, z wyciągniętymi, sterczącymi w tył czerwonymi no-

gami. Niespodziewany, nagły powiew zmarszczy znudzoną, zastałą wodę. Zmącą się jasne odbicia wierzb, trzcin i obłoków, śmieszne, maleńkie fale nieśmiało, cichuteńko bełkocą o łódź, opowiadają coś i, jąkając się, śpieszą, zanim nie urwie się powiew. Nisko, całymi gromadami kłaniają się trzciny, faluje dźwięcząc i szumiąc gęsty las czarnych, nastroszonych kit. Ponad nimi roje szklarek migocą w słońcu skrzydełkami, utkanymi z tęczy.

Siewierski nie może oderwać oczu od tych nieuchwytnych w ruchu, wielobarwnych żyjących cudów. Podpatruje ich kapryśny zmienny lot, odgaduje ich barwy, coś z nich chwyta, goni. Długo ściga malarz niesforne widziadła, przymierza swoje wszystkie farby, palcami rysuje w powietrzu. Jest w zachwycie. A więc — trzy czarne kiście trzciny, niebo, jak to właśnie. I nad tym — dwie szlarki, ani mniej, ani więcej. Płótna nie żałować, niech będzie dużo nieba. Obraz wielki a szlarek tylko dwie, jedna wyżej, druga niżej, obie w migotliwym ruchu, lekkie — jak pajęczyna. Może trzy — żeby jedna była między trzcinami? Po co? Dwie i już. Nie dwie — a dwoje. I da się temu tytuł: „Miłość''. I słusznie. Zrobi się to zimą.

Wygrzebuje się z trudem z wodorostów, przepycha się przez trzciny. Pilno mu do swojej kasetki z farbami i do szkicownika. Coś niecoś naprędce zanotować.

A dziś jeszcze naszkicuje cały pomysł, w paru rzutach, w kilku plamach i da w prezencie tej ci-

chej, dziwnej dziewczyneczce. Raduje go to niezmiernie. Niech mu dokuczają trzy błaźnice, wszystko mu jedno, każda już coś dostała, tylko Kora nic — biedactwo.

Zupełnie rozczulony grzebie niezdarnie wiosłem i usiłuje dobić do brzegu. Zakopał się w mule z ciężką krypą i ani się wydrzeć. Biedzi się i klnie — o trzy kroki od brzegu. Długo pracuje, co chwila o mało nie wpada do wody z tego wysiłku. Wreszcie odważył się, zmierzył, odsadził się i skoczył na twardy brzeg. Wesoło!

Kiedy wychylił głowę ponad trawę, spostrzegł o jakie dwadzieścia kroków przed sobą jakąś postać niewieścią, leżącą w cieniu pod kępą wikliny. Kora!

Przyczaił się i patrzył. Coś go przykuło do miejsca. Najpierw przykry, jakiś zazdrosny niepokój. O czymże ona tutaj myśli? Dziwna, dzika dziewczyna, do nikogo niepodobna. Rozruszać ją! Chwytają go się i trzymają głupie, wesołe koncepty. Trzeba ją przestraszyć, albo coś takiego nadzwyczajnego urządzić. Ogarnia go pusta wesołość. Ogarnia go nadzwyczajna jakaś, boląca radość. Jakieś rozczulenie.

Podgląda i nie może się jakoś ruszyć z miejsca. Przed malarskimi oczami przenikliwie i wyraziście do najdrobniejszego szczegółu rysuje się dziwny pejżaż: odmęt zielonych tonów, soczysty krzak wikliny, pod nim w cieniu łozy osobno leżące plamy: czerwona rozłożona parasolka, biała

książka na trawie i niebieska sukienka. Wszystko nadzwyczajne. A ponad tym na modrym niebie stoi niesłychany jakiś obłok. Co mi jest? — pyta — czyżbym był zakochany? Głupstwo.

Dziewczyna leży na wznak z rękami podłożonymi pod głowę i uporczywie patrzy w niebo, na obłoki. Siewierski nie może od niej oczu oderwać, boi się odetchnąć. Siedzi skulony, nogi mu już drętwieją. Czeka na coś. Niepokoi go ciekawość: o czym też ona teraz może myśleć. O wszystkim, o niczym. Dlaczegóż nie o mnie? — odzywa się głupie jakieś pytanie, tęsknota, zazdrość.

Nagle drgnął i przypadł niżej do trawy. Kora usiadła porywczo, wyciągnęła przed siebie ramiona — jakiś dziwny gest, jakby ogarniający cały piękny świat, jakby odpychający od siebie coś strasznego. Już twarz ukryta w dłoniach. Wstrząsają wiotką postacią głębokie łkania, opada i unosi się głowa. Wreszcie skamieniała z twarzą w dłoniach. Patrzy malarz na tę rozpacz, szarpiącą się pośrodku radosnej łąki. Porywa go potężne wzruszenie.

Na chwilę zapomina o wszystkim i biegnie ku niej. Na ratunek!

Przypomniał sobie „o tym wszystkim'', kiedy stanął nad nią, kiedy zapłakane oczy spojrzały na niego ze zdumieniem, z obrazą, z nienawiścią...

— Przepraszam panią, bardzo jestem winien... Przypadkiem widziałem, że pani płacze. Co pani jest? To bardzo niestosownie z mojej strony — ale może mógłbym w czymkolwiek...

Jakież złe oczy!

— Cóż, trudno. Może mi pan jednak wyświadczyć jedną łaskę. Proszę mnie tu zostawić samą. Zaraz, natychmiast!

Siewierski skłonił się i poszedł szybko wzdłuż ściany trzcin. Był strasznie zły na siebie, a więc na Korę. Znienawidził ją w jednej chwili. Zakochana i jeszcze bez wzajemności — dramaciczek panieński. Widać ten jakiś „on" od tygodnia nie pisze. Oczywiście — radykalny student albo urzędniczek z kolei wiedeńskiej — Tałałajstwo demokratyczne. A co mnie to obchodzi?

Długo irytuje się i wymyśla na czym świat stoi. Wstydzi się strasznie.

Po godzinie jest zupełnie szczęśliwy, wniebowzięty. Przed samym obiadem spotkał się z Korą na tarasie od strony parku. Podała mu rękę tym swoim cudownym ruchem i uścisnęła mocno.

— Byłam dla pana niegrzeczna, może niedobra — oczy jej patrzyły w niego pokornie i nieśmiało — ale byłam tak strasznie nieszczęśliwa. Dziękuję panu za dobre słowo — ale przecież ja pana prawie nie znam... To są sprawy takie obce...

Nagadałby Siewierski za tym razem dużo głupstw, gdyby nie to, że wpadły pannice ze swoim zamętem. Spostrzegły coś pannice. Dał się złapać szczwany gracz. Zośka posmutniała od razu — zaflirtował się z nią kiedyś (przed tygodniem) i nawet ją pocałował i już o tym, oczywiście, zapomniał. Iwa, najmłodsza, rzuciła się na Korę z pytaniami — bo na twarzy Kory znać było jakąś tajemnicę. Wichna uśmiechała się złośliwie.

Udało się nareszcie. Siewierski w głębi swojej istoty drżał ze wzruszenia. Nie wiedział, o czym z nią mówić, jąkał się i był zmieszany. Jedyna sposobność! Po raz pierwszy może z nią pomówić swobodnie.

Szli wąską ścieżynką przez łąki. Idąc za nią, Siewierski jeszcze raz podziwiał ten jej jedyny w swoim rodzaju chód. Płynęła, unosiła się ponad ziemią — lekko, swobodnie. Z rozczuleniem patrzył na jej skromną, źle uszytą sukienkę. — Drogie dziecko...

— To wielkie szczęście być artystą. Mniejsza o sławę. Żyć poza światem, patrzeć na ten piękny świat, na ciekawe, straszne życie, szukać wszędzie, wybrać sobie coś i tworzyć, przetwarzać, stwarzać coś zupełnie nowego, czego nikt nie widzi i nie przeczuwa. Pokazać ludziom swoje marzenie, nakazać im zrozumienie i zachwyt. Czytałam nieraz w życiorysach różnych sławnych ludzi, że artyści męczą się, że mają w życiu ogromne nieszczęścia, jakich nie znają zwyczajni ludzie. Może to i prawda, ale cóż to wszystko znaczy wobec ich rozkoszy tworzenia, tej samotnej, boskiej rozkoszy! Z tym można znosić nędzę, wszelkie niepowodzenia, dramaty... Bo przecież, właściwie, prawdziwy artysta żyje poza życiem — co mu tam życie!

— Myli się pani. Artysta tym czulej, boleśniej przeżywa wszelkie swoje nieszczęścia. Na każdym kroku narażony jest na niebezpieczeństwa, o których nie wiedzą inni. Ma wyczulone nerwy, w duszy wieczny niepokój, chodzi jak chory między zdrowymi i jest dla nich pośmiewiskiem.

— I gardzi tłumem, kto wie, może słusznie. I uzyskał dla siebie osobliwy przywilej, że cały świat może się walić naokoło niego, a on sobie tworzy, maluje, pisze... To największa rozkosz — nie odczuwać nic naprawdę, tylko pośrednio jakoś, jak to się mówi, po literacku. A tyle nieszczęść na świecie... Życie takie okrutne!

— Myli się pani. Właśnie w duszę artysty bije życie jak taranem. W artystę wciela się ból życia, cierpienie narodu...

— A pan, taki wielki artysta, nawet zupełnie nie wie o tym, co się u nas teraz dzieje. Cierpienie narodu — a przecież sam pan mówił wczoraj, że pana nic nie obchodzi rewolucja, że pan nie ma i nie chce mieć żadnego zdania o tych sprawach... To pański przywilej — dla nas, zwyczajnych śmiertelników, zostaje praca, walka, cierpienie...

— Źle mnie pani zrozumiała...

Rozmowa wkraczała na tory „polityki'', której Siewierski nie cierpiał z całej duszy.

— Ja nie czynię artystom żadnych zarzutów — mówiła Kora. — Różne są o tym zdania; — ja im tylko zazdroszczę. Ot, pan, na przykład, może się zagłębić zupełnie w pięknie przyrody, w pięknie

człowieka i myśleć tylko oczami. Jakież to szczęście!

— A czyż to każdemu nie wolno?

— Nie, ja, na przykład, nie mogę. Ilekroć mnie nawiedza zachwyt nad czymś, natychmiast przychodzi na to żal — jakiś gorzki, trujący, bolesny. Stoją przed oczami brudy prawdziwego życia, wielkie nieszczęścia ludzkie, robi się smutno, smutno...

— To pani dlatego płakała wówczas? — spytał niebacznie i zląkł się. — Jeszcze raz proszę mi wybaczyć. Ale Bóg widzi, jak bardzo pragnę z panią szczerości. Słyszałem, że pani jest zagorzałą działaczką, mnie zaś nazywa pani zapewne burżujem. Ale jakże ja bym mógł być waszym przeciwnikiem? Ja mogę tylko bardzo szanować i kochać to, co pani kocha. I jeżeli mówię o szczerości...

Siewierski brnął coraz głębiej i wreszcie zmieszał się zupełnie.

— ...Zapewne mówię bez sensu. Ale kiedym widział wówczas, w taki cudny, pogodny dzień na tych łąkach... Niech pani popatrzy naokoło! Nie mogłem się pohamować. Czyż konwenanse są już najwyższą miarą? Przeklęte, głupie życie! Czy nigdy nie wolno odezwać się prostemu porywowi? Z głębi duszy pragnąłem pocieszyć panią, poratować, jak starszy brat. Wydała mi się pani tak strasznie samotną! Czemu mnie pani wówczas odpędziła?

Kora milczała. Siewierski spojrzał na nią pytająco i niecierpliwie. Patrzyła uporczywie w ziemię, coraz niżej pochylała głowę. Pełne oczy łez.

Wówczas zapomniał o wszystkim, że jest śmieszny, że ma trzydzieści pięć lat, że przekracza wszelkie granice.

— Kocham ją — pomyślał! — i niech się dzieje, co chce!

Schwycił Korę za obie ręce i mówił, mówił. Na nic mu się nie przydały dziesięć lat rutyny miłosnej i doświadczenia z kobietami.

Rozbroiły go te łzy.

— ...W pani jest jakaś tajemnica. Jakieś wielkie nieszczęście. Nawet jak się pani uśmiecha, to twarz pani pozostaje tragiczną. Cóż ja wiem? Ale od pierwszego spojrzenia wyczułem coś niezwykłego. A teraz już nie mogę, panno Koro, nie mogę być obcym twoim sprawom! Nie znasz mnie... Poznaj, zechciej tego. Rodzony brat nie mógłby chcieć dla ciebie tyle dobrego, co ja. Powiedz! Poradź się!...

Kora pobladła. Łzy podziały się gdzieś. Wpatrzyła się w niego dobrym, nieskończenie smutnym spojrzeniem. Usiłowała z początku wydobyć ręce z jego zaciśniętych dłoni, wreszcie zostawiła je bezwładnie. Chciała przemówić, nie mogła.

— Bardzo pan dobry. Takie to dziwne, ale doprawdy... Dziękuję... i już nie mówmy o tym. Niech mnie pan nie roztkliwia swoją dobrocią. Mnie teraz właśnie potrzeba tyle męstwa, hartu...

— Co pani jest? Błagam cię, mów wszystko, ja ci pomogę, ja cię obronię od całego świata, przysięgam!

Uśmiechnęła się smutnie i potrząsnęła głową.

— Nic, panie. Mnie nikt nie może dopomóc, tylko ja jedna, ja sama.

— Zlituj się! Co ci grozi? Cóż cię takiego czeka?

Nagle podniosła głowę i spojrzała mu w oczy. Była to jedna sekunda. Wyjrzały z niej strach i rozpacz.

Zdumiony, przerażony puścił jej ręce. Przez chwilę stali wpatrzeni w siebie.

Na próżno pytał ją i błagał o jedno słowo odpowiedzi. Na próżno czynił najgłupsze przypuszczenia. Kora zamilkła i szła szybko przed siebie, jak gdyby go chciała prześcignąć i uciec od niego.

W parę dni później, po podwieczorku Kora szepnęła mu parę słów. Uszczęśliwiony, pilnował święcie instrukcji. Wymknął się cichaczem, oglądał się pilnie za siebie i przez park, przez przełaz w parkanie poszedł prosto do lasu. Na skraju usiadł sobie na pieńku i drżał z radosnego niepokoju.

Wydawało mu się, że aż do tej chwili życie jego było jakimś tymczasowym istnieniem, z dnia na dzień, głupim i bezcelowym. Dopiero kiedyś tam coś się w nim miało stać. Żył sobie nieopatrznie, bez żadnej troski i bez żadnej myśli. Przepadał za

kobietami, bawił się, malował, a wszystko to było jakby nie naprawdę. Teraz zaczyna się nowe życie i wszystko ma być inaczej. Będzie miał ukochaną żonę, dom, radość, cel. Zabierze się do wielkiej pracy, do owego wielkiego swojego dzieła, które nań czekało. Ustatkuje się, przestanie się bawić malowaniem i stworzy coś nieśmiertelnego.

Ona mu dopomoże, bo dla niej to będzie jego praca. Ukazało mu się jego szczęście, to ich szczęście w tak cudownych barwach, zajaśniało w duszy słoneczno-złociste, aż zdjął go lęk.

— To będzie coś niepojętego. Żeby nam bogowie nie pozazdrościli...

Postanowił nieodwołalnie dzisiaj zakończyć wszystko. Powie wszystko, co czuje. Wie, co mu odpowie — ale to nic. Instynkt i owo doświadczenie dziesięciu lat mówiło mu, że w tajemnej głębinie tej dziwnej, czystej duszy już jest kochany. Rozmyślnie, żeby w tej „świętej'' sprawie nie było żadnych naleciałości z tamtym czasów, będzie niezręczny i szczery, będzie robił tak, jakby właśnie nie należało.

Kory nie można zdobywać — ona musi chcieć, musi naprawdę kochać, na całe życie. Żadnych podstępów, żadnych środeczków! Przecież to dziewczyneczka...

— Cierpi, biedactwo. Przeraża ją to jej pierwsze uczucie. Z nim to walczy? Na to jej potrzeba męstwa? Głupiuteńka...

Cudowny był jej surowy mars, z którym mu

wyznaczała spotkanie. Nie był to nawet wstyd panieński, tylko zupełnie jeszcze dziecinny gniew. Oczywiście odpowie mu: bardzo szanuję pana, ale dzielą nas zbyt wielkie różnice w stanowiskach społecznych i w przekonaniach. — O, sroga działaczko! Od razu oddaję ci połowę moich kapitałów i pół kamienicy, niech będzie równość. A przekonania — natychmiast pokocham Marksa, proletariat, wstąpię do tej twojej partii — i zabieram cię zaraz za granicę, bo cię tu gotowi skrzywdzić.

Rozczulała go ta jej dziewiczość. I sam zapragnął stać się młodzieńczym, naiwnym. Zmazać wszystko z dawnego życia. Wszystko na nowo!

Kiedy stanęła przed nim, coś go w niej zmroziło. Coś go ostrzegło. Nie wymówiła jeszcze ani słowa, a już poczuł w sobie wrogie uczucie i bezwzględność. Kocham ją i za chwilę mogę ją znienawidzieć. Będę się mścił... Biada, jeśli ona ze mną nieszczera. Co to wszystko znaczy? Powitał ją w milczeniu, bez uśmiechu i czekał.

Poszli drogą polną pod lasem. W prostych, ujmująco zwyczajnych słowach panna Kora oznajmiła mu, że ma do niego bardzo ważny interes, a przede wszystkim dla uniknięcia niemiłych nieporozumień, prosi go, żeby porzucił z nią ton flirtowy, który jest jej przykry, i żeby z nią był prosty i szczery. Ma dla niego bardzo wiele sympatii i pragnęłaby go mieć za przyjaciela. Dobrze?

Spojrzała na niego tak dobrze, głęboko i pięknie, że w jednej chwili otrząsnął się z całej obron-

ności. Ale szukał słów i nie mógł jakoś zacząć. I w tym milczeniu szeptał mu ktoś do głębi duszy ponure słowa. Niewyraźne, rozpaczliwe, odurzające przeczucie stanęło przed nim, jak czarny krzyż.

Panna Kora zaczęła z nim mówić nie wiadomo w jakim celu o rewolucji. Obszernie i szczegółowo rozwodziła się o jej celach i środkach, opowiadała różne nadzwyczajne epizody, polemizowała z nim, choć on niczemu nie przeczył i słuchał w milczeniu, ogłuszony tym niespodziewanym obrotem rozmowy. Poczuł, że między nim a nią stanęło coś obcego. Wstyd mu było swoich nadziei i owych sprzed pół godziny rozczuleń. Był przekonany, że właściwie nic do niej nie czuje. Ale głuchy ból zjawiał się natychmiast, jak tylko spotykały się ich oczy. Panna Kora mówiła z niezwykłym ożywieniem i raz po razu spoglądała na niego: pytająco, prosząco, przenikliwie — jak przy namawianiu do czegoś.

— ...Oczywiście, nie śmiałabym nigdy namawiać pana do czegośkolwiek. Po prostu przyszło mi do głowy, że mimo woli i niechcący, bez żadnego zachodu i ryzyka z pana strony, mógłby pan dopomóc dobrej sprawie. Sam pan nieraz mówił, że sprawy te są dla pana w istocie swojej obojętne, że pan się nie zna na polityce, ani na partiach. A więc tym bardziej... Tym bardziej, że nie idzie mi ani o jakąś pracę, ani o przekonania...

— A więc o moje nazwisko? Moje stanowisko społeczne? Majątek?

— Bynajmniej, — roześmiała się Kora. — Potrzeba mi po prostu pańskiego pięknego, wytwornego, drogiego i — nieposzlakowanego mieszkania. Panie! Przecież to skarb! Z nikim z naszych się pan nie zna i nie zadaje. Ma pan opinię „artysty'' i światowego człowieka. Któż śmiałby przypuścić, że pan ma stosunki z naszą hołotą?

— A na cóż to mieszkanie? — rozciekawił się Siewierski.

— W razie potrzeby. Coś przechować. Jakieś zawiniątko. Jakiego człowieka. Mieszkań mamy dużo, ale na jakiś nadzwyczajny wypadek trzeba miejsca idealnie „czystego''. Niech się pan nie obawia kłopotów. Ja sama będę u pana bywać i wszystko załatwiać, a tylko w razie, gdyby mnie zajęto, przyjdzie inny człowiek.

Siewierski przystał na wszystko i nawet dziękował za zaufanie. Cieszył się, że ich będzie coś łączyło. Upajała go myśl, że ona sama będzie u niego bywała.

Panna Kora dziękowała mu z całą powagą, jako przedstawicielka „wielkich tajemnic''. Siewierski pocałował ją w rękę i był wzruszony.

— Panno Koro — zaczął i urwał.

Spojrzała na niego pytająco.

— Chcę z duszy wypowiedzieć pani wiele bardzo szczerych moich uczuć. Ale widać nie czas jeszcze na to. Ja wiem!

To miał na myśli i tymi słowami chciał do niej mówić. Ale zaciął się i nie powiedział nic. Na jej

pytające spojrzenie odpowiedział tylko oczami. I snać zrozumiała, bo pobladła, a potem tylko ukryła twarz w dłoniach i długo stała nieruchomo. Ciągnęło ich ku sobie i odpychało ich od siebie długie, ciężko rozkoszne milczenie. Tylko sosny szumiały przenikliwie i od zżętych pól leciał gorący, duszny powiew.

W Siewierskim miotały się błyskawicowo-zmienne uczucia, na przemian rozkoszne i dręczące. Nieprzeparte pragnienie: porwać ją w objęcia i tym rozstrzygnąć wszystko. Zimne, głębokie przeświadczenie, że — nie! Rozpacz i w głębi duszy szept.

— Czemu nie? Czemu nie?...

Wreszcie Kora oderwała dłonie od twarzy i, patrząc gdzieś w dal, machinalnie, bezmyślnie weszła w las, między drzewa. Podążał za nią w milczeniu, nie wiedząc, co czyni. Gnębiła go jakaś niepojęta zagadka, podobna do męczącego, niezrozumiałego snu. Tajemnica ta miała swój własny, okropny byt. Zawisła nad nim, nad Korą, ogarnęła cały świat. Odbierała oddech, ściskała serce, mąciła w myślach. I na mgnienie oka zatrząsł nim potworny i zabójczy, nieznany strach.

Chwila minęła. Nie zniósłby tego strachu ani o sekundę dłużej. Byłby krzyczał, wył, tarzałby się po ziemi. Byłby zwariował.

Zapomniał o tym, że jest razem z Korą, zatracił pojęcie, gdzie jest i czy jest. Zdawało mu się, że nadprzyrodzonym jakimś sposobem zajrzał do

innego, niepojętego świata i zobaczył coś, nie dającego się ogarnąć żadnym ludzkim wysiłkiem. Z bliska, oko w oko zmierzył się z tajemnicą tajemnic. Dwa błyski: — Chcesz wiedzieć? — Chcę! — I przez chwilę wiedział wszystko, co się dzieje w duszy Kory.

Ale nagły strach natychmiast zmącił wszystko. Zostało tylko pojęcie niesłychanego jakiegoś nieszczęścia. Nadludzki ciężar tajemnicy dźwigała na sobie ta cicha dziewczyna. Wisiała nad nią nie do wiary okrutna groźba.

Szła przed nim, szybko przewijając się między drzewami. W półzmroku leśnym dziwnie jaskrawo odcinała się jej jasna sukienka. Posępnie stały ciemne kolumny sosen na nagiej ziemi. Tylko z góry, od koron spływał przejmujący, świszczący poszum.

Oddalała się od niego, zdawała się maleć i znikać. Ogarniały go złudy. Wydawało mu się, że woła za nią, to znów słyszał głośne jej szlochanie. Dudniał gdzieś głucho, stłumiony, jak spod ziemi dobywający się huk. Umysł ogarniało ciężkie, gorączkowe majaczenie.

Kiedy się ocknął, spostrzegł, że las rzednieje. Kora stała na brzegu i odwróciła się, czekając na niego. Nie wiadomo kiedy przeszli na przełaj przez wielki las i stanęli, ze zdziwieniem patrząc na nieznaną okolicę.

Wszystko tu było inne. Niebo na widnokręgu było złe i ponure. Duszny wicher biegł z pędem

od dalekich, nisko leżących chmur. Na okolicę padało dziwnie przykre światło. Niezwykle białe wydawały się chałupy jakiejś nieznajomej wsi. Z dalekich dróg unosiły się tumany gęstego pyłu. Aż za chmurami rozświetliło się coś, a wśród porywów wiatru dobiegł głuchy ciężki odgłos.

— Burza idzie... — rzekła Kora, patrząc w dal, ku chmurom. — Gdzie my jesteśmy?

— Nie wiem. Ale możemy powrócić tą samą drogą.

— Złapie nas ulewa.

— Za parę minut będziemy znowu za lasem.

— Panie, chyba za jakie trzy kwadranse, za godzinę. Co pan mówi?

— Niepodobieństwo. Przecie dopiero co weszliśmy w las.

Kora spojrzała na niego ze zdumieniem. I w tejże chwili Siewierski spostrzegł i wymierzył ten „czas''. Tak, w istocie to było jakoś bardzo długo. Spojrzał na nią bezradnie, ona ku niemu smutnie i prosząco.

— Nie! Nie! Niech pan nie mówi! Zabraniam! Błagam pana!

Śpieszyli się, wracając. Uciekali przed burzą i przed sobą. Kora nie spojrzała na niego ani razu. Na Siewierskiego spadło ciężkie odurzenie, bezmyślne i przykre. W lesie zrobiło się zupełnie ciemno. Jej jasna suknia majaczyła w zmroku jak widmo. Siewierski podążał za swoim widmem, jak zaczarowany, bez woli i myśli — niepojęta groźba

wisiała nad nim, przeczucie najgorszego nieszczęścia. Ktoś mu odzierał jego życie, jego szczęście. Nie dręczyło go już pytanie: kocha, nie kocha? — nie o to teraz chodziło. Ktoś mu odbierał Korę. Ktoś się pastwił nad nią. Jej to groziło jakieś niepojęte niebezpieczeństwo. Wierzył swojemu jasnowidzeniu. Musiał ją ostrzec, ratować. Od czego? Jak? Mąciło mu się w myślach.

Wśród wiatru i grzmotów dobiegli do dworu. Już padały pierwsze, grube, ciepłe krople deszczu. Drzewa szamotały się z wichrem, zmrok zgęścił się, olśniewały błyskawice. We dworze pośpiesznie zamykano okna. Korę i Siewierskiego powitano radosnymi okrzykami, jak uratowanych od śmierci.

Obskoczyły ich pannice, ale Siewierski nie odpowiadał na przycinki i koncepty, nie mógł się nawet zdobyć bodaj na uśmiech. Spojrzał ponuro na panny i poszedł do swojego pokoju.

Przy kolacji wszedł zmoczony do nitki posłaniec dworski, który jeździł po listy na stację. Siewierski, który siedział naprzeciwko Kory, schwytał jej spojrzenie, przykute do torby, z której Wichna wydobywała listy i gazety. Były to oczy nieprzytomne, obłąkane strachem. Twarz jej mieniła się, przelatywały po niej jakieś błyski, usta drgały. Wichna, nie śpiesząc się, wydostawała listy, czytała adresy i rozdawała, komu należało.

— Ach, jaka śliczna pocztówka! Morze i piękna

pani w wodzie. Cóż to za cudna twarz, szkoda, że tak zupełnie zanurzona. Jakieś mistrzowskie zdjęcie! To dla pana.

Podała mu kartę.

Była to pani Narcyza. Kusiła go spojrzeniem i wołała do siebie na Rugię. Otrząsnął się.

— A dla mnie naprawdę nic? — spytała Kora. Głos jej drżał. — Wichno, poszukaj dobrze, powinnam koniecznie mieć list.

— Nic nie ma — i bardzo dobrze. Nie wiem, po co ci jakieś listy. Tylko cię denerwują. Już ci twoi mogliby ci dać spokój, przecież to wakacje!

Kiedy spojrzał na Korę, oczy ich spotkały się. Patrzyła na niego z ulgą, w jakimś śmiertelnym wyczerpaniu. Oddychała ciężko, patrzała dłużej, niż wypadało, może go nawet nie widziała. Ale Siewierski wyczytał w tym spojrzeniu nieprzebraną głębię uczucia i błaganie o ratunek.

— Muszę wszystko wiedzieć! — rzekł sobie. Podniosła się w nim dzika energia, pełna odwagi na wszystko. Poczuł w sobie siłę i żądzę walki.

— Będziesz moją! — powtarzał sobie i spokojnie najzwyczajniej brał udział w ogólnej rozmowie przy stole.

•

Nazajutrz przy śniadaniu dowiedział się, że po północy przyszedł telegram i, że Kora o czwartej rano wyjechała na stację, żeby zdążyć na pierwszy pociąg do Warszawy. Pani Sączewska i panny były niewyspane i smutne.

— Chciałyśmy pana obudzić, ale Kora nie pozwoliła pana fatygować, kazała tylko bardzo serdecznie pozdrowić.

Wichna była to dobroduszna dziewczyna i nigdy nie docinała mu Korą jak to czyniły starsze siostry, zwłaszcza Zośka. Ale Siewierski podziękował jej tak dobitnie za tę troskliwość o jego wyspanie, ze dziewczynie stanęły w oczach łzy. Na Zośkę, która szydziła z niego dsyć wyraźnie, spojrzał tylko ponuro i zwrócił się do pani Sączewskiej, siląc się na spokój. Jego zmartwienie było w najwyższym stopniu towarzyskie i światowe. Stał się naturalnym i zrównoważonym. Zawiodły się pannice.

— Cóż się mogło stać tak nagle?

— A, proszę pana... Jestem w najwyższym niepokoju o nią. Jedyna córka mojej jedynej w życiu przyjaciółki. Sierota bez ojca, matki, bez niczyjej opieki... Rewolucja, ta rewolucja! Gdyby miała kogoś na świecie, nie dopuściłby nigdy do czegoś podobnego. Dziwna dziewczyna, dobra a zacięta, a wiecznie milcząca. Co dzień mówiłam z nią o tych sprawach. Czyż to właściwe dla kobiety mieszać się do tych spraw? Co to za ludzie, z którymi ona się zadaje? Kiedy u niej byłam w czerwcu, zastałam tam jakiegoś czarnego, niesympatycznego człowieka. Żeby choć wstał, kiwnął głową, nie, łypnął tylko na mnie spode łba, jak zbój, i dalej czytał jakieś papiery. Pokoik mały, ociera się o mnie, a nic. Raz ni stąd ni zowąd (nie przedsta-

wiony!) wtrącił się do naszej rozmowy i mówił do mnie na „wy”. Nareszcie poszedł sobie, jej podał rękę, a mnie kiwnął głową przez ramię. — Któż to taki, pytam. Dopieroż zaczęła się rozwodzić — jednym słowem zbawca ojczyzny, wielki człowiek! Panie, jak ona się naraża! Pokój zawalony paczkami: gazety, odezwy! Wiecznie nie dośpi, nie doje, w ustawicznych rozjazdach. Podniecona, mizerna. Błagałam ją, żeby choć przyjechała do nas na parę tygodni. Nie może! Jest potrzebna! Świat się bez niej zawali! Nagadałam jej słów prawdy, jak matka. Wyjechałam rozżalona. Dopiero w połowie lipca pisze, że może przyjechać, bo to się zgadza z pewnymi sprawami. Co za sprawy? Myślałam, że jedzie tu do nas robić strajk we żniwa, bo znowu krażyły po okolicy jakieś odezwy. Ucieszyłam się, zaczęłam ją paść, pilnować. Odżyła dziewczynina, oswoiła, się trochę — czyż jej tu było źle? Nie! Poleciała, nie wysiedziała nawet trzech tygodni. Na tę spiekotę waszawską, do tych swoich zatraconych robotników. Na pewno dziś, jutro trafi do więzienia, bo i jakże inaczej może być? Kogóż będą brać, jak nie taką, co sama lezie? Płakać mi się chce, jak a tym pomyślę. Taka dziewczyneczka w Ratuszu, w Cytadeli — umarłabym, gdyby która z moich dziewcząt...

— Ale cóż się właściwie stało? — dopytywał się Siewierski. — Panna Kora zdawała się oczekiwać na jakieś ważne wiadomości. Denerwowała się...

Pani Sączewska bezradnie i szeroko rozłożyła ręce.

— Nie wiem nic, ale wszystko jest możliwe! Kto dojdzie ładu z rewolucjonistami? Tam wszystko do góry nogami. Zmarnują mi dziewczynę...

— Bardzo lubię Korę, — zauważyła Zośka — ale za tym razem była już zanadto dziwna. Wiecznie roztargniona, nieprzytomna; ani razu nie mogłam się z nią rozgadać, jak dawniej. Chodziła tu między nami, jak jaka lunatyczka, jak zahypnotyzowana.

— Taka wrażliwa dusza! — unosiła się Wichna. — Jak ona musi nieraz cierpieć — przecież ja nieraz sama o mało nie płaczę, jak czytam w gazetach o tych okropnościach, a ona widzi to na własne oczy i sama się miesza do wszystkiego. Opowiadała mi, że niedawno powiesili jednego robotnika, jej wielkiego przyjaciela. Obrzydliwa rewolucja!

— Niech ją Bóg strzeże! Nieszczęśliwa sierota, modlę się za nią co wieczór — westchnęła pani Sączewska.

Wybrał sobie piękny kawałek pejzażu i malował zawzięcie. Na pierwszym planie modre pole łubinu, z boku ściana lasu, na widnokręgu srebrzysty zakręt rzeki. Podobało mu się to.

O ile w pierwszej chwili chciał, nie zważając na żadne formy i pozory, jechać za nią zaraz, najbliż-

szym pociągiem, o tyle teraz zaciął się i rad był z tego.

Niewymownie go zraniła obojętność Kory. Nawet się nie pożegnać! Dobrze! Nigdy się nie kochał bez wzajemności, to i teraz nie będzie. Nie dały mu rady mistrzynie i donżuanki warszawskie, nie będzie go wodziła za nos i ta socjałka.

Teraz, po rozstaniu, mógł myśleć o niej na trzeźwo.

Opętanie minęło wraz z jej zniknięciem. — Ach, jak to dobrze, jak to dobrze! — wzdychał z ulgą. — O mało nie zrobiłem kolosalnego głupstwa. Uratował mnie ślepy traf.

Właściwie uratowała go obrażona duma. W myślach mścił się nad Korą, wyśmiewał się z niej i szydził ze siebie. Ale nad wszystkim górowała radość, że znowu jest wolnym. — Czy to dla mnie małżeństwo, rodzina, ślubowana niewola? Cóżby to było tak w jaki rok po owym Veni Creator?... Strach pomyśleć! Mniejsza o to — dobrze jest.

Zbliżył się znowu z Zośką, która nie była zawzięta. W trzy dni po zniknięciu Kory byli na bardzo uroczym spacereczku w tym samym lesie, gdzie ich z Korą zastała burza. Pogodzili się tak dalece, że podczas odpoczynku na trawie ucałował kilkakrotnie wysuniętą na pokaz piękną nóżkę w płytkim pantofelku. Pannica udawała, że tego nie spostrzegła i była nadal dobrą, łaskawą, coraz łaskawszą.

Siewierski wiedział, że cały dom gorąco pra-

gnie, żeby się pobrali. Śmiał się z tego i bawił się doskonale z dorodną panną.

Do pani Narcyzy napisał krótki list płomienny i nieprzyzwoicie miłosny. Obiecywał szybki przyjazd i zapewniał, że tęskni, jak potępieniec. Było do czego tęsknić. Chwilami ogarniało go, jak płomień, wspomnienie jej pocałunków. Postanowił dokończyć nareszcie jej portretu w całej, nie osłoniętej niczym prawdzie jej szatańskiej urody. Dzieło to, rozpoczęte przed rokiem, postępowało wolno, gdyż w godzinach pozowania za każdym razem zdarzały się momenty, kiedy ciskał pędzel i rzucał się na nią, znowu oczarowany, nigdy nie syty. Miała w sobie tysiące zmiennych pokus, coraz to nowych, coraz bardziej niespodziewanych — a zwłaszcza jedno nieopisane spojrzenie swych zielonych, grzesznych oczu. I kiedy wpatrzyła się w niego tym szatańskim spojrzeniem, zamglonym, niby zawstydzonym, niby wyzywającym, pokornym a nakazującwm...

To też wybierał się na tę Rugię, a tymczasem flirtował niegodnie z Zośką. Było mu lekko, jak gdyby przyszedł do dawnych sił i nareszcie odnalazł siebie po jakiejś ciężkiej chorobie.

Malował swój pejzaż z zapałem i z ochotą. W pewnej godzinie przychodziła do niego panna Zośka i zaczynały się zalecanki, w których bez żadnego wysiłku opanowywał sytuację i mógłby czynić, co by tylko chciał, gdyby mu na tym zależało. Ale ponieważ chciał być „correct'', a zarazem „na

swoim miejscu", więc obcałowywał ją tylko na wszystkie strony bez przekraczania pewnych granic i bez żadnych deklaracji małżeńskich. Robiło się to wszystko jakoś bezmyślnie, pogodnie i po prostu.

Pewnego dnia, kiedy rozmowa przy malowaniu doszła do niebezpiecznych tematów, kiedy wyczuwał, że panna zaraz zapyta go wprost, co ma zamiar z nią dalej czynić, Siewierski, chcąc odwrócić owe nieprzyjemności, wziął do ręki Kuriera (Zośka nosiła się zawsze z gazetami), udając, że ciekawy jest nowin.

— Widzi pani, panno Zofio, co to się wyrabia w Warszawie. Czy oni tam już zupełnie poszaleli? Przecie to otwarte powstanie! Okropności!

W gazecie było pełno okropności o piętnastym sierpnia. Zabójstwa, zamachy w stu na raz miejscach stolicy i kraju, odwet policji, wojsko, potworne obławy policyjne, sądy polowe, strach i groza, zatrzymanie wszelkiego życia normalnego, niepewność dnia i godziny...

W jednej chwili uczyniło mu się w duszy źle i ponuro. Nie poruszyła go krew ofiar, ani ten jakiś widomy a nieprzewidziany przełom w życiu narodowym. Było to wszystko jakieś obce i nie zobowiązywało go do niczego. Jednak ściskał go żal za czymś, do kogoś. Nic mu nie groziło z dala od krwawych wypadków, w bezpiecznych, sielskich Tymiankach, a jednak zdjęła go śmiertelna obawa.

Nieznośny, plugawy wstręt do siebie dopowiedział mu reszty.

Kiedy powracali do domu, Zośka obserwowała go ze strachem. Co się z nim stało? Przez całą drogę milczał zawzięcie, odpowiadał jej byle co. Był zupełnie, niemożliwie niegrzeczny. Panna zawiedziona i obrażona, tłumiła łzy.

W Warszawie było ponuro i groźnie. Ludzie, zdenerwowani i wystraszeni, przemykali się między patrolami konnymi i pieszymi, od których roiło się po ulicach. Ustawiczne rewizje uliczne wywoływały co chwila popłoch i gromadne ucieczki, co natychmiast szerzyło panikę wokoło. Zamykano sklepy i bramy, tłumy przechodniów gromadziły się po cukierniach, żeby przeczekać obławę krążyły plotki, legendy, przepowiednie. Znowu przypomniało się widmo z zeszłej zimy — mityczna „czarna sotnia" nadchodziła skądściś, zbliżała się, miała przybyć dzisiaj, jutro. Znowu zatarasowywano po nocach bramy, ludność żydowska przepełniała pociągi, uciekajac na cztery strony świata przed oczekiwanym „pogromem". Wszędzie żołnierze. Na każdym rogu ulicy, przed każdą instytucją rządową, przed każdym bankiem i monopolem, przed każdą fabryką. Żołnierze w tramwajach, żołnierze eskortujący furgony pocztowe, żołnierze, prowadzący gromady więźniów...

Siewierski zaraz po przyjeździe wyszedł na miasto i skierował się ku Zielnej. Nie miał żadne-

go planu, nie wiedział, co z nią mówić i jak zacząć. Bał się tylko jednego — że spojrzy na niego, jak na obcego.

Reszta, kłopotliwe położenie, śmieszność, obrażona duma i cały ciąg dalszy, lepszy czy gorszy, mogący z tego wyniknąć, były sprawami podrzędnej wagi. Szedł szybko, starając się nie myśleć o niczym.

Zadzwonił na trzecim piętrze i nad wszystkim zapanowała radość, że ją ujrzy zaraz, natychmiast. — Kocham cię — szeptał do drzwi, na których zresztą przybity był bilet: „Apolinary Lekszycki, urzędnik".

Stanął na progu ów urzędnik i tonem urzędowym i suchym oznajmił, że jego sublokatorka wyjechała przed trzema tygodniami i nie wróciła jeszcze ze wsi.

— Ależ pan się chyba myli? Wiem na pewno, że ze wsi już wyjechała przed tygodniem.

— Bardzo panu wierzę, ale chyba i ja wiem, co się dzieje u mnie w domu. Tej panny dotąd nie ma. Żegnam szanownego pana.

Siewierski przeraził się. — Spotkał ją jakiś przypadek w drodze? Zachorowała? Wzięto ją do więzienia? Co się stało? Boże, gdzież ona jest?

Szydził z niego ślepy władca, realizm życia. Jego gwałtowna rozpacz była pełna jakiegoś poniżenia. Budził się w nim gniewny żal do Kory, zawód był zupełnie nieoczekiwany. Wszystkiego się mógł spodziewać, ale tego. Było to za proste.

Przygotowywał się do walki z wielu nieznanymi mocami. Kora mogła go przyjąć obojętnie, mogła się obrazić za napastowanie jej, mogła zasłaniać się obowiązkami wobec swojej rewolucji, mogła udawać przed samą sobą — wreszcie niechby zachorowała, niechby się dostała do więzienia... Ale ona po prostu, zwyczajnie — jeszcze nie przyjechała!

Powracając do domu, miał zamęt w myślach. W tym zamęcie, na chwilę, błysnęła jakby ulga, jakby radość.

— Znowu o mało nie popełniłem głupstwa! Ocalił mnie ślepy traf!

Ale już stylizował w myśli list do Kory, który ma być wysłany jeszcze dzisiaj, żeby go zastała, jak tylko przyjedzie. — A przyjedzie dziś, jutro, lada chwila. Po prostu wstąpiła gdzieś po drodze do jakichś krewnych. Cóż ja o niej mogę wiedzieć? Wiem jedno — ona mnie kocha! Może o tym jeszcze sama nie ma pojęcia, ale kocha, musi mnie pokochać.

Po chwilowym upadku na duchu, podniosła się w nim znowu gwałtowna, niecierpliwa siła. Wyzywał do walki wszystko. Niech będzie, co chce — wszystkiemu da rady.

Nie napisał jednak żadnego listu. Za to codziennie z rana chodził na Zielną i pytał stróża. Stróż za każdym razem odpowiadał, że jeszcze nie przyjechała. Stróż był bardzo grzeczny, bo dosta-

wał co parę dni po rublu i po tygodniu w stróżowskich marzeniach zaczęła się ukazywać sytuacja z bajki: panna z trzeciego piętra nie przyjędzie nigdy, a nieznajomy pan przez całe życie będzie przychodził co rano z rublem.

Mijały dni, mijały tygodnie. Od dawna przestał Siewierski chodzić na Zielną. Zaciął się. Tylko codziennie niechcący kręcił się po tamtych stronach, nie spodziewając się właściwie niczego, a zarazem licząc na jakiś traf.

Ucichała w jego duszy namiętna tęsknota za Korą. Sama ona stawała się czymś jakby nierzeczywistym. Bywały chwile, że unosiła się gdzieś w przestrzeni, jako symbol niedocieczonych rzeczy wielkich. Otaczało ją całe morze burzliwych myśli, niespodziewanych wizji. Biło od niej tajemnicze światło, które wydobywało z nicości mnóstwo nieznanych zjawisk. Siewierski zaczął spostrzegać wokoło siebie mnóstwo rzeczy, na które nigdy nie spojrzał, o których ani razu nie przyszło mu do głowy pomyśleć, choć ocierał się o nie codziennie. Działo się to jakoś przez Korę.

W sobie samym odkrył niejedno, o czym mu się nawet nie śniło. Zmącił się i wezbrał strumyk jego życia, płynący aż dotychczas pogodnie a wesoło. Urwała się trwająca z dnia no dzień bezmyślna radość życia i wieczyste zadowolenie ze siebie.

Malarz zaczął nareszcie patrzeć i widzieć.

Niepokoiły go gorzkie rozważania, które, poczynając się jakoś od myślenia o dręczącej go dziewczynie, uderzały w niego samego. Wydobywały się na jaw sprawy niemiłe. Niejednego się wstydził z dawnych lat, pożałował niejednego „głupstwa'', które raziłoby u filistra, ale na które pozwalał artystom kodeks artystyczny. Jakoś nie wszystko było tam piękne i dionizyjskie. Czyniło się pustawo w tej pełni życia. Krańcowy indywidualista, człowiek renesansu, pewny swojej wartości i pewny swoich przywilejów wśród filistrów, tłumu, hołoty wszelkich klas społecznych — zaczynał spostrzegać otaczające go prawdziwe życie. I zdarzały się chwile, kiedy sam sobie wydawał się znacznie pomniejszonym, a co gorsza, cokolwiek śmiesznym i niezupełnie potrzebnym na tym padole.

Takie rozmyślania były nieraz nad wyraz przykre. Doszło do tego, że wstydził się niektórych swoich obrozów, choć im zawdzięczał swoje imię.

— Nic jeszcze nie zrobiłem — szeptał ze zgrozą.

I z niesmakiem myślał o pewnej pięknej tece, z wyciskanej skóry, w której gromadził sprowozdania z wystaw, pochlebne wzmianki i całe studia, poświęcone swoim obrazom. — Ta jego warszawska sława...

Zaczął się na dobre spleen. Pewnego dnia spostrzegł, że nic go naprawdę nie obchodzi. Było to w dniu, w którym otrzymał od pani Narcyzy list, że przybywa za tydzień. Nawet to było mu obo-

jętne. Pracować nie mógł zupełnie. Ze znajomych nikogo jeszcze nie było w mieście. Włóczył się po cukierniach z odrazą do Warszawy, z jej upałami, kurzem i rewolucją.

Jednak sprawy, którym służyła Korą, wzbudziły jego ciekawość. Czytywał gazety, dowiedział się wielu rzeczy zupełnie nieznanych, a wielu nie rozumiał jeszcze.

Sprawy społeczne były dla niego obrzydliwe, patriotyzm jego polegał na wyrzekaniu na ucisk w zaufanej kompanii, oraz na pewnych anegdotach. Raz zresztą zwymyślał publicznie generała wojsk obcych, który zanadto po wojskowemu przyglądał się damie z jego towarzystwa. Cóż więcej? Siewierski podpisywał się po polsku na kwitach pocztowych. Kochał Polskę i kochał Warszawę, a nade wszystko jej słodką, domową atmosferę. Rewolucja oszpeciła ukochane miasto, zburzyła miły codzienny ład, człowiek nie był pewien życia, zamachy, strajki i płynące stąd represje. Nie porwał go nawet pochód narodowy. Nawet w wyborach do Dumy nie brał udziału, pomimo że napastowały go w pracowni i w mieszkaniu piękne panie z listą narodową.

Wskutek tego nie czuł osobliwszej nienawiści do socjałów i nie zaraził się nią w swoim otoczeniu. Uważał ich po części za jakichś półgłówków, po części za jakichś bandytów, a po udanym i efektowniejszym zamachu — bodaj że i za pewnego

osobliwszego rodzaju bohaterów. Endecy byli dla niego wstrętnym tłumem filistrów, socjaliści — wstrętną kanalią, a wobec jego politycznego nihilizmu jedni byli warci drugich.

To też nie uraziło go ani na chwilę, że Kora jest rewolucjonistką. Wolno jej być, czym chce, byleby rzuciła wszystko i poszła za nim. Zostałby bez wahania najskrajniejszym socjałem, byleby go pokochała.

Ale rewolucja odbierała mu Korę. Dzieliły ich jej spiskowe tajemnice i tajemnicze znikania. Porywał mu ją z objęć jakiś potężny huragan, który miotał masami ludzkimi i szalał w kraju już od roku. Wrosła w szeregi ludzi ponurych i zażartych, pokochała walkę i poświęcenie, ogarnęła ją ta jakaś rewolucyjna zaraza, o której czytywał nieraz w gazetach, wylewających łzy i żółć nad „przeklętym pokoleniem''.

Czuł, że Kora wymyka mu się, że ucieka przed nim duszą i że jeżeli go nie kocha, to tylko dlatego, że jej „nie wolno''. Gdyby jakimś cudem uspokoiło się wszystko naraz — spojrzałaby nareszcie w oczy szczerze, prosto i odpowiedziałaby — tak.

W Siewierskim budziła się straszliwa, tajna nienawiść do rewolucji. Było to uczucie ślepe, żywiołowe. Żadnego rewolucjonisty nie znał, o dążeniach ruchu nie miał wyraźniejszego pojęcia. Wyczuwał w tym chaosie złą potęgę, która odbierała mu jego szczęście. Jak walczyć o odzyskanie

Kory? Nie było na to sposobu — bo zatracona dziewczyna kochała te sprawy, a zatem i on jakoś po swojemu, na wpół obłudnie, na wpół szczerze, musiał korzyć się przed nimi.

Imponował mu śmiały, ogromny ruch, wstydził się swojego dotychczasowego sobkostwa, raniło go słowo „artysta'', kiedy wymawiała je Kora.

Pełno sprzeczności i ani chwili spokojnej myśli, ustawiczna irytacja. Dokonywały się w nim jakieś głębokie bolesne przeobrażenia. Utracił wszelką pewność siebie i w istocie nic już o sobie nie wiedział.

Chciał się zmienić i nie mógł. Wkupić się do kompanii, stać się „towarzyszem'' i tym pozyskać Korę? Zapomnieć o niej i żyć po dawnemu, wolnym życiem?

Dręczył się wśród chaosu niewyraźnych, sprzecznych myśli — mordowały go ustawicznie, co godzina zmieniające się nastroje.

Radość! Kora przyjechała, zobaczy ją dzisiaj. Wszystko się rozstrzygnie od jednego spojrzenia... Nic mu jej nie wydrze! Będzie szczęście...

Ostry, nieznośny niepokój. Najgorsze przypuszczenia — cóż to jej grozi?

Szukał jej losów wśród okropności codziennej kroniki wypadków, podawanych przez pisma. Męczy się gdzieś w prowincjonalnym więzieniu, napastowana przez rozżartych dozorców. Krwawo

uśmierzane bunty więzienne, ponure protesty głodowe... Śledztwa, sądy...

Strzały po nocy. Ponure oblężenie paru straceńców przez tłumy wojska i policji. Dlaczego nie może to być, że między nimi jest i ona? Zbitą kolbami, skrwawioną wloką do więzienia. Sąd polowy, we dwadzieścia cztery godziny śmierć...

Wizje te stawały przed nim zazwyczaj wśród nocy. Budziła go z głębokiego snu czyjaś ręka. Zrywał się gwałtownie, z głową pełną przerażenia. Pełne oczy okropnych obrazów.

Przebiegały przed nim szybkie, ciche, jakby sceny z żywej fotografii.

Mnóstwo obcych, ponurych ludzi. Złe, rozżarte oczy. Wściekły, falujący tłum, widzi się ich dzikie wrzaski. Ponad nimi jej postać, jej zrozpaczone oczy. Czyż wysłucha jej tłuszcza? Zmiażdży ją, rozerwie na sztuki!

Urywały się obrazy. Zapadały ciemności na dłużej, na krócej, czasami tylko na małą chwilę, zupełnie jak na zwyczajnym przedstawieniu. Wyrastał nowy obraz i drgał swoim martwym życiem.

Wszędzie ona. Wszędzie otoczona okropnościami. Zmuszają ją do czegoś straszni ludzie. Na nic jej łzy, na nic prośby. Na próżno jasne jej oczy szukają swojego człowieka, przyjaciela. Ku czemuś strasznemu ją pchają czyjeś mocne, niemiłosierne ręce.

Długo wpatruje się w jej oczy, mieniące się trwogą, żalem, rozpaczą, to znów promieniejące

nieziemskim ogniem ekstazy, straszliwym jakimś szczęściem.

Te płomienne upojenia jej oczu zdejmowały go trwogą najgorszą. Wydawała mu się oderwaną od ziemi i życia i utraconą na zawsze. — Ona umarła! I z całego chaosu myśli i obrazów, ta myśl wydawała mu się jedynie prawdziwą.

Jeżeli jeszcze żyje i chodzi gdzieś po świecie, to dni jej policzone. Czytał to w jej strasznych, uporczywie wpatrzonych teraz w niego oczach, odnajdywał w drobnych zdarzeniach z tych trzech tygodni, spędzonych razem w Tymiankach, w jej półsłówkach i westchnieniach, w tej ustawicznej i niepokojącej dziwności, której nie podobna było w niej ogarnąć.

Nie było to przelotne wrażenie. Przeświadczenie to urabiało się zwolna, wrastało w duszę coraz głębiej i nie opuszczało go ani na jedną chwilę. Zdawało się, że jakiś stary, mądry i zaufany przyjaciel dzień po dniu przygotowuje go do tego ciosu, tłumaczy wszystko, rozważa z nim razem wszelkie następstwa i nawet usiłuje go pocieszyć.

— Byłoby ci jeszcze gorzej, gdybyś ją przedtem zobaczył. Niech już tak zostanie... Po co się dręczyć? Po co masz jeszcze dotkliwiej pamiętać?

— Nieprawda! Będę ją widzieć! Muszę z nią mówić!

Zdarzało się i tak, że rozumował logicznie. Mijało to jednak szybko. Były to chwile jasnego

widzenia i okropnej jakiejś pustki.

Rozumował: jestem chory na przywidzenia. Sama Kora jest przywidzeniem. Spotkałem ją przypadkiem, widywałem się z nią niecałe trzy tygodnie. Przywidziało mi się, że w niej jest coś nadzwyczajnego. Przywidziało mi się, że ją kocham. Denerwuję się majakami. W moich przypuszczeniach dochodzę do absurdów. Co jej się może stać? Dostanie się do więzienia. Toć przecie sama tego chce. Posiedzi, puszczą ją i niechże sobie żyje w spokoju. Wyjdzie za mąż za straceńca towarzysza, będzie z nim miała dzieci i do końca życia będzie klepała cnotliwą socjalistyczną biedę. Co mnie to wszystko obchodzi?

Bywały chwile i godziny, kiedy rzeczywiście nic go nie obchodziła Kora. Ale zaledwie zdołał uświadomić to sobie i uradować się z odzyskanej wolności, zaczynała go drzęczyć pustka, samotność. Ogarniała go rozpaczliwa nuda. Nie wiedział, co ze sobą począć.

Zagubił siebie i nie mógł się odnaleźć. Wszystko się w nim odmieniło. Gdzie dionizyjska filozofia, gdzie cnota helleńska, radość życia i żądza życia?

W parku Łazienkowskim zapadał właśnie zmrok. Aleje stawały się czarne i głębokie. Z rzadka przemykał się ktoś spóźniony i śpieszył ku wyjściu. Gdzieniegdzie świecił w ciemnościach papierosem jakiś uparty, który za cenę wszelkich

nieprzyjemności przy wyjściu u furty chciał jeszcze użyć wieczornego powietrza i chłodu. Gdzieniegdzie podnosiła się z ławki zapóźniona para i leniwymi krokami posuwała się w czarnych cieniach drzew.

Jedna z nich zatrzymała się tuż przed ławką Siewierskiego, nie widząc go w ciemnościach. Tuż, o dwa kroki stało cudze szczęście. Jakiś wysmukły kształt w jasnej sukni... Ciemności wokoło — ktoś w ciemnościach obok niej — kocham, kocham, kocham... szeptała wśród pocałunków niewiadoma kobieta do niewiadomego kochanka.

Na mgnienie oka ta jej jasna suknia odebrała Siewierskiemu rozum. Uczyniło się widno wśród ciemności i ujrzał Korę, gnącą się w objęciach nieznajomego.

W jednej chwili zerwał się i spadł na ławkę. Spłoszona para znikła, znikło natychmiast i przywidzenie. Jak jasna prawda błysła mu w duszy jakaś niepojęta okropność, a Siewierski pogrążył się w bólu, jakiego nie zaznał jeszcze. Był w tym bólu strach i przeczucie rzeczy najgorszych i ostatecznych.

Okropnie zrobiło mu się na świecie. Drżał wobec niepojętej jakiejś groźby. Wiedział, że dziś, w tej samej chwili wypowiedział ktoś nad nim tajemniczy wyrok, nieodwołalny, jak sama śmierć. Zawisło nad nim coś straszniejszego od nicości. Zimno! Zimno, jak w grobie. Zamęt w duszy gorszy, niż w chwili konania.

W jednej chwili przeobraziło się w nim wszystko. Znikło dawniejsze, ogarnęło go coś nowego. Było to nieznane, okropne. Przed jego tajemniczą mocą zginał się w strachu i zgrozie. Jak obłąkany niczego nie był pewny i nic o sobie nie wiedział.

Gdzie jestem? Co myślę? Czym byłem? Czym jestem? Boże! Co się ze mną dzieje, co się ze mną stanie?

Jedna to była chwila. W bólu i zgrozie coś się w nim przełamało. Patrzały oczy w dal niewiadomą ponad wszystko, co kiedykolwiek w jego życiu było i co o sobie sam wiedział. Zapomniał o sobie, zapomniał o niej. Nic w duszy — jeno trwożne wyczekiwanie. Zapadł jakby w czujny, niespokojny sen na chwilę przed uderzeniem strasznej wyrocznej godziny.

Zbudził go szum drzew.

Po upalnym dniu, z pól i lasów przypłynął na rozprażone miasto świeży powiew. Szedł od dalekich jakichś chmur, przed burzą, która już gdzieś szalała o tej porze. Wicher mocny, niespokojny szarpał się w uwięzi drzew, szumiał przenikliwie, groźnie. W dziwny sposób, tajemniczym nadludzkim słowem odpowiadał zdręczonemu człowiekowi na jego trudne pytania.

Siewierski słuchał, nie wiedząc, kto do niego mówi, nie dziwiąc się, że ktoś zna jego najtajniejsze udręczenia i niewiadome jego losy. W odmęcie nieuchwytnych tonów, w zamierających i odradzających się co chwila porywach, wśród przeni-

kliwego szelestu, szeptania i pogwarów, w nagłych napadach złych sił, które szamotały się w gałęziach, rozwijała się jakaś symfonia, pełna głębokiego znaczenia.

Słuchał.

I widział swoje przyszłe losy, to życie nowe, niesłychane i niepodobne do niczego, co przeżyli ludzie. Czeka go męka, szarpanie i obłąkana walka z tym, co dla człowieka nieprzeparte. Żadnej nadziei! Ogarniała go trwoga — przemykały się przebłyski świadomości — coś się ze mną dzieje, coś się już stało, ja chyba umieram?

A wiedział, że będzie żyć długo i dreszczem zdejmowało go to przyszłe, nieznane życie. Cóż ze mną będzie? Co może być najgorszego?

Najgorszy był ten jego lęk, straszna odraza do jutrzejszego dnia. W groźnym szumie drzew przelatywały przez jego duszę strzępy poczwarnych obrazów, obłąkane jakieś wizje.

...Czyjeś czarne ślady na mokrym topniejącym śniegu...

...Nigdy nie spotykana, nieznajoma twarz, szydercza, nieubłaganie drwiąca nad jego ostatecznym jakimś pohańbieniem...

...Pustka bez granic, w nieskończoność idzie szary, płaski świat i chmury nisko nad ziemią...

Ciężki sen, bez żadnego sensu, przykry, niepojęty, jeno ten sen to prawda, która go czeka, która niechybnie stać się musi...

Strzępy te sypały się niewyczerpane i szybkie.

Gromadziły się, ciążyły pamięci — bolała głowa. Stawały się obłąkane, niemożliwe, przerażające. Gmatwały się ze sobą w ohydny splot nonsensów, z których niepodobna się było otrząsnąć. Wreszcie w wyczerpanym umyśle wszystko zasnuwać się zaczęło mgłą, a widma szalały wciąż poza jakąś zasłoną, niepoznawalne, odprawiając już dla samych siebie jakiś niepojęty, zgrozę budzący taniec.

Siewierski wsparł się na rękach, ukrył twarz w dłonie, zdawało mu się, że usypia.

Kiedy podniósł głowę i otworzył oczy, ujrzał światłość bijącą z głębi czarnej alei. Wpatrzony w niepojęte zjawisko zapomniał o wszystkim. Blask przygasał i wzmagał się, zmieniały się jego barwy, jak w ogniach bengalskich. Krwawo wyrastały pnie i konary drzew, krwawa łuna słała się po ziemi. Raziły w oczy zielonkawo białe odblaski i stawały drzewa, jak w świetle błyskawicy. Aż w zmiennej kolei dopaliły się te dziwy w łagodnym, smętnym, blado-liliowym zabarwieniu. Jak zaczarowana grota wydała się sklepiona aleja. W głębi jej zrodziły się niewyraźne zarysy. W powolnym i, o dziwo, jakby znajomym ruchu, wyłoniła się postać, utkana z bladych świateł i zlewająca się z nimi. Przygasały tajemnicze ognie, już tonęło i zatonęło wszystko wokoło w ciemnościach. Tylko świetlana postać Kory widniała jeszcze długo w głębi czarnej alei. Z pochyloną głową, w głębo-

kiej zadumie, wiotka i wysmukła, odziana jakby fosforyzującą mgłą, sunęła gdzieś w głąb, w dal.

Siewierski porwał się z ławki i nieprzytomnie, błagalnie wyciągnął ku niej ramiona. Zgasła natychmiast, utonęła w ciemnościach i w ponurym szumie drzew.

Nazajutrz zbudził go z tępej zadumy niezwykle gwałtowny dźwięk dzwonka. Przenikliwy ten głos żgnął go jak sztyletem. Zerwał się, pobiegł do drzwi.

Otworzył, spojrzał — nie było nikogo. Dopiero wychyliwszy się za próg, ujrzał postać kobiecą, stojącą z boku pod ścianą. Oparta była plecami o ścianę i trzymała się muru kurczowo rozpostartymi palcami obu rąk. Głowę miała spuszczoną na piersi i brzeg szerokiego kapelusza zasłaniał twarz. Poznał ją natychmiast.

Z bladej jak płótno twarzy spojrzały ku niemu jej obłąkane oczy. Rękami czepiała się ściany i zdawała się osuwać na ziemię. Porwał ją, podtrzymał i prowadził ku drzwiom.

— Proszę mnie trzymać...

— Kora! Kora?... Co się stało? Co?

— Osłabłam. Chyba zemdleję... Mocno trzymać... Nie mogę upaść!...

Uszczęśliwiony i strapiony, nic nie rozumiejąc, pełen obaw i przeczuć, niósł ją raczej niż prowadził w głąb mieszkania, zapomniawszy nawet

zamknąć za sobą drzwi. Złożył ją na kanapie w saloniku i ukląkł przed nią.

— Przyszłam... przyszłam... — szeptała i ucichła. Głowa jej zwisła.

Siewierski latał nieprzytomny po całym mieszkaniu, szukając wody, kropli trzeźwiących i nie wiadomo jeszcze czego. Nad obawą i wszelkimi złymi przeczuciami górowała w nim radość. — Coś się stało, ale to nic. Kora do mnie przyszła! Ona tu u mnie jest!

Kiedy stanął nad nią z wodą i z jakimś octem toaletowym, Kora już siedziała na kanapie i sama wyciągnęła rękę po wodę. Wypiła chciwie całą szklankę i uśmiechnęła się słabo.

— Przyszłam tu panu wyprawiać awantury! Przepraszam i proszę mi wierzyć, że tylko w zupełnej ostateczności...

— Tak? A ja czekam na panią od dwóch miesięcy dzień po dniu... Co ja przeszedłem przez ten czas! Panno Koro! Ja jestem już zupełnie inny! Tak strasznie się męczyłem...

— Czemu?

— Bo nie wiedziałem, gdzie pani jest, ani co się z panią dzieje. Dręczyły mnie przywidzenia. Groziły mi jakieś straszne tajemnice. Myślałem, że umarłaś. O pani! O pani — co ja wycierpiałem choćby wczoraj. To było o tej samej porze. Nic nie chciałaś we mnie widzieć, nie pożegnałaś się nawet ze mną, nie masz nade mną litości — Kora. Za co mnie dręczysz?...

Zapomniał o wszystkim i roztapiał się w skargach, w radosnym uwielbieniu i w nieogarnionym szczęściu tej pierwszej chwili powitania.

Kora miała spuszczone powieki i nieruchomą martwość w twarzy. Zdawała się być utrudzoną fizycznie i wyczerpaną duchowo do ostateczności. Raz tylko podniosła na niego oczy. Siewierski przeraził się. Już się skończyło szczęście! Wstyd, obrzydzenie do siebie...

Zapomniał o swojej tęsknocie, o wszelkich nadziejach. Widział jedno, że Kora jest nieszczęśliwa.

Ukląkł i, trzymając ją mocno za obie ręce, błagał, żeby mu powiedziała wszystko. Przysięgał, że jej dopomoże, że zrobi wszystko, obiecywał dokonać rzeczy niemożliwych. Mówił mnóstwo słów niepotrzebnych, język mu się plątał, co chwila powtarzał: — Kocham cię. I cóż z tego? Nie zważaj na to zupełnie — ją cię nie będę prześladował miłością! Powiedz, co mam dla ciebie uczynić?... Żądaj wszystkiego. Ja jak dla siostry rodzonej! I cóż, że cię kocham? Przecie niczego od ciebie nie chcę. Powiedz, kto cię skrzywdził? Co ci zagraża?...

Kora nie odrywała od niego oczu. Chciała mówić, ale poruszała tylko wargami bez żadnego dźwięku. Siewierski tonął w jej oczach.

Ujrzał w niepojętej głębinie tych oczu jakiś wyraz, jakiś znak, jakiś obraz, odbicie nieodgadnionych tajemnic... Jego los, jego śmierć i życie kryły się w tych oczach. One wiedziały o nim wszystko, co było i co będzie. One znały sprawy jego życia, tajemne myśli, wszystko, co w nim było małe i brzydkie, znały to, co czuje w tej chwili i bolały w żalu nad przeokropnym losem, który go czekał niechybnie. Zabijała go tymi oczami, które już wiedziały wszystko. Była to wiedza najtajniejszych jego przeznaczeń — to samo, co groźne i natarczywe wynurzało się w przywidzeniu, w gorączce tęsknoty, w samotnych bezładnych zadumach i zdejmowało go lękiem i bólem, odbiło się jeszcze raz w tych bezbrzeżnie smutnych oczach. Poznał, że to jest to samo i struchlał, jak wówczas, wczoraj, kiedy przesunęła się przed nim widmowa postać Kory...

Wpatrzony, zahypnotyzowany, nie mógł oderwać duszy od jej oczu. Wciągała go w siebie przepaść, kusiło ku sobie zatracenie, śmiertelna żądza poznania całej, najokropniejszej prawdy.

Były to oczy nierozumiejące i nieżywe. Kora patrzyła na niego jak z trumny — jak gdyby stał się dziw, że na chwilę podniosły się jej martwe powieki.

Gdzieś na dnie ukazywała się na mgnienie oka prawda, naga i prawie zupełna. Nie dała się ogarnąć i znikała. Zostawiała duszę w udręczeniu, zawiedzioną w swojej żądzy.

Coraz mocniej zaciskał w dłoniach biedne ręce dziewczyny, coraz bliżej pchał się ku niej, nie wiedząc, co czyni.

Poza jego wiedzą czaiła się nad nim jakaś zbrodnia, ciągnęła pokusa ku jakiejś niesłychanej potworności. Straszliwe naprężenie, dręczący niepokój domagały się jakiegokolwiek zaspokojenia. Zabić ją! Zabić siebie! Zniszczyć ten straszny obłęd, który jak mackami pająka grzebał w jego mózgu.

Czuł się we władzy cudzej, słyszał nad uchem szybko szeptane rozkazy. Ktoś go pchał, ktoś go ze wszystkiego naprzód rozgrzeszał. Nic nie mogło zagłuszyć tego szatańskiego, przyzwalającego śmiechu. Za sekundę i on sam zawtóruje, rozszaleje się w obłąkanym, spazmatycznym śmiechu...

W chwili ostatecznej, za którą tuż tuż stało już niecofnione — zagasło coś w głębinach tych jej okropnych oczu. Wydarł się z nich jak tonący, wynurzył się, odetchnął, oprzytomniał. Porwał go lęk.

Nie słyszała, co mówił, nie rozumiała jego uporczywego spojrzenia, nie czuła gniotącego uścisku jego rozpalonych dłoni. Poruszała ustami bezwiednie i bez dźwięku. Rodziło się jakieś szeptanie, przerywane westchnieniem, półjękiem... Wyrywały się słowa, biegła szybkim zdyszanym szeptem najtajniejsza skarga i łkanie. Snuła się na nowo, nieprzytomna, bolesna, spragniona czującego serca, pomocy, ucieczki.

Siewierski słuchał w bolesnym naprężeniu,

odgadywał, domyślał się. Ogarnęło go przerażenie, zimna zgroza...

... — O, już nie mogę! Za co mnie tak strasznie dręczą? Czemu to takie trudne? Ja się nie boję! Nigdy się nie bałam! Bardzo chcę zginąć! Ja gotowa, wciąż gotowa. Od pół roku czekam i czekam... Obiecują, łudzą. Wciąż przeszkody! Jutro, pojutrze, jeszcze tydzień, jeszcze dwa... Ja już nie mogę. Pan wie, co to czekać? O — panie — w tych Tymiankach, gdzie tak dobrze i pięknie i tak rozkosznie daleko od okropności życia... A ja czekam z dnia na dzień na rozkaz, na tę moją śmierć. Takie cudne ciepło, niebo, obłoki, łąki, ludzie tacy kochani, prości, serdeczni, spokój i wesołość — a ja czekam, tłumię w sobie wszystko, udaję... A było po mnie znać — pan poznał, pan się mnie pytał tak serdecznie... Dziękuję! Ciężko udawać, ciężko dźwigać samej swoją tajemnicę. Pan taki inny, niż nasi, a miałam straszną chęć wszystko panu opowiedzieć. Nie powiedziałam, bo nie było wolno. I teraz nie wolno, ale już nie mam sił. Zdradziłam tajemnicę... Pan wie? Pan wie? Ja nacechowana, jak drzewo do ścięcia. Jeszcze żyję, ale jak może żyć taki skazany? Nie dadzą mi nic robić, każą się strzec i chronić i tylko czekać. Nie wolno mi się widywać z nikim z naszych, a mam takie ukochane przyjaciółki, tacy wspaniali ludzie u nas, tyle pracy — a ty siedź samotna, czekaj! Wówczas mnie powołano, porwałam się z radością. Wszystko było obmyślone, przygotowane.

Ślepy traf! Jak to okropnie wyczerpuje! Panie... Nie udało się po raz drugi, po raz trzeci... A dziś — przed godziną, nie udało się po raz czwarty... Ja tu nie winna, ja chcę. Ale takie już jego szatańskie szczęście. A teraz wisi w powietrzu jakaś potworna zdrada. Rozproszyli nas, była obława, kazali mi na gwałt uciekać. Wsiadłam do dorożki, z daleka słyszałam strzały. Przesiadałam się, objechałam całe miasto, myliłam ślady — i do pana... Pamiętałam dobrze adres. Dlaczego właśnie tutaj? Nie wiem, przepraszam pana za kłopot. Z początku zdawało mi się, że tu będzie najbezpieczniej — a potem już nie wiem dlaczego tu jechałam. Tak mi było strasznie źle, ach jak źle... Teraz już lepiej, o, lepiej. Dziękuję panu. Niech mnie pan nie ściska tak za ręce, to bardzo boli... Niechże pan już wstanie — przecież tak nie można.

Siewierski puścił jej ręce i wstał. Już wiedział wszystko. W jego zgrozie była jakby ulga. Nareszcie! W szeptaniu Kory było jeno jasne potwierdzenie wszystkiego, co wyczuwał w niej od dawna. Cóż mu powiedziała nowego?

Zdawało mu się, że tajemnicę jej posiadał od samego początku. Wyczytał ją w pierwszym spojrzeniu, które rzuciła na niego przed trzema miesiącami, tam w Tymiankach, — było to na tarasie od strony parku, w piękny poranek lipcowy. Biała sukienka w niebieskie paski, jasne włosy, spadające na czoło, i to spojrzenie...

Już wówczas zaczął się w nim ów niepokój i

niespokojne oczekiwanie czegoś. Przeczucie cudzej tajemnicy i jakiegoś własnego wielkiego nieszczęścia, odpędzane lekkomyślnie, jako przywidzenie, towarzyszyło nieodstępnie każdej jego rozmowie z Korą i każdej jego myśli o niej.

Cóż mu powiedziała nowego? Czyż nie wiedział tego już w chwili, kiedy się porwał i pędził do niej do Warszawy, na wieść o krwawych wypadkach sierpniowych?

Cóż innego, jak nie tę tajemnicę oznajmiały mu sny jego tęsknoty, samotne, dręczące rozmyślania? Skąd wzięły się w nim nowe myśli i te niezmierne przemiany, które uczyniły z niego innego człowieka? Tak, tak...

To jasne, wszystko to było zawczasu wiadome. Wypełnia się jego przeznaczenie i jej przeznaczenie. Ugięło się w nim pragnienie szczęścia przed niecofnionym wyrokiem. Ogarnęła go zgroza, jakaś bałwochwalcza cześć dla dokonywującej się nad nim tajemnicy i cześć dla jej okrucieństwa. Dusza składała wszystkie swoje siły i całą broń u stóp złego boga. Ukorzył się człowiek. I Siewierski zapragnął śmierci.

Kilka chwil przeszło w milczeniu. Przez ten krótki czas zdążyło w nim przerobić się i zastygnąć w jakiś kształt coś niecofnionego.

Kora patrzyła w niego uporczywie. Były w jej spojrzeniu błaganie i nakaz. Nie dała mu wymówić ani słowa. Był posłuszny. Pohamował się od razu i Kora poznała to. Podziękowała mu uśmie-

chem dobrym, bez miary cierpiącym.

Siewierski ocknął się, jak ze snu. Obudziła go jakaś niesłychana radość. Odzyskał władzę myślenia i domyślił się nareszcie, że go czekają nie zatracenie, nie udręczenia, a szczęście. I tamto było, było wszystko, co tylko można wyobrazić sobie najgorszego, tak jest, wisiała nad nim zaguba. Cudem, ślepym trafem nie stało się... Długo, trzeba będzie cierpieć nad tym co groziło — długo jeszcze dusza będzie się otrząsać w trwodze przed tym, co minęło. Ale przecie teraz, w tej chwili...

— Pani jest święta i niegodzien jestem... Niczego nie jestm godzien... Ale niech pani już nie cierpi. Niech pani usiłuje zapomnieć. To już nie wróci. Nie wróci! Nie wróci! Odpocznienia, wolnego oddechu po tych okropnościach! Pani wyjedzie za granicę, tam pani przyjdzie do siebie — natura, morze, dobrzy ludzie... Czeka cię życie dobre, słoneczne... zapomnij, jak najprędzej zapomnij.

— Nie rozważaj niczego, nie żałuj! Przecie chciałaś tego, przemogłaś się, dokonałaś wszystkiego, nikt nie ma prawa od ciebie żądać więcej. Któż winien, że tak chciał ślepy traf?... To twój los, to przeznaczenie. Ileż kroci tysięcy największych duchów ugięło się przed swoim przeznaczeniem? Uspokój się, wracaj do życia, do słońca, do szczęścia... i niechże ja będę w twoim losie ostatnim, ale pozwół i mnie bodaj nazwać się twoim przyjacielem, bratem, opiekunem, czym zechcesz... Niech ci nie będę obcy, weź ode mnie radę, pomoc...

Nie mógł mówić ze wzruszenia. Drżał ze zgrozy przed tym, co jej groziło, dusiło go przeczucie strasznego, niewypowiedzianego szczęścia — szczęścia pomimo wszystko i przez wszystkie piekła.

— Pan bardzo dobry, bardzo na mnie łaskawy. Niechże pan się nie przejmuje... Żałuję, że powiedziałam, nigdybym nie przypuściła!... Nie byłabym mówiła — po co i pan jeszcze ma się dręczyć? Ale mnie już lepiej, a za godzinę będzie zupełnie dobrze. Zmęczyłam się tylko — to nerwy, nic więcej, bo niech pan sam powie — po raz czwarty — i nic! Oh, gdyby ludzie wiedzieli, jak to trudno! Taka drobna rzecz, bo i cóż to jest? — a tak trudno... Może by wówczas ktoś ocenił, może by i sam przyłożył ręki...

Zerwała się nagle i uderzyła pięścią w stół.

— Ale to się stanie! Nas nic nie odstraszy. Trudno? Niech będzie jeszcze trudniej, niech to będzie niepodobieństwo! Nie udało się? Pójdę po raz piąty i dziesięty, aż dopóki mnie nie złapią za ręce i dopóki mnie samej nie rozerwie na kawałki! Moja śmierć albo jego śmierć! Tak sobie poprzysięgłam. I dotrzymam!

— Nieprawda! To szaleństwo, tego nie będzie! Słyszysz? Powiedz, że tego nie będzie! Jesteś w obłędzie, nie wiesz, co mówisz... Jeszcze raz? Na to nikt nie pozwoli. Przecież tam u was nie same

potwory — są i ludzie? Prawda? Są ludzie, którzy czują i nie dadzą cię zadręczyć. Niech teraz próbuje kto inny. Czyż ty jedna w tej całej partii masz odwagę? Czyż wam brak mężczyzn? Tego nie będzie, rozumiesz? Ja na to nie pozwolę...

Kora roześmiała się swobodnie. Już zupełnie odzyskała spokój. Śmiała się głośno, wesoło...

Siewierski stropił się.

— Szydzisz? Czyż ja nie wiem, że nie mam do ciebie żadnego prawa? Ale wiem, że nie wolno patrzeć na cudzą krzywdę. Wszystko mi jedno — ja tego znieść nie mogę. Czy chcesz, czy nie chcesz, będę cię bronił. I od tych twoich „towarzyszów'', którzy wyręczają się kobietami, i od ciebie samej! Wiesz? Ty jesteś opętana!

— Tak, ja opętana i szczęśliwa jestem z tego. Co komu do mnie? To moje sprawy. Co tu pan może zrozumieć, pan, „artysta''? Po co się to wszystko robi? Po co jest rewolucja? Za co ludzie giną? Dlaczego chcą ginąć? Chcą! Rozumiesz pan? Nic pan nie rozumie. Niechże się pan usunie i nie przeszkadza — jeżeli pan nie chce dopomóc.

— Rozumiem wszystko! I nie kłam, bo ja chcę dopomóc. Co tam wy możecie wiedzieć o artystach? Artysta, to nie człowiek? Myśl sobie o mnie, co chcesz! Ja nie pozwolę ci się dręczyć, ja ci nie dam zginąć.

— A to jakim prawem?

— Bo cię kocham i chcę, żebyś żyła i była szczęśliwa. Teraz wiesz?

— Nie można kochać trupa! Ja już nie żyję, wiesz pan? Jak się nie uda jeszcze raz, zginę i tak — zastrzelę się. Nie mogę, nie chcę żyć! A pan mnie jeszcze dręczy — czyż nikt nie użali się nade mną, zwyczajnie, po ludzku? Obrzydli ludzie... Obrzydłe życie... Nie ma czego żałować na tym podłym świecie...

— Obrażają cię moje szczere słowa? Dlaczego mam ukrywać? Przecież sama to wiesz... Jesteś szaloną. Ty toniesz! Każdy ma obowiązek ratować tonącego. Każdy ma to prawo...

— Każdy ma prawo umrzeć!

— A jednak ty nie umrzesz!

— Pan oszalał? Jak pan zdoła nie dopuścić?

— Zdołam. Ja ci wszystko wytłumaczę. Posłuchaj rozsądnie...

— Nie chcę słuchać! Pójdę sobie precz! Gdyby mnie pan naprawdę kochał... Ale przecie pan nic nie rozumie. Nic a nic! Artysta powinien wszystko wyczuwać. Ale widać, że pan umie tylko mieszać farby. Niepotrzebniem tu przyszła. Przepraszam! Ale widzi pan, bywają takie ostateczności, kiedy człowiek, zdręczony, sam nie wie, co robi. Czego ja od pana chciałam? Nie wiem. Jakieś urojenie. Ale kiedy tak, to odchodzę. Bardzo pana przepraszam i proszę o wszystkim zapomnieć. Wygadałam się z moją tajemnicą, niechcący, przyszła na mnie zła chwila. Niechże pan o tym zupełnie zapomni. Niech pan da słowo, że nikomu, nigdy nikomu!... To sprawy poważne — śmierć i ży-

cie wielu ludzi. Żegnam pana! Doprawdy, myślałam nieraz o pąnu i wydawało mi się, że to jakieś przeznaczenie... A tymczasem — nie wiadomo po cośmy się w ogóle spotkali w tym życiu... Co za komiczne przywidzenie? Żegnam pana!

Siewierski zastąpił jej drogę.

— O nie! Poczekaj — tak nie odejdziesz!

Oddychał ciężko, chciał mówić, ale nagle spostrzegł, że nie może zupełnie myśleć. Wirowały mu w głowie w piekielnym pośpiechu odmęty szarej, gęstej mgły. Nie mógł wydobyć ze siebie głosu. I w oczach szara mgła — gdzież się podziała Kora? Nie zostało na całym świecie nic — jeno straszna trwoga: ona odchodzi, zniknie znowu, i już na zawsze. Sekunda ulgi — zaraz się zabiję! Aż w zmaganiu się resztki sił wytrysła rozpaczliwa nadzieja — jeszcze raz wychylił głowę tonący, wyciągnął konwulsyjnie rękę i chwyta... chwyta...

— Co to, przemoc?! — krzyknęła Kora jakimś przeraźliwym, nieswoim głosem.

— Cicho, cicho... żadnej przemocy! Jesteś nieprzytomna, więc cię nie puszczam. Jak się uspokoisz, odejdziesz sobie...

Wymawianie sprawiało Siewierskiemu wielką trudność. W świecących oczach Kory widział nienawiść. Po raz pierwszy wydała mu się złą i straszliwie piękną. Zbliżał się ku niej nieprzytomny, oczy przesłaniała mu mgła. Kora cofała się w głąb pokoju. Pchała go ku niej nieprzemożona władza jakiejś tajemniczej, ponurej pokusy. Nie mógł

znieść jej nienawistnego spojrzenia. Gdyby w tych oczach przemknął się choć cień dobroci, prośby, gdyby w nich błysnęła łza — upadłby jej do nóg i błagałby, żeby mu pozwoliła zginąć za siebie...

— Precz! — krzyknęła przenikliwie. — Czego pan ode mnie chce?

— Chcę, żebyś żyła... — wyjąkał pokornie.

— Nic panu do tego! Dosyć komedii. Myślałam, że w najgorszej mojej godzinie poda mi pan rękę i dopomoże... A tu nerwy! I nie wiem jeszcze co? Jak pan śmie zastępować mi drogę? Bezczelność! Precz mi z drogi! Żałuję, żem pana spotkała w życiu...

— O nie! — porwał się Siewierski i znowu rozstawił ręce.

— Ależ pan chyba zwariował?

— To ty jesteś obłąkana. Uspokój się, błagam cię. Musisz ze mną pomówić. Jeszcze długo. Ja ci wszystko wytłumaczę, dajże mi zebrać myśli. Poczekaj! Czyż zmieni się cośkolwiek, choćbyś zabiła tego jednego? Nie. Sama widzisz. Trzeba inaczej działać dla ogólnego pożytku. Rozumiesz, rozważnie... Poczekaj, wysłuchaj mnie...

— O, nie wiedziałam, że i pan zna się na polityce, realnej, oczywiście. Pan jest podobno członkiem Klubu Myśliwskiego? Grywa pan w bridge'a z oficerami z grodzieńskiego pułku?...

— Milcz! Nie pora na szyderstwa!

— Nie pora na dyskusje polityczne. Pan i ci

twoi, to dla mnie wróg. Co mi tu pan może radzić? Ach, jakież to śmieszne...

— Śmieszne? O — nie! O — nie! panno Koro... — Siewierski utracił wątek myśli i zamilkł bezradnie.

— Ależ tak, ależ tak! Niech się pan nie miesza do nieswoich spraw, niech pan nie daje rad rewolucji, bo ona jest nie dla pana, a raczej przeciwko panu. A przede wszystkim niech mi pan nie stoi na drodze, bo mi już czas... Nie możemy tu ugadywać się ze sobą do nieskończoności. Niechże się pan zastanowi, jakie to głupie...

Mówiła do niego, jak do dziecka. Siewierski słuchał cierpliwie i uważnie, ale kiedy uczyniła pierwszy ruch ku drzwiom, rzucił się i stanął w progu. Rozparł się mocno ramionami i wbił w nią ciężkie, nieprzytomne spojrzenie.

Kora długo stała w milczeniu, mierząc się z nim wzrokiem. Siewierski widział w jej oczach szaleństwo. Rysy jej skaziły się do niepoznania w nagłym skurczu.

— Dosyć tego, panie Siewierski! Słuchaj pan dobrze, artysto o czystym sercu. Jeżeli mi się natychmiast nie usuniesz z drogi...

Tu podniosła do góry oba ramiona i zwolna okręciła się wokoło na środku pokoju. Siewierski struchlał — zwariowała!

— Widzisz, jaka jestem wysmukła? A jednak mam na sobie żakiet, wywatowany grubo pewną substancją. Opleciona jestem drutami... A tu u paska kokardka z zielonej wstążki! odciągam trochę tę kokardkę, widzisz jedwabny czarny sznurek? Więcej nie można, ale jak szarpnę za to — ha, ha, ha!... Ten pański śliczny gabinet! I dzieła sztuki! Ha, ha, ha... I my oboje! W drzazgi! Na kawałeczki! Przysięgam ci, że to zrobię natychmiast. Mnie nikt do niczego nie zmusi!

Siewierski jak we śnie szedł ku nej zwolna, chwiejnie. Usta drgały mu, nie mógł mówić. Pytał oczami. Kora zrozumiała.

— Tak, tak trzeba — mówiła łagodnie. Nie można inaczej, bo nie uda się. Tak właśnie obmyślili ci, co najlepiej wiedzą. To nic! Nawet tak wolę. Nie uciekam, nie bronię się — nawet nie mogę... zabijam i oddaję życie. To będzie piękne...

— Czyż...

— Nie ma sposobu! Inaczej nie można, naprawdę nie można; panie Siewierski. Takie są okoliczności...

— To potworność...

— Potworność? To tylko taki sposób. Każda śmierć jednakowa... Nicość, koniec...

— Nieprawda! Nieprawda! Nieprawda!

— Lekka śmierć — bez bólu, bez konania... Jakże ją kocham, tę, moją śmierć!

Biło od niej upojenie. Wodziła dłońmi po swoim żakiecie ze straszliwą jakąś pieszczotą. Przebierała palcami po kokardce u paska. Bladą jej twarz okrył mocny rumieniec. Oddech stał się szybki, szybki. Gorąco jej oddechu biło mu prosto w twarz.

Stał przy niej tuż i szukał w jej oczach swojej ostatniej nadziei. Ale powieki miała spuszczone, jak w upojeniu niewiadomej, tajemnej, rozkosznej myśli. Mieniły się w jej twarzy ból i zachwyt, strach i niepowstrzymana przepaścista żądza. Palce jej coraz niespokojniej plątały się koło paska. Ujęły palce mocno za zieloną kokardę — czarny sznurek wysuwał się zwolna. Siewierski patrzył, jak wysuwa się czarny sznurek, zaczął pogrążać się zwolna w jakąś głębinę — czuł, jak ziemia osuwa się pod nim, wraz z nią i ze wszystkim. Była w nim jakaś straszliwa, nie do wytrzymania, potworna radość. Ogarnęło go coś ostatecznego. Jeszcze to było bardzo trudne, niepojęte, ale czuł, że natychmiast zabłyśnie straszliwa jasność i rozwidni się wszystko, co tajemne. Stanie się niesłychana przemiana. Ach, przecie na ten moment czekał przez całe życie! Teraz wie, po co żył, po co było wszystko, wszystko... Przymknął oczy i pogrążał się coraz głębiej — zaraz, za chwilę zerwie się jakaś wątła nić i cały świat runie gdzieś w przestrzeń bez dna...

Nagle głuchy okrzyk wydarł mu się z piersi. Otworzył oczy. Aż do głębi duszy sięgnęło mu spojzenie Kory i zatargało bólem. Jej oczy były już rozumne, dobre, jasne. Już błądził jej koło ust dobry, zwyczajny uśmiech.

Długo stali w milczeniu, wpatrzeni w siebie. Siewierski oprzytomniał. Zapomniał o wszystkim, co miało się stać przed chwilą dopiero. W tym jej

dobrotliwym uśmiechu wyczytał straszliwą jej, obłąkaną i nieprzepartą wolę. Ani wyżebrać, ani wytłumaczyć. Ani o włos nie zmieni się, co miało być, co ma być — i co będzie. Ugiął się pod swoim losem.

— Zdręczyłam pana! Byłam tak niegrzeczna! Przecie wiem, że pan z dobroci, z takiej dobrej życzliwości... Ale ja doprawdy tyle dziś przeszłam! Tyle, tyle... Chwilami zupełnie nie wiedziałam, co czynię, gdzie jestem... Mówiłam głupstwa? Prawda? Jakieś najgłupsze przywidzenia. I ta jakaś wariacka pokusa, żeby... Nie, nie!... Niech mnie pan nie uważa za obłąkaną! Przepraszam, o bardzo pana przepraszam...

Potrząsała go mocno za obie ręce. Okropny był jego smutek. Długo uspokajała go Kora. Długo słuchał. Wreszcie przerwał jej dobre, zwyczajne grzeczne słowa niespodziewanym dla samego siebie wyznaniem:

— Dobrze! I ja tego chcę — zabij i mnie.

— Ja?

— Przecież nie możesz zabijać tamtego, żeby i mnie także... Ja nie zostanę bez ciebie...

— Co pan mówi? Co? Dlaczego? Na miłość boską... Jakiż tu związek...

— Właśnie dlatego. Właśnie dlatego, że ty tego nie rozumiesz... Bo ja ciebie kocham, a ty kochasz tylko swoją śmierć...

Kora tłumaczyła mu coś długo. Przytakiwał jej. Kiedy pytała: — tak? Odpowiadał: tak. Na: nie?

mówił: — nie. Nawet ją przepraszał. Ale czuł w sobie nieprzełamany upór i żądzę zatracenia.

Pożegnała go najserdeczniej. Obiecała przychodzić do niego często.

— Cóż? Teraz znów się dla mnie zaczyna czekanie i prawa wyjątkowe. Jak zapowietrzonej, nie wolno mi nigdzie bywać. Muszę być nieuchwytną, nieskazitelną. Będę przychodziła. Znajomość z panem wyjdzie mi nawet na dobre w razie przypadkowego podejrzenia. Panna, która chodzi do pana Siewierskiego, głośnego malarza, kawalera i światowca. Niech sobie o mojej konduicie myślą, co chcą, — tamtego się nie domyślą. O, będę przychodziła. Ale według umowy, panie? Słowo? Żadnych nerwów, ani namów? Żadnego flirtu? Będziemy sobie zwyczajnie, po męsku. Pokaże mi pan pracownię obrazy?

Spotkawszy się któregoś dnia w cukierni z Kostkiem Prycznickim, Siewierski spytał go od niechcenia, co też on sądzi o rewolucji.

— Sprawa nadzwyczaj złożona. Co może odpowiedzieć na to pytanie człowiek, którego specjalnością są szwaczki i, że tak powiem, dziwki, dżentelmenowi, który pracuje w wyższych sferach kobiecości polskiej, czyli: hrabiny, najbogatsze Żydówki i inne tuberozy...

— A nie mógłbyś przypadkiem przez chwileczkę nie błaznować? Mój drogi...

— Mój drogi. Ja mam swój styl i własną me-

todę. Kto mądry, to i z mojego błaznowania prawdę wydłubie. Nie inaczej mawiał Sokrates (a może zresztą tylko Platon).

— Ale ty czytujesz wciąż gazety i gadasz z ludźmi po cukierniach. Musisz coś wiedzieć.

— Naturalnie. Siedziałem nawet przez dwa tygodnie w ratuszu. Poznałem wielu socjałów, ale zadawałem się głównie ze złodziejaszkami. Cóż to za nadzwyczajne gęby! No, i dusze...

— A co powiesz o terrorze?

— W słowie tym, jak dla mnie, jest za dużo „r'', Ale zresztą podoba mi się to, byleby mnie kiedy nie zawadziło na ulicy.

— I do czegóż to może doprowadzić?

— Zmiana osobistości: zamiast Bułdakina będzie Bołdykin. Na miejsce chałuja Popowa wyłoni się z czasem szlachetnie brzmiący Tiululukin. To nastąpi kiedyś, a na razie wskutek gwałtowności wybuchów oczyści się powietrze. Ktoś zaobserwował, że w kilka godzin po każdej bombie spada deszcz. A na te okropne upały...

— A endecja?

— Jedyna mądra partia. Żadnego z nich nie widziałem w ratuszu.

— No, a ty, Prycza, gdybyś był człowiekiem, wyobraź to sobie, przystałbyś do rewolucjonistów?

— Na to nie trzeba być zanadto człowiekiem. Rewolucjonistą byłem od dawna, jeszcze za naszych monachijskich szczenięcych czasów. A przestałem nim być, patrząc, jak zrewolucjonizowany

lud leczył rany społeczne. Na Zielnej, na Wielkiej, na Złotej, na Piekarskiej, na Rycerskiej, na każdej. Zamiast bić w nich samych, w takich psubratów, jak ja, prali nieszczęsne dziewczyny i spuszczali im z czwartego piętra ostatnie graty. Ja znam dziwki — i one mnie znają, kolego Siewierski, i jako taki — zerwałem z rewolucją. Zresztą nie stałem się przez to reakcjonistą. Ja sobie jestem Prycza i chodzę po świecie samopas. Radzę to samo i tobie.

— A ta Duma? Jak myślisz?

— Jak widze, jest to formalny interwiew. Scena, nadająca się do kinematografu. Czyś ty oszalał z upałów? Co mnie i tobie, niewiasto?

— Widzisz, chciałem sobie wyjaśnić pewne sprawy. Taka mi przyszła ochota.

— To po co leziesz z tym do mnie? Uczył Marcin Marcina...

— Tak sobie spytałem, jakbym zapytał pierwszego lepszego z brzegu.

— Pierwszego lepszego? To niby ja? Kara pieniężna! Dawaj Siewier, pięć blatów. Tamtych ci co prawdą nie oddałem, ale nie pożyczałem od ciebie już z pół roku, a zresztą, czego sam się mnie czepiasz? Siedziałem sobie spokojnie... Widzisz, jestem w chwilowej potrzebie.

Siewierski dał koledze pięć rubli i zatopił się w gazetach. Od paru dni rozpytywał się znajomych o różne sprawy polityczne i szukał po pismach odpowiedzi na pytanie, które nie dawało mu spokoju.

Ludzie rozprawiali szeroko i wiedzieli wszystko, gazety pełne były polityki, ale na próżno mozolił się nad rozstrzygnięciem jedynego pytania: po co i za co ludzie chcą ginąć?

Kupował na ulicy rozmaite pisma i odezwy partii rewolucyjnych. Dowiedział się, że jedna partia potępia, a nawet wyszydza akty terrorystyczne, druga je propaguje i chlubi się długą kroniką zamachów i długim szeregiem szubienic. W brutalnych polemikach, zarówno jak w bombastycznych opisach wybitniejszych czynów rewolucyjnych, mówiło się o śmierci zabitych dygnitarzy i o śmierci na szubienicy skazanych, jako o sprawach prostych i codziennych.

Pytanie Siewierskiego było widać od dawna rozstrzygnięte w tych sferach i nikt się nim nie zaprzątał. Wiedział, że w ciągu dziejów wciąż ludzie walczyli i mordowali się nawzajem. Wiedział to, co wszyscy, o najrozmaitszych poświęceniach.

Ale to, na co ważyła się Kora, było w jego oczach potwornością, przed którą wzdrygał się, której ogarnąć nie był w stanie. Nie była to godna podziwu odwaga świadomego bojownika, który rozumuje na trzeźwo i na zimno, ani ślepy zapał żołnierza, odurzonego i rozbestwionego na placu boju. Nie było w tym chrześcijańskiej gotowości na śmierć i męczarnie, po których nastąpić miało królestwo niebieskie.

Kory nie miał do czego przyrównać. Jego nieprzerywające się ani na chwilę myślenie o niej było tylko ciągłym przerażeniem. Fale tego przerażenia porywały się w nim i biły w niego ustawicznie. Był odurzony i jakby stępiały na ból. Zdumiewał się co chwila, ale wciąż jeszcze niedowierzał. W tym niedowierzaniu była jeszcze cała jego nadzieja.

Dręczył się i miotał się w przerażeniu, ale myśleć o tej sprawie mógł tylko, uwierzywszy i wierząc z całym uporem, że — „to'' stać się nie może.

Nie wiadomo na razie dlaczego. Okoliczności, przeszkody (już były przeszkody, a więc będą jeszcze). Okoliczności — to rzecz trafu, ale te uparte, powtarzające się tylekroć trafy służą jakiejś konieczności. Na próżno upiera się Kora. Przeznaczenie poprowadzi ją i jego — przez wszystkie udręczenia do czegoś innego jeszcze, zupełnie niewiadomego. Może to będzie kiedyś, kiedyś spokojne jakieś życie. Może to będzie jej i jego miłość. Może jej i jego śmierć.

Ale nigdy i przenigdy nie to samo, co grozi jeszcze teraz, co jeszcze dręczy i zabija, ale już zaprzecza samo sobie i staje się wyraźnym niepodobieństwem.

Może ją czekać śmierć, może jej grozić, ale inna, zwyczajniejsza, bardziej ludzka. Nie będzie w niej okrucieństwa konieczności, tego potwornego spokoju, matematycznej zimnej pewności. Bo nie śmierć jej jest straszna, straszne to — jaka.

W tym jej szaleństwie była nieogarniona wielkość, była i jakaś potworność, przed którą wzdrygał się w instynktownej odrazie. Pchało go ku niej bezgraniczne uwielbienie i religijna cześć dla jej niesłychanego męstwa, przestawała być upragnioną kobietą — stawała się bóstwem. A zarazem odpychało go od niej coś, co w niej było przeciwnego życiu i naturze ludzkiej, namiętna żądza zatracenia. Była żywa — a już nie żyła.

Tego nie mógł zrozumieć i nie mógł tego znieść. Wokoło ołtarza, który zbudował dla niej w swej duszy, wśród kłębów kadzideł przebijało się okropne tchnienie trupa.

W takich chwilach odrzucał precz ponurą prawdę i z ulgą zatapiał się w marzenie o niewiadomej przyszłości, które ma się stać pomimo wszystko.

Oczywiście, przeznaczenie jego wypełni się samo przez się. Wierzył w jego potęgę i w swoją dobrą gwiazdę, która prowadziła go nieprzerwanie i nieomylnie lekkimi drogami życia. Chwilami stawał się tak ufny w sobie i lekkomyślny, że zapominał i prawie nie wiedział o tym, co groziło, a okropne zjawienie się Kory oddalało się w niepojęty sposób w najdalszą, już mało wiarogodną przeszłość, choć miało ono miejsce przed paru dniami.

Codziennie, w oznaczonych godzinach, między czwartą a siódmą, oczekiwał na Korę.

To czekanie zabierało mu cały dzień. Od samego rana denerwował się, spoglądając co chwila

zołem najdrobniejsze szczegóły owego wieczoru...

Ale Kora już stała przed nim, prawdziwa, żyjąca, ta sama. Patrzył na nią błagalnie i bezradnie.

Mówiła do niego coś z dobrym swoim, dawnym, trochę smutnym uśmiechem. Siewierski słyszał jej głos, ale zupełnie nie rozumiał słów. Tarł czoło w jakimś wysiłku, spoglądał na nią w niepewności i czekał. Kora zachowywała się zwyczajnie i z prostotą, jak gdyby nic się nie stało. To go zaniepokoiło niezmiernie.

— Panno Koro, droga pani — nie dziw się, tylko odpowiedz szybko i od razu. Więc to wszystko prawda? Więc to tak?...

— Tak, tak — uśmiechnęła się.

— Jak to, nic się nie zmieniło?

— A cóż się mogło odmienić?

— Prawda... — szepnął.

— Niechże pan o tym już nie myśli zupełnie.

— Jakże to? Jakże to może być?

— Niech pan ze mną o tym nie mówi. Ja bardzo proszę, żeby ani słowa. Inaczej — nie będziemy się mogli widywać. Po co się dręczyć wzajemnie? Wie pan dobrze, że potrzebuję spokoju... Pan taki dziwny — obcy — prawie nieznajomy, a chwilami wydaje mi się, że to właśnie pan jest mój człowiek najbliższy, najdroższy, ostatni w życiu przyjaciel...

Siewierski już klęczał przy niej, trzymał ją mocno za ręce. Ręce mu drżały. Kora pobladła i z trudem wymawiała słowa:

— O nie, nie! Panie... Pan może wszystko we mnie zepsuć, pan może zatrzeć moje ostatnie chwile... A może mi pan dodać siły, dopomóc, jak nikt inny. Niechże pan będzie dla mnie dobry, bardzo dobry — nie wiem sama za co? Proszę wstać! I już nigdy więcej! Ja przecie jestem jak umarła... Jakże można do umarłej?...

— O nie, o nie...

— Tak. Tak trzeba, tak będzie — czemuż pan nie chce uwierzyć?

— Nie wierzę! Nie mogę uwierzyć. Wiesz, co by było, gdybym uwierzył? Może bym zwariował, może bym sobie odebrał życie, może bym ciebie zabił, może bym cały świat podpalił, żeby cię uratować, nie cofnąłbym się przed najgorszą podłością... Wiesz co? Poszedłbym, zdradziłbym wasze sekrety, popsułbym wszystkie wasze zamachy. Zemściłbym się na tych twoich, co cię pchają na śmierć. Niechby ich powywieszali!

— No, to i mnie! Ha-ha-ha...

— Nie śmiej się. Ciebie by oszczędzili. Przecież przede wszystkim to bym sobie wymówił najsolenniej.

— Najsolenniej, naturalnie. Ale przypuśćmy — przecież potem nie mógłby się pan pokazać mnie na oczy?

— Wiem to dobrze. Ale mnie niczego nie będzie trzeba od ciebie. Rozumiesz? Nic a nic. Bylebym wiedział, że żyjesz. Gdzieś daleko ode mnie — ale żyjesz. A ja zostałbym sobie w swojej hań-

bie, z piętnem zdrady, na zawsze wzgardzony od wszystkich, szpieg, sprzedawczyk... I byłbym szczęśliwy, bo bym ci uratował życie.

— Pan jest zupełnie nieprzytomny, albo pan coś przede mną udaje. Jakże tu z panem mówić?

— Żyj! Błagam cię...

— Nie potrzeba mi życia. Nie chcę żyć! A chcę zginąć. Chcę — powtarzam to po raz dwudziesty. Czyż pan nie może zrozumieć takiej prostej rzeczy?

— Nie mogę. Nigdy tego nie zrozumiem. To jakiś obłęd... Cóż to są za ludzie, którzy cię pchają...

— Dajmy spokój ludziom! Jeżeli pan nic nie rozumie, niech się pan mnie słucha...

— Kora!...

— A więc — do widzenia! Szkoda, że pan taki. A tak mi trzeba człowieka... dobrego, czującego, mężnego człowieka. Kogoś swojego, jedynego...

Mówiła to prawie szeptem, jakby do samej siebie. Zwolna podniosła się, rozejrzała się wokoło, westchnęła. Siewierski z trwogą śledził każdy jej ruch. Postąpiła parę kroków w głąb pokoju, spojrzała w okno. Siewierski nieznacznie zbliżył się ku drzwiom. Za wszelką cenę postanowił nie puszczać jej od siebie. Czuł, że zbiera się w nim ogromna masa mądrych słów, w genialny sposób przekonywujących. Słowa i myśli szeregowały się szybko, ale panował tam jeszcze zamęt. Jak gromady ludzi, ustawiały się one w logicznym szyku, po-

wstawało jakieś ogromne, zwycięskie wojsko. Zaświtała, błysła i zgasła jakaś nowa, niesłychana idea, która zgarnie to wszystko i poprowadzi. Kora zrozumie. Wpatrzy się w niego głębokimi swoimi oczami, potem odetchnie z ulgą, kamienny ciężar spadnie z jej udręczonej głowy.

Obudzi się, uśmiechnie się radośnie, wesoło — życie zwycięży!

Nagle porwał go strach. Okropny, nie do naprawienia błąd! Straszliwy, głupi przypadek! O, teraz już wszystko przepadło...

Kora stała pod ścianą, obrócona plecami do drzwi, pod którymi czatował Siewierski. Założyła w tył ręce i patrzała w górę.

Ze ściany, z głębi szerokiej, złoconej ramy spoglądała na nią zuchwale i drwiąco pani Narcyza. Z czarnego tła bił połysk złotych włosów i olśniewający przepych ciała. Głęboko odsłonięte piersi; stawała się bezwstydną w pochyleniu całej postaci. Wsparta łokciami na złotej ramie, zdawała się wychylać w przestrzeń nagim ramieniem. W ręku trzymała niedbale trzy czarne irysy i podawała je zapatrzonej dziewczynie z wyniosłym szyderczym uśmiechem.

Z ponurą nienawiścią patrzał Siewierski na obraz. Zdawało mu się, że piękna pani szydzi z niego i z Kory, że się natrząsa z poświęcenia dziewczyny i z jego wszystkich cierpień. Bezwstydnie, jawnogrzesznie, chlubiąc się, odsłaniała przed Korą swoje żądze i rozkosze. Obrażała jej czy-

stość, jej wielkość. Drwiła z walk, z bohaterstwa, z ludzi i bogów. „Nic, prócz mnie jednej! Ja zawsze zwyciężam...". I zdradzała przed Korą jego wszystkie tajemnice, opowiadała bezwstydnie, jak ladacznica, ich pocałunki, rozkosze. Ponad głową Kory rzucała mu spojrzenie bezwstydne, szydercze, porozumiewawcze. Drwiła z obojga i cała jaśniała piekielną uciechą.

Kora zaraz się odwróci, spojrzy na niego. Wyda się wszystko. Wszystko stracone! Jakimiż słowami przekona ją, że jest inny, odrodzony, jak zaprzeczyć temu, co mówi tamta? Czym zdoła umyć brudy dawnego życia?

Kora stała długo, nieruchomo, wreszcie odważył się, gotów na wszystko, bodaj na spowiedź z całego życia. Spojrzał błagalnie — po raz pierwszy w życiu przygniatał go wstyd, ten szczery, prawdziwy wstyd.

Ale Kora patrzła sobie na mały pejzażyk, wiszący obok. Stała jak przed chwilą skupiona i uważna, z odrzuconą nieco głową, z założonymi w tył rękami. Siewierski odetchnął i wrócił do przytomności. Ochłonął po strasznym niebezpieczeństwie, które groziło przed chwilą — ale nie ucieszyło go to. Zdawało mu się, że runął na zawsze jedyny, wielki moment jego życia, kiedy mógł był, stawiając na kartę wszystko, pozbyć się swojej starej duszy i ukorzyć się bezgranicznie i zupełnie przed nowym, ogromnym życiem, które go czekało. I byłby się stał godnym nie Kory — jako ukochanej kobiety, ale Kory — duszy, Kory — tajemnicy... Wówczas mógłby walczyć z nią o życie. Posiadłby siłę — mógłby zwyciężyć, a gdyby mimo to został pokonany — umiałby zginąć z godnością, a kto wie, może już „po tym" zdołałby nawet żyć jakoś górnie, godnie i nadludzko. Odkrył, że właściwie zupełnie nie gotowy jest do tego, co go czeka. Kora nie zna jego całej prawdy, on ją oszukuje, ukrywa przed nią prawdziwego siebie, tego, który pół życia spędził w obmierzłej pustocie i ozdobnych, rozkosznych brudach. Jakże jej powiedzieć? Wszystko? Niepodobieństwo! Nagle błysnęła mu myśl szczęśliwa. Zniszczy portret Narcyzy. Pokraje go na kawałki, spali. Chwycił się tego z uporem, pełnym szczęścia. Ta myśl, godna dziecka, wydawała mu się jedynym wyjściem z okropnego kłopotu. Cieszył się, a czuł, że dzieje się z nim coś niesłychanego. Nie dowierzał sobie. Nie wiedział, co powie i co uczyni za chwilę. Kora wciąż z uwagą oglądała obrazy, którymi zawieszony był salonik, i zdawała się zapominać o jego istnieniu. Co uczynić, kiedy nareszcie obejrzy wszystko, co tylko jest, i zwróci się do niego?

Po raz pierwszy odczuwał strach przed Korą. Był przekonany, że już wie wszystko o Narcyzie i że widzi go na wskroś w całej jego prawdzie.

I nawet nie spostrzegł, że odtąd Kora staje się nadludzką i wszechwiedzącą, że przestaje być upragnioną kobietą, a unosi się przed nim, jak niepojęte i niedoścignione bóstwo.

Jego upór, wola, żądza walki o swoje życie i szczęście zamilkły przed czymś ogromnym, co zbliżało się do niego, jak z dala biegnąca fala powodzi. Jak wobec bliskiej, nieuniknionej śmierci, gasły barwy życia, ziemskie rachuby, ziemskie zwyczajności. Najgorętsze pragnienia odpadały. Stawał wobec Kory, jako mający umrzeć — przed umarłą. W tej chwili czuł się jej godnym. I ośmielał się pomyśleć: — ona mnie kocha...

Rozmowa ich była o obrazach, o sztuce. Zaprowadził Korę na czwarte piętro do pracowni. Dziewczyna nie mogła się oderwać od obrazów. Pokazywał jej wszystko: szkice, studia, pootwierał wszystkie teki, objaśniał.

Kora zachwycała się wszystkim. Bogate, wymyślne urządzenie pracowni, dywany, kwiaty, obrazy, przepyszny widok z okna na miasto, a zwłaszcza tchnienie czegoś nowego, dalekiego od powszedniości życia — atmosfera sztuki...

Odurzało ją to. Stała się wesoła, radosna. Zaśmiały się jej smutne oczy. Zmieniła się cała w jednej chwili. Stała się piękna.

— Jakiż pan szczęśliwy! Zamknąć się tutaj, w tym pięknym, własnym zakątku i żyć tylko dla sztuki... Wyobraźnia, tworzenie, barwy... A tam w dole miasto... Daleko, daleko do ludzi! Gdzieś tam walki, brudy, krzywda, okropności. Nie wiadomo, czy tak należy... Czy wolno być aż tak szczęśliwym? Ale pan o tym nie myśli, więc cóż panu? Pan nie winien. Mnie, nam nie wolno ani tak czuć, ani tak

żyć! My i to potępiamy. W zasadzie uznajemy sztukę, przecie my nie barbarzyńcy, ale właściwie w naszych czasach taki egoizm, własne szczęście, wszelka rozkosz — to chyba zbrodnia... Pan temu nie winien, taki już świat. Ale ja w tej chwili zdradziłam wszystko! Taka straszna, szalona pokusa! O panie...

Siewierski stał przed nią zasłuchany, zapatrzony... I budziła się w nim jakaś nadzieja. Na tle ponurości i zgrozy już świtały zarysy własnego, serdecznego szczęścia. Jeszcze nie wierzył, bał się łudzić, udawał, że nic nie widzi.

Ktoś najpierwszy, jedyny i najdroższy na świecie kona w jego oczach. Za chwilę już go nie będzie, bo nie ma sposobu ani ratunku. Już musiała się dusza pogodzić ze śmiercią. Jak darowane z łaski są te ostatnie chwile, ostatnie żyjące spojrzenia. Niczego nie pragnie serce, jeno jeszcze tych paru minut — w nich jest wszystko, całe szczęście. Niechże trwa chwila, niech się napatrzą oczy aż do bólu, aż do zapamiętania. Póki nie skona — cała wieczność... I nic ponadto...

Zbliża się do konającej, pochyla się nad nią mądry lekarz. Zdumienie i radość na mądrej twarzy. W spojrzeniu umierającej pierwsza iskierka, pierwszy zgrozą przejmujący, tajemny znak. Z dala szybko nadlatuje skrzydlaty zwiastun. Za sekundę, natychmiast zagrzmi jego potężny, radosny okrzyk: Ona żyje! Będzie żyć!

Udawał przed samym sobą, że jeszcze nie wierzy w szczęście. Tłumił, gniótł, męczył własne serce, jak gdyby je trzymał w rękach. Tymi zaciśniętymi rękami bronił się jeszcze od zabójczej radości. Trwał w zachwyceniu, stojąc gdzieś na granicy życia i śmierci. Męczył się strasznie, ale nie śmiał poruszyć się, nie śmiał wymówić ani słowa.

... — Wiem, że nie mogę już nie zginąć, że to już nieodwołalne. Wiem, że chcę tego, tej śmierci chcę nade wszystko, pokochałam ją... I jestem o siebie spokojna, nie zawaham się... Ale zdarzają się momenty strasznego upadku! Jakieś chwilowe wrażenie... I uderza we mnie, jak piorunem, urok życia. Zbieram wszystkie siły, żeby się oderwać od złych myśli. O nie, to nie zazdrość! Niech ludzie żyją, niech będą szczęśliwi. Ja dla siebie już nic nie pragnę. Tylko strasznie mnie boli piękno. Piękna książka, muzyka, piękna przyroda, obrazy... Łzy mi stały w oczach, kiedym odchodziła od tej przecudnej pani, której portret wisi tam u pana na ścianie... Jak potężnie biła od niej pokusa życia! Zdawało mi się, że uśmiecha się do mnie, porusza ustami i szepce: żyj! Wszystko naokoło mówi do mnie, obracam się wśród dziwów i cudów. To bardzo męczy. Wyrzucam sobie, że jestem słaba — ale niechże pan sam powie: ja czekam już od trzech miesięcy! Bardzo się boję, że zwariuję. I to mnie jeszcze dręczy, że ponieważ się wszystko nie wiedzie, moi towarzysze mogą całą sprawę odłożyć na czas nieograniczony. Tego już

chyba nie zniosę. Będę musiała odebrać sobie życie. Smutny, marny koniec...

Niech pan nic nie mówi! Błagam pana! Pan jeszcze nie chce mi uwierzyć — ale niech pan wie, że ja już nie mogę żyć. Ja już umarłam — w chwili, kiedym się podjęła mojego czynu. To się już stało i nie odstanie się.

Pewnego popołudnia, w godzinach Kory, kiedy Siewierski po długim oczekiwaniu stracił już był nadzieję, żeby tego dnia przyszła, odezwał się dzwonek. Otworzył drzwi i skamieniał.

— Cóż to za spojrzenia? To mnie pan aż tak niecierpi? Pan chyba zwariował, panie Siewierski? Może mnie pan przecie raczy wpuścić do siebie? Nie możemy rozmawiać na schodach...

Siewierski skłonił się w milczeniu.

Pani Narcyza szybko minęła przedpokój i weszła do salonu. Siewierski gwałtem wydzierał się ze swego osłupienia. Zdawało mu się, że śni. Stała się bowiem rzecz zupełnie nie podobna do wiary.

Nie załatwił sprawy z kochanką, nie był u niej, nie napisał do niej ani słowa i, pogrążony całkowicie w wydarzeniach ostatnich dni, zapomniał o Narcyzie, — o jej istnieniu, o swoich obowiązkach względem niej. Było to wszystko takie małe wobec Kory...

I zdawało mu się, że Narcyza przestała istnieć. Kiedy ją ujrzał, przeraził się, jak gdyby zobaczył

upiora. Natychmiast zrodziła się w nim straszna nienawiść. — Ona śmiała tu przyjść... Bezczelna! Jak ona śmie teraz? Nie pomyślał, że pani Narcyza nie wie o niczym. To niespodziewane najście uważał za świętokradzki, brutalny zamach na swoje najdroższe tajemnice.

Trzeba było coś z nią począć, coś jej powiedzieć. Stał i milczał ponuro. Patrzył uparcie w okno, umyślnie odwracając oczy od Narcyzy. Czuł wobec niej wstyd, obrzydzenie i jakiś strach.

— Co to wszystko znaczy?

Na ten surowy i stanowczy ton Siewierski drgnął i spojrzał jej prosto w oczy.

Wydała mu się nienawistną, a zarazem jeszcze piękniejszą, niż zawsze. Nie widział jej od dwóch miesięcy. Po sezonie, spędzonym nad morzem, była opalona zupełnie na brązowo. Zielone oczy pałały gniewem.

— Jak ty śmiesz mnie podejrzewać? Jak śmiesz wierzyć plotkom? Jak śmiesz tak ze mną postępować? Nie pokazać się, nawet się nie zapytać!... Wolałeś od razu uwierzyć na słowo plotkarkom warszawskim, od których nawet na końcu świata nie można się uwolnić! Jakież to niesłychanie głupie...

W gniewie rzuciła się na kanapie. Ten jej gwałtowny, namiętny ruch, gniewny głos i pałające spojrzenie poskromicielki odurzyły go od razu. Szalony niepokój i jakiś niepojęty strach odebrały mu wszelką wolę i władzę myślenia. Czuł, że w

tej chwili rozstrzyga się dla niego wszystko. Wiedział, jak przez sen, jak przez mgłę, że natychmiast uczyni się, pomimo jego woli, jakiś bezprzykładny nonsens. Coś go pchało przepotężnie, brutalnie, drwiąc z jego rozpaczy. Ocknął się w nim dawniejszy człowiek. Zgasł i zapalił się znowu. Nie myślał, całą siłą nie myślał o czymś najważniejszym. Pochylał się nad przepaścią i przymykał oczy, ważąc się między rozkoszną straszliwą pokusą śmierci — a przeraźliwym strachem przed śmiercią. Czuł, że natychmiast spadnie. Czuł, że natychmiast się zbudzi ze snu. Chciał się obudzić i chciał śnić... Wszystko wolno we śnie...

Związały go jej przecudne, pałające gniewem oczy. Nie mógł się wydrzeć ich władzy. Było to coś potężniejszego, niż namiętność, coś gorętszego niż krew, coś piękniejszego, niż jej piekielna uroda. Stawały się jakieś rzeczy ostateczne, najgłębsze, najtajniejsze, które są ponad ludzkim wszystkim. Zawyła w nim rozkosz zatracenia, żądza ohydy, zdrady, podłości. Głębia jej złych, pałających oczu wciągała go w siebie...

Nagle drgnęło coś w tych oczach, zgasł wszelki gniew, uraza. Oczy stały się dobre, żałosne, proszące — i Siewierski opanował się natychmiast.

— Nie, pani. Nie wiem o żadnych plotkach. Zaiste, zachowałem się wobec pani tchórzliwie, bardzo niegrzecznie. Ale przeżyłem tyle, zmieniłem się tak zupełnie... Proszę mi wybaczyć... Cierpiałem bardzo i cierpię... Będę dla pani zawsze życz-

liwym, będę jej zawsze wdzięczny, ale musimy się rozstać...

— Ha, ha, ha!... Zakochanyś! Zakochany naprawdę! Naprawdę i do tego bez wzajemności! Siewierski, Siewierski cierpiący! Niesłychane, budujące! Boże, jakież to komiczne.

Piękna pani zanosiła się ze śmiechu. Siewierski, nic nie mówiąc, wyszedł na balkon i patrzył bezmyślnie na ulicę. Za wszelką cenę pożądał teraz spokoju i samotności. Gotów był posunąć się do ostatecznego chamstwa w razie, gdyby Narcyza przyszła tu za nim ze swoim srebrzystym śmiechem. Czekał, aż sobie pójdzie precz. Z zimną, bezwzględną zawziętością gniótł i miażdżył jej piekielny, kuszący obraz, który mu stał jeszcze przed oczami. Instynkt ostrzegał go, że dopóki ona tu jest, wszystko jeszcze może się stać. Dusiła go nienawiść, a z bezmierną, rozpaczliwą trwogą nadsłuchiwał szelestu jej kroków.

Po chwili usłyszał głuche trzaśnięcie drzwiami. Przeszył go dojmujący fizyczny ból. Jeszcze raz szarpnęła się żądza i zgasła. Odetchnął z ulgą. Odwrócił się i spojrzał w głąb pokoju. Ze złotej ramy patrzała mu prosto w oczy znowu ona, uśmiechnięta, wyniosła, przepiękna.

Bez namysłu ruszył ku niej, mocno ujął za ramę, szarpnął ze wszystkich sił i oderwał obraz ze ściany. Kalecząc ramę i obraz, odginał nożem gwoździe. Odczepił blejtram, zdarł z niego płótno i pobiegł z nim na górę. W pracowni poszarpał

je w jednej chwili i wrzucił do kominka. Płótno zajęło się wesoło. Chciwie, szybko żarł ją płomień. Znikając wśród ognia, w ostatniej chwili jeszcze raz pożegnała go swoim wyniosłym uśmiechem, drwiącym z niego i z całego świata.

Na wpół zasłonięty wielkim płótnem, Siewierski siedział na wysokim stołku i pracował. Ogarniała go tajemna rozkosz tworzenia. Drżał cały w bolesnej lubości, ale ręka pewnym ujęciem trzymała pędzel. W głębokim skupieniu czekał na jakiś moment, chwytał go i dotykał płótna ostrożnie. Mienił się na twarzy. Odbijały się w niej: zaduma, wysiłek, zjawiał się przelotny uśmiech, który rozświecał i odmieniał jego ponure oczy.

Jak gdyby po raz pierwszy w życiu siedział u sztalugi, uwielbiał i podziwiał to, co się budziło i rodziło na płótnie pod jego ręką. Każda linia, każda plama była dla niego rozkoszną niespodzianką. Zdawało mu się, że dopiero teraz po raz pierwszy odgadł tajemnicę swojej sztuki. To, co czynił, wydawało mu się świętym i wiecznym. Korzył się przed pełną tajemnic sprawą twórczą, przez którą powtarza się na płótnie człowiek żyjący. Wsiąka w martwe płótno ludzka dusza z jej niezbadanym życiem wewnętrznym, z cierpieniem, szczęściem, z najtajniejszym marzeniem. Tam wyraźniej, niż na żyjącym prawdziwym obliczu, rysuje się istotna prawda człowieka. Wszystko wydobędzie na jaw nieomylna ręka artysty.

Wiedział, że obraz ten będzie największym i może ostatnim jego dziełem. Chciał, żeby bez zmiany i bez żadnego utajenia odbiła się tam cała prawda nie tylko tego, co widziały jego oczy, ale i to wszystko, co teraz czuł i przeżywał. Niech zostanie na zawsze ślad i pamięć tych spraw okropnych a nieznanych. Ona chce zginąć...

W to nie mógł jeszcze uwierzyć duszą. Wiedział to rozsądkiem, jakoś formalnie i niezupełnie. Ale ani na jedną chwilę nie pogodził się z ową widoczną koniecznością. Dopiero, jąwszy się pracy, marzył niejasno, jak przez łzy, że jej śmierć, jeśli nastąpi, nie będzie śmiercią zupełną. On do tego nie dopuści. Na tym płótnie zostanie jej obraz prawdziwy i wiecznie żyjący. Kora może zginąć — nie może zaginąć.

Odtworzy jej oczy, jej dziewicze rysy, całą jej młodzieńczość i nakaże jej żyć. Wetchnie w ten obraz wszystkie burze jej duszy, jej wielkość i okropne, zgrozą zdejmujące męstwo. Pokaże potęgę i siłę wiotkiego polskiego dziewczęcia. Przez oczy jej mówić będą jej rozmaite i zmienne spojrzenia, które znał i wszystkie zapamiętał.

Kiedyś, kiedyś — jeżeli, o Boże, ma się wszystko wypełnić — tych oczu pytać będzie o to, o co nadaremnie pytał żyjącej... Kiedyś wszystko mu powiedzą dziwne oczy. Kiedyś, może nazajutrz „po tym'' odpowiedzą mu nie po ludzku już, lecz po nadludzku, szczerze i po prostu, co ma ze sobą uczynić. Spojrzy Kora, nakaże mu: — żyj! Spojrzy zza grobu i powie: — pójdź do mnie. On usłucha.

Zdawało mu się, że od chwili, kiedy powziął swój zamiar i skłonił do niego Korę, odmieniło się wszystko w nim i wokoło niego. Zmieniła się Kora, stała się mniej tajemniczą i jeszcze bliższą i jeszcze wyżej uniosła się ponad wszystko. W jego myślach, w jego rozmowach z nią zapanowała pewna pogoda. Jeszcze nie pogodził się z niczym, ale już zaczynał coś w niej rozumieć. Zdawało mu się, że rozumie fatalną konieczność i tragiczną pogodę poświęcenia. Zdawało mu się, że odgaduje tajemnicę śmierci. Mógł jednocześnie patrzeć na uroki życia i widział urok w śmierci.

O śmierci rozmawiali najczęściej. W przerwach rozmowa toczyła się swobodnie, pogodnie, jak gdyby nie stało między nimi widmo zagłady. Ale podczas pozowania, Siewierski milczał, pochłonięty przez pracę. Zdawało się, że ujmując za pędzel, oddalał się od niej gdzieś w nieskończoność. Kora przestawała być istotą żywą, najukochańszą. Serce stygło, a wszystkie jego władze wytężały się ku zrozumieniu czegoś niesłychanie wielkiego, czego nie ogarnąć rozumem ludzkim, przed czym jeno pochylić czoło i ukorzyć się w niemocy. Wytężał całą swoją moc twórczą, porał się swoimi ludzkimi środkami, walcząc o nadludzkie.

Kora siedziała na otomanie i pozowała zwyczajnie, z prostotą. Siewierski nie narzucał jej żadnego układu. Prosił o jedno — żeby mu zaw-

sze patrzyła prosto w oczy. W te jej oczy zagłębiał się z trwogą i po chwili już tonął, zamierał. Przeobrażało się w nim wszystko. Zatracał pamięć i świadomość siebie. Smutne i proste spojrzenie Kory pogrążało go w upojeniu, zabierało go całego w swoją władzę. Chwilami zdawało mu się, że ktoś inny, sprawny i przytomny, maluje za niego, jego własną ręką. Sam gdzieś się zapodziewał. Z zapamiętania budziła go skarga Kory...

— Proszę już przerwać. Tak jestem zmęczona...

— Przepraszam panią. Tak łatwo się zapamiętać przy pracy...

— Pana to musi bardzo męczyć? Wyglada pan przy robocie zupełnie inaczej niż zwykle. Zdaje się, że pan o tym nie wie, ale ja widzę wszystko.

— Zapewne wyprawiam miny, jak to się często zdarza malarzom, kiedy ich pochłania praca. Mam kolegę, który wyrabia z twarzą niemożliwe rzeczy zupełnie bezwiednie i zawsze rozśmiesza modela. I za każdym razem pyta naiwnie — z czego się pan śmiejssz?

— O nie! To co innego. Zdaje mi się, że pan właśnie powinien być takim, jak podczas pracy, że to pan prawdziwy. A ten, zwyczajny — to ktoś inny.

— A któryż lepszy?

— Żaden.

I Kora uśmiechnęła się figlarnie. Siewierskiemu zakręciły się łzy w oczach. Spojrzał na nią ze strasznym żalem i smutkiem.

— Co to panu?

— Nic. Boli mnie każdy twój uśmiech. Patrzę oto na ciebie. Przecież, na Boga, szalona, opętana dziewczyno — tyś stworzona do radości, do życia! Same usta ci się roztwierają do uśmiechu... Zdradzasz siebie i nie wiesz o tym.

— Ja zdradzam?

— Każdy powinien być tym, do czego go Stwórca powołał! Daną jest człowiekowi dusza — pełna tajemnic. Dane mu jest ciało, kształt, wyraz — a wszystko to widoczne, jawne. Ja rozumuję oczami i strasznie przenikliwie widzę. Ja znam ciebie! Zdradzają cię oczy, usta, ręka. Całą postawą twoją, — od stóp do głów, pożądasz wielkich, pięknych godów życia. Jesteś jak radosny, przeczysty strumień górski, w słońcu, w gwarze wesołych wód, w zapachu żywicznym lasów. I pomyśleć, że nagle znika ten strumień gdzieś pod ziemią, w ponurych, ciasnych czeluściach. Zwiedzałem kiedyś w Szwajcarii takie okropne przesmyki podziemne. Szedłem za biegiem strumienia. Kwiaty, słońce, kosodrzewina — aż nagle — czarna ściana skalista. Wszedłem z ciekawości za potokiem. Jakże okropnie było smutno! Zimny, ciasny grób...

— A ja nigdy nie widziałam gór. Ani morza nie widziałam. Pan pewnie bardzo dużo podróżował? Już nic nigdy nie zobaczę... Wie pan — czasami śni mi się taki krajobraz: wielkie szczyty górskie, śniegi, a w dole lasy i tuż szumi morze. Niebo błękitne, morze błękitne. I jeszcze lodowiec

biało-szmaragdowy, jak na obrazkach, wije się w dół i tonie w morzu. Czasami z tego lodowca robi się biały smok, który pije z morza, pije długo — wreszcie, nie podnosząc głowy, spojrzy na mnie z ukosa takimi złymi, wielkimi oczami. Robi mi się straszniq i budzę się. Ten sen prześladuje mnie od wielu lat... A teraz mi się znowu śni...

— Co?

— Jedna zła rzecz...

— Ale co?

— Nie powiem za nic w świecie! A co pan będzie robił, jak pan skończy mój portret?

— Będę malował pani sen: góry, morze i białego smoka — lodowiec. A pani będzie siedziała na skale, na pierwszym planie, ot tak w prawym kącie ramy i będzie pani w to wpatrzona — z profilu. I znowu będzie mi pani pozowała...

— Oj, żebyśmy tylko zdążyli...

— A... kiedyż... to... może być?...

— Nie prędzej, jak za jakie dwa tygodnie...

— Zdążymy.

— Chciałabym, żeby pan zdążył. Taka ciekawa jestem. Tak mi rozkosznie tu wysiadywać. Już zapomniałam o wszelkich względach. Przecie dzisiaj jestem u pana po raz trzeci, dzień po dniu... To coś zupełnie niemożliwego!

— Niech pani przychodzi już co dzień, zwyczajnie. Co tam już... Bądź hojną, po królewsku... Cóż ja mam na świecie poza tobą?

— Niech pan tak nie mówi. Pamięta pan, że

rozmówiliśmy się już szczerze i poważnie. Pan obiecał, że już nigdy? Jakże ja mogę do pana przychodzić? A tak mi tutaj dobrze, tak mi tu u pana cichutko i pięknie...

— Obiecałem i dotrzymuję słowa. Nawet pojęcia nie masz, jak to trudno dotrzymać... Ale i ty mi przyobiecaj i też dotrzymaj! Kiedy się będziemy widzieli... po raz ostatni... pozwolisz mi zadać ci jedno pytanie, a ty odpowiesz na nie zupełnie szczerze. Dobrze?

— Dobrze... — wyszeptała Kora i oblała się rumieńcem — tak się zdawało Siewierskiemu.

Ugiął się w bólu pod przeogromną jakąś radością, zahuczały mu w głowie jakby dzwony... W całej pracowni uczyniło się czerwono...

Jesienne zachodzące słońce uderzyło w szyby i zalało purpurą postać Kory. Stanęła, jak w ogniu, płonąca. Objawiła się złowrogo, przeboleśnie i pięknie, jak we śnie, jak już nie na tym świecie. Gdzieś na mieście biły dzwony i przypominały o czymś ostatecznym i niecofnionym, do pracowni cicho, nieznacznie wpełzał smutek jesiennego wieczoru.

— Panno Koro — usiądź jeszcze na jedną chwilę! To zachodzące słońce wywołało w tobie coś nieludzko pięknego. Ja to muszę zrozumieć. Muszę cię oddać właśnie taką. Ulituj się nad malarzem...

Kora posłusznie usiadła. Siewierski pochwycił pędzel i paletę, ale zaledwo spotkał się ze spokojnym, czystym spojrzeniem dziewczyny, porwał się

i z jękiem, szlochaniem, mówiąc i wołając coś niezrozumiałego, padł u jej nóg i wił się w bólu.

Kora, przerażona, zerwała się z otomany. Dziewczyna na wpół dziecinnym odruchem chwyciła się za głowę u skroni i stała w osłupieniu.

Na próżno usiłowała coś zrozumieć z tego, co mówił. Z wrażenia nie mogła wymówić ani słowa. Po chwili, z przerażeniem w oczach porwała się i uciekła, nie oglądając się za siebie.

Siewierski leżał twarzą na dywanie z ramionami rozciągniętymi na krzyż i słuchał bicia dzwonów, które wyraźnie i uroczyście przemagały głuchy gwar miasta i wciąż powtarzały jedno i to samo tajemnicze i niecofnione słowo.

Pewnego razu Kora przyniosła ze sobą paczkę, zawiniętą w gazetę, i zaraz po powitaniu prosiła go o przechowanie jej w ciągu kilku dni. Były to jakieś dokumenty wielkiej wagi, które musiały leżeć w miejscu bezwzględnie bezpiecznym, „czystym'', jak się wyraziła Kora. Siewierski wziął do ręki paczkę. Dokumenty partyjne wydały mu się dziwnie ciężkie. Domyślił się, co by to mogło być, i spytał, jak się należy z tym obchodzić. — O, to nic, — odrzekła Kora, — nie ma tam nic osobliwego, trzeba tylko strzec od ognia. To się nie boi żadnego wstrząśnienia. Zwyczajna bawełna, trochę metalowych kawałków — takie ot graty z naszego laboratorium. Ale w razie rewizji, odpowie pan porządnie — ciężkie roboty.

Siewierski był dumny z zaufania, którym go obdarza partia. Ta paczka zdawała się zbliżać go do Kory i do jej tajemniczego świata.

Kora była roztargniona, nie mogła mówić, pozowała źle. Ciążyło jej coś, chciała coś powiedzieć, zaczynała i milkła. Zdenerwowanie jej udzieliło się natychmiast Siewierskiemu.

Pracować nie mógł, przeczuwał coś złego. Długo hamował się, pomny na obietnicę, pamiętając swój wybuch sprzed kilku dni. Wreszcie spytał głucho.

— Powiedz już wszystko! Czy to... już?

— Ach nie... — westchnęła. — To tylko kłopoty. Strasznie głupie kłopoty, irytujące w najwyższym stopniu. Od tygodnia nie mogę się spotkać z pewnym człowiekiem, z którym muszę się porozumieć w niezmiernie ważnej sprawie. Szukamy się nawzajem... Te wieczne, przeklęte ostróżności! Powiem panu wszystko. Rozporządziłam się samowolnie, nie pytając pana. Tak ufałam w pana nieskończoną dobroć dla mnie! A teraz się bardzo boję. Bo ten człowiek, towarzysz, ma tutaj dzisiaj przyjść. Przepraszam, przepraszam! Zrobiłam to w chwili strasznego zdenerwowania — już nie mogłam czekać dłużej! Bardzo pana przepraszam... To człowiek niemożliwie, pedantycznie ostrożny, on panu nie sprawi żadnego kłopotu...

Siewierski odetchnął z ulgą.

— No, tylko tyle, co za szczęście. Po co mnie pani przeprasza? Czyż ja obcy? Moim domem

niech pani rozporządza zupełnie. Dziękuję pani za zaufanie...

— Jaki pan dobry! A wie pan, że w ten sposób staje się pan naszym sympatykiem? Co za zdobycz dla rewolucji!

— Cóż to znaczy „sympatyk''?

— Pan nie wie? To taki, co dopomaga ruchowi z ubocza. Tacy dają mieszkania, pieniądze, ukrywają nas, pośredniczą. Tacy bardzo często odpowiadają za nas, wielu ich za nas siedzi po więzieniach, a my ich niemożliwie wyzyskujemy. Ale ja nie pozwolę pana wyzyskiwać...

— Ależ owszem! — śmiał się Siewierski.

Zastukano do drzwi trzy razy. Siewierski spojrzał na Korę pytająco. Kora zbladła, rysy jej się ściągnęły. Pociemniałymi oczami spojrzała ku drzwiom, jakby w strachu.

— Ja mu otworzę sama. I niech pan odwróci portret... Nie chcę, żeby widział...

Siewierski odwrócił płótno do ściany. Wszedł człowiek wysoki, szczupły i kościsty o nieprzyjemnym, nieufnym spojrzeniu. Nie zdejmując kapelusza i nie przedstawiając się, przywitał się z Siewierskim, prawie na niego nie patrząc. Kora odprowadziła gościa ku oknu i zaczęła szeptać coś gorączkowo.

— Przeszkadzam państwu...

— Owszem, zostawcie nas samych na jakie dwadzieścia minut, — rzekł towarzysz, spojrzawszy na zegarek. — Nie mam więcej czasu — rzekł do Kory.

— Ależ zlitujcie się, ja nie mogę tak... Chociaż z godzinę... Tyle mam do powiedzenia!

— Nie mam czasu. Wiem, co tam macie. Nic ważnego.

Głos towarzysza brzmiał szorstko, gniewnie. Siewierski już ode drzwi spojrzał na Korę. Ujrzał jej rozszerzone oczy i twarz, jak u wystraszonego dziecka.

Spojrzał na zegarek i chodził wielkimi krokami po salonie. Szalona nienawiść i zawziętość wzbierała w nim przeciwko temu nieznajomemu człowiekowi.

— To jeden z tych, co ją namówili, a teraz ją pchają i dręczą. To najgłówniejszy herszt, co ją posyła na śmierć. Prawdziwy kat — taki się nie zawaha. Co za oczy, co za bezecna hardość! Taki bez żadnego wzruszenia zamorduje własnego ojca, jeżeli mu stanie na drodze. Prawdą jest, co piszą o rewolucji: to obłęd i zbrodnia. Kora jest obłąkana, a ten — to zbrodniarz. Co ona — ona robi między tymi ludźmi!

— Jak oni śmią tak ją traktować! Drab partyjny... Co za chamstwo wobec bezbronnej, skazanej dziewczyny! Przecież on wie o wszystkim! To zwierzę rewolucyjne...

Odliczywszy ściśle dwadzieścia minut, Siewierski poszedł na górę. Biegł po dwa schody, śpesząc się, jak na ratunek. Wiedział, co zrobi. Dosyć tej

rezerwy i szacunku dla tajemnic! Czas uczciwie, po męsku wejść w te sprawy. Jeżeli ten ośmieli się przy nim traktować Korę po swojemu, to będzie chryja. Niech będzie! To jej nareszcie otworzy oczy! Niech się na niego gniewa, niech z nim zerwie i niech tam będzie, co chce. Ale to wyrwie Korę spod oczarowania zwyrodniałego zbrodniarza... Powie wszystko! Sprawi, że go nie będzie słuchała, nie będzie patrzała ze strachem, jak bite dziecko, w jego katowskie oczy...

Zastukał raz, drugi i wszedł. Tamtego już nie było. Kora stała odwrócona do okna. Rzuciła na niego przenikliwe, obłąkane spojrzenie.

— Ach, to pan! Tak strasznie jestem zdenerwowana! Tak mi jakoś było okropnie... Dobrze, że pan już przyszedł. Teraz mi już dobrze, bardzo dobrze... Z panem tak mi spokojnie!

— Jak pani może pozwolić, żeby ten człowiek obchodził się z panią w ten sposób? Jak on śmie...

— Ach! panie Siewierski! To tylko taki ton! To w gruncie ogromnie dobry człowiek, łagodny, czujący...

— Pani ze mnie kpi? Wolne żarty... Przecie dość spojrzeć...

— Nie, nie dość spojrzeć. Jego trzeba znać. Ja go dawno, dawno znam.

— Wie pani?... Pani jest w zupełnej niewoli u tych, tych...

— U jakich znowu tych? To są moi towarzysze, ludzie mądrzy, najlepsi, o wielkich duszach, mężni, ofiarni...

— Ha, ha... Mężni, ofiarni... Wielkie mi męstwo namówić i opętać taką młodą panieneczkę, pchnąć ją, a samym zostać w całości... Ha, ha... Męstwo moderne całkiem.

— Jak panu nie wstyd? Co pan wie o naszych ludziach? Co pan wie o tym, który się panu tak nie spodobał? Jak panu nie wstyd! Gdyby nie tajemnica, gdybym panu mogła opowiedzieć, czego dokonał ten towarzysz i wiele razy życie narażał... Pan wie, że on zginie na pewno? Pan wie, że jemu samemu to jest wiadome najlepiej? Jego chwile policzone, ścigają go, jak wściekłego psa, osaczony zewsząd, niepewny każdego kroku, każdej chwili... A tyle ma spraw na głowie, musi myśleć, kombinować najtrudniejsze rzeczy... On nie ma czasu na grzeczności... O, cóż za niegodziwa niesprawiedliwość!...

Kora spojrzała na niego z goryczą i odwróciła się urażona.

— Daruj mi. Daruj mi, bo nie mogę patrzeć, jak giniesz... Nie mogę...

— Ja nie ginę. — Ja walczę! Niechże pan będzie mocniejszy i mężny. Przecie pan mężczyzna? Nie może pan nawet patrzeć na ludzi walczących? To wstyd...

Siewierski podniósł na nią oczy i patrzał długo. Twarz zapłonęła mu wstydem i pobladła natychmiast. Zdawało mu się, że dopiero w tej chwi-

li nareszcie coś zrozumiał. W tym momencie okropnego swojego wstydu poznał, jaka przepaść dzieli ich od siebie, jak marnym musi się wydawać on, mężczyzna — Siewierski, „głośny i ceniony'' malarz — tej cichej, straszliwie mocnej dziewczynie.

On, — który nie może nawet patrzeć na walczących... „Nawet patrzeć...''. Tak powiedziała.

Opadły liście, było już chmurnie, po nocach zdarzały się przymrozki. Czas biegł z dnia na dzień, szybko zbliżając się ku czemuś. W rzadkich chwilach rozwagi i zastanowienia Siewierski spostrzegał ten bieg czasu. Już gdzieś niedaleko rysował się ów dzień, czekający na niego z martwym spokojem. Ów dzień ostatni budził go ze snu w czarną noc jesienną, brutalnie i twardo podnosił go za włosy i szeptał: — to ja!

Siewierski zrywał się i długo wpatrywał się szeroko rozwartymi, osłupiałymi oczami w czarną noc. Wicher gwizdał i wył w nagich gałęziach, ostry deszcz siekł po szybach. W duszy biło, jak dzwon, przerażenie, a w mózgu zaczynały się harce obłąkanego myślenia.

Nie zobaczy jej więcej! Nie przyjdzie dzisiaj o swojej godzinie — ani jutro, już nie przyjdzie nigdy! Odeszła jak obca, bez słowa pożegnania...

Wyrastał w ciemnościach obraz jeden, drugi, następny. Kłębiły się wizje w obłąkanym, zawrotnym nieładzie. Jakaś zawierucha niosła w sobie

jego losy, rozproszone dni jego przyszłego życia, dalekie, stare, starcze lata. Przebiegał przed nim pusty, nieżywy czas, sypał się, jak potok śmiertelnej nudy. Trwało to godzinami.

Aż otrząsał się z osłupienia i już o świcie zasypiał twardo z jedyną myślą, która krążyła koło niego, kryła się chwilami, ale w tych ostatnich czasach powracała zawsze. Wiedział już, że nie przeżyje Kory.

Chciał, żeby to pozostało jego tajemnicą, krył się z tym przed Korą, owszem umyślnie snuł przed nią w długich rozmowach różne plany swoich przyszłych prac i jakichś dalekich podróży — ale w głębi duszy pożądał jednego, oto, żeby Kora domyśliła się wszystkiego, żeby, ginąc, wiedziała niezłomnie, że on pójdzie za nią.

Już od dawna przestał z nią walczyć. Stało się tak, że nawet pogodnie na pozór i zwyczajnie mówił z nią o jej śmierci. Nie wstydził się już niczego. Ich rozmowy były zupełnie szczere. Kiedyś zapytał ją:

— Musisz mną bardzo gardzić? To zrozumiałe. A ja czuję się przy tobie tak małym i nędznym, że znoszę ten okropny wstyd...

Kora zrozumiała go i oburzyła się.

— Pan nie ma prawa tak myśleć o mnie, ani o sobie. To zupełnie fałszywe! Czyżby pan nie rozumiał tych spraw? Dla mnie to takie proste! Ja wiem, że na wypadek jakiejś prawdziwej, wielkiej wojny, jak była w roku trzydziestym, jak to

było bodaj w sześćdziesiątym trzecim — pan pierwszy poszedłby. Biłby się pan i zginął, jak tylu naszych ojców. Wielka, sprawiedliwa wojna! Jakaś olbrzymia bitwa, gdzie tysiące idzie na tysiące! Tam pana miejsce. A naszych nowych walk, tej nowej, polskiej sprawy pan zupełnie nie rozumie. Nie rozumie pan i nowych sposobów... To wszystko ukryte, podziemne, ponure... Pan artysta, pana razi w tym jakaś brzydota. Dla mnie to jest piękne, mocne, trudniejsze, niż wojna. Ale my inni — pan inny. Cóż by to było, gdyby pan zmusił się i robił to, co my? Byłoby w tym tylko kłamstwo i żadnego pożytku. Ja zginę, a pan niech żyje. Może to przypadkowe spotkanie ze mną będzie dla pana dobre? Ach, tak bym tego chciała! Gdyby nie moja marna osoba, może by pan nigdy nie dotknął się tych spraw i nigdy by się nie przekonał, co się dzieje w głębi naszego życia, w tych masach, o których tyle strasznych kłamstw naczytał się pan po gazetach... Pan zanadto bierze do serca moje losy i widzę, że pan teraz bardzo cierpi. Ale to minie. Kiedyś zrozumie pan wszystko i stanie się pan w duszy większy, bogatszy... Ja w to wierzę i bardzo się cieszę, choć nie moja to zasługa — to ślepy traf, że pan spotkał kogoś z naszych.

Obiecywał, że uwieczni jej pamięć w swoich dziełach. Opowiadał bezładnie o jakichś olbrzymich, chimerycznych obrazach, o symbolach, które przemówią do ludzi swoją tajemniczą zgrozą i będą niepokoiły myśl i budziły dusze. Zapalało to Korę. Rozmawiali gdzinami o tych dopiero powstać mających obrazach.

Kora była zachwycona. Rozpromieniona i piękna, śmiało poddawała tematy, rysowała te obrazy. Oboje wpatrywali się duszą w to piękno, które rodziło się z nich.

Siewierski w upojeniu natchnienia rwał się do tych przyszłych prac. I gorzki żal wzbierał w nim na myśl, że trzeba będzie porzucić wraz z życiem i sztukę. Wówczas gasły świetne barwy wymarzonych obrazów, czyniło się wokoło szaro, czarno... Wśród samotnej nicości owej bliskiej, niepojętej śmierci wyrastała Kora, jak płomienny kwiat. W takich chwilach przestawał niejako odczuwać własne istnienie. Zanikał, tonął w bezgranicznym dla niej uwielbieniu. Patrzał na nią, słuchał jej ze śmiertelną, przebolesną rozkoszą.

— Ja, gdybym była artystą, malowałabym same krajobrazy i twarze ludzkie. A raczej twarze na tle natury. Dla każdego oblicza inny pejzaż — bo każda twarz ma własne odbicie... Nie wiem, czy to jest właśnie symbolem... Mnie się zdaje, że w takiej twarzy, w otoczeniu tego właśnie, co jest jakby obrazem jej duszy, można wypowiedzieć wszystko, wszystko, jak w najgrubszej książce... Tylko to bardzo trudne, niezmiernie, o wiele trudniej, niż w literaturze, gdzie można dużo mówić... Ale pan potrafi wszystko, pan, taki wielki artysta...

— Nie wiem... Nic nie wiem... Ale jeżeli coś

stworzę, to przez ciebie.

— Niech pan tak nie mówi...

— Dlaczegóż mam ukrywać? Mówię prawdę. Niechże między nami nie będzie żadnych ceremonii.

Kora roześmiała się.

— Dlaczegóż się śmiejesz?

— Z tych ceremonii. Przecież pan już od dawna mówi mi na „ty".

— Ja do ciebie mówię na „ty"?

— Ha, ha, ha... Wiedziałam, że pan nawet o tym zupełnie nie wie.

— Przepraszam cię bardzo...

— Znowu! Niech już tak zostanie. To dobre i jakieś ładne. U nas mówimy ze sobą na „wy" — ale to znowu nie pasuje do pana. Niech już tak zostanie.

Późna jesień.

Na kominku w pracowni co dzień gorzał ogień, potrzaskując wesoło. Siewierski wczesnym rankiem wchodził do pracowni i z zawziętym pośpiechem, z gorączką niecierpliwości brał się do roboty. Mnóstwo pomysłów i szkiców pochłonął ogień. Ocalały nieliczne, w których jasno poznawał to, co nieuchwytne i tajemnicze, zda się niewyrażalne unosiło się gdzieś w nieskończoności ponad nim i ponad Korą, co przewijało się między nimi, dzieląc ich i łącząc. To, co szeptało o cichej wieczornej godzinie, kiedy Kora siadywała

w milczeniu wpatrzona w ogień, nieruchoma, zadumana.

Długo, nieraz godzinami siedzieli, nie odzywając się do siebie. Nauczyli się znosić wzajemne milczenie; stało się ono dla nich rzeczą zwyczajną. O czymże mieli mówić?

Już mówili o wszystkim. Siewierski wyczerpał swoje dowody, podstępy, perswazje, błagania, łzy. Czekał teraz, co rozstrzygnie ślepy los, jakiś jutrzejszy dzień. Opadły mu ręce, opadła wola do walki. Milczał. I powtarzał sobie: — Przecie już wszystko jedno, bo i ja zginę.

A zanim zginie, upoi się aż do zatracenia bolesnym czarem Kory. Będzie go pił, jak truciznę. Nie odrywając oczu, będzie w nią patrzył, siedzącą przed kominkiem, zawsze smutną. Będzie zgadywał jej trudne, niedostępne myśli. Będzie je czytał w niespodziewanych, dziwnych poruszeniach rąk, kiedy je wyciąga przed siebie i grzeje przed ogniem, coś jakby odpychając, coś jakby garnąc ku sobie. Będzie je czytał w jej nagłych, szybkich a głębokich spojrzeniach, rzucanych na niego, i będzie wiedział, że nie dla niego są spojrzenia, nie dla niego jej myśli.

Potem przyjdzie, co ma być. Już go nic nie obchodziło poza bieżącą chwilą. Nikogo do siebie nie wpuszczał, pozwalając znajomym i kolegom gubić się w najfantastyczniejszych domysłach, nie odpowiadał na listy, nie załatwiał żadnych swoich interesów. Żył jak we mgle.

Nieznajomego towarzysza poznał bliżej. Dowiedział się, że go nazywają „Czarny'', widywał go u siebie kilkakrotnie, rozmawiał z nim i zawsze niezmiennie coś go od niego odpychało. W duszy nienawidził go za krzywdę Kory. Domyślał się, że to on sprawcą jej postanowienia i że on tylko swoim niewytłumaczonym wpływem rozegzaltował ją, oderwał od życia i pchał ją dalej ku zatraceniu.

W obecności Czarnego Kora przeobrażała się zupełnie. Stawała się uległą, prawie pokorną. Mówiła głosem przyciszonym, lękliwie. I zawsze patrzała w niego tymi samymi oczami wystraszonego dziecka. Czarny nie bawił nigdy dłużej, niż pół godziny, ale za każdym razem zostawiał po sobie coś złowrogiego. Kora stawała się podnieconą, dziwną, nieswoją, Siewierski był przygnębiony. Człowiek ten wnosił ze sobą nielitościwe, twarde przypomnienie czegoś strasznego, co zwykle zdawało się grozić skądś, z oddala, z dalekiego jakiegoś dnia, ale nie stawało do oczu w swojej żywej, realnej postaci. Jeszcze była w tej groźbie jakaś niepewność, względność i tysiące możliwości. Pozwalała ona przyzwyczaić się do siebie i jakoś czekać. Dopiero Czarny przynosił tę groźbę w jej całej okrutnej prawdzie.

Siewierskiemu zdawało się, że on domyśla się wszystkiego, co się w nim dzieje, i szydzi z niego. Przychodziło mu do głowy, że ten Czarny tajemnie kocha Korę i gubi ją rozmyślnie i świadomie, wiedząc, że nie posiada jej serca. Oskarżał

go o sprawy potworne i zawsze miał go w duszy za wielkiego zbrodniarza. Umiał na pamięć jego rysy i ich wyraz. W noce bezsenne wyrastał on przed nim w ciemnościach i drwił z jego miłości, z cierpienia, z całego tragizmu tych spraw i drwił z jego sztuki. Za każdym spotkaniem, Siewierski wyczuwał w nim spokojną pogardę ku sobie. Drażniło go każde jego słowo, każdy gest lub uśmiech tłumaczył sobie z ujmą dla siebie. Musiał panować nad sobą, żeby mu nie dać poznać swej nienawiści. Był grzeczny i dobrze wychowany. Ale nade wszystko pilnował, żeby Czarny nie dostrzegł portretu Kory i żeby się go nawet nie domyślał. Przed jego przyjściem, które za każdym razem było zawczasu zapowiadane, zasuwał portret w kąt, sprzątał szkice i kartony. Kora pomagała mu, gorliwie dbając o tajemnicę, i zdawało mu się że czyni to ze strachu przed Czarnym.

Nie mówili ze sobą nigdy o Czarnym. Człowiek ten przemykał się między nimi, jak złowrogi cień, ukazywał się, burzył ich spokój i znikał.

W listopadzie zaczął zjawiać się co parę dni. Pod wpływem tajemnych rozmów z nim, Kora stawała się na wpół nieprzytomną. Oczekując na jego przyjście, denerwowała się i chodziła szybko po pracowni, nie odpowiadając na pytania, nie patrząc na nic.

— Ona mnie nawet nie zauważa... — myślał z goryczą Siewierski.

A kiedy po skończonej konferencji próbował ją

zabawić i otrząsnąć z jakiegoś tępego zapamiętania, spotykał jej biedne, znękane spojrzenia i milkł w jednej chwili.

Pewnego razu w takiej właśnie chwili usiadł do pianina i zaczął grać Bethowena. Dotąd nigdy mu nie przyszło do głowy bawić ją muzyką. Grał długo. Zapadł zmierzch, potem ciemności i tylko ogień, dogasający na kominku, rzucał na Korę czerwone, mętne światło.

Jeszcze raz odgadł zza grobu stary Bethowen tajemnicę dusz ludzkich. Z mądrym, nadludzkim spokojem opowiadał dzieje obojga. Dumał wraz z nimi o ich losach niezwykłych, o straszliwym, zbliżającym się jutrzejszym dniu. Wraz z nimi żegnał życie, witał śmierć i mówił im o śmierci. Odsłaniał jej prawdziwe oblicze, to, które znają tylko umarli i mądrym uśmiechem swoim rozpogadzał zgrozę żyjących. Sprawił, że spoglądali na miłość, na wszelakie pragnienie, na urok i piękno życia, jak na wspomnienie swoich zabaw dziecinnych. Wznosiły się dusze ku nieogarnionej przestrzeni, gdzieś między gwiazdy. Z ciasnoty życia wyrywały się ku wyzwoleniu.

Pogrążali się w bezdennej głębi dzwięków i gdzieś tam już na innym świecie dopiero odnajdywali siebie. W radosnym zdumieniu wpatrywali się w siebie nawzajem i wiedzieli o sobie już wszystko. Witali się po długich latach rozłączenia i tęsknoty.

Tonęli w sobie duszą i nie mogli już oderwać się od siebie. Wiedzieli, że są już na zawsze razem, że nic ich nie rozłączy.

W długim, ostatnim akordzie Siewierski wsparł się palcami na klawiszach i spojrzał ku niej nareszcie. W pracowni było ciemno. Od kominka resztka żaru rzucała jeszcze słabą, ciemno purpurową łunę. Kora ukazywała się i gasła.

W ciemnościach, wśród martwej ciszy, długo jeszcze błądziły i konały ostatnie akordy. Jeszcze je słyszała dusza, jak przebolesne westchnienie czyjejś wszechwiedzącej, wszechczującej piersi. Siewierski wiedział, że w tej godzinie odbywa się i w nim ostatnia i niecofniona, jak śmierć, przemiana. Chłonął w siebie w każdym oddechu siłę i męstwo i czuł, że zniesie i podźwignie wszystko, co go czeka. Zapragnął trudu i znoju, ofiary i cierpienia. Zamarzył o ogromnych jakichś czynach. Uczuł w sobie bezmiar ukochania, bezmiar nienawiści. I po raz pierwszy zrozumiał naprawdę, dlaczego ginie Kora. Po raz pierwszy ukorzył się przed jej wolą. Ucichł w nim wiecznie jątrzący ludzki bunt, uśmierzyło się i zagasło niespokojne pragnienie miłości. Zaprawdę, spadła jakby łuska z jego oczu... Ujrzał cud i dostąpił łaski cudu.

Żar na kominie wygasł. Jeszcze z rzadka wypływała zaledwo dostrzegalna postać Kory. Nieuchwytnie majaczyła w głębi ciemności i znikała. Wreszcie utonęła po raz ostatni i już się nie wynurzyła.

Siewierski czekał w naprężeniu wszystkiej woli. Zapragnął ujrzeć ją jeszcze raz. Było ponad jego siły wyrzec się tego. Nie mógł znieść myśli, że znikła, że już odeszła na zawsze.

— Kora!!

To imię wybuchło w nim w nadludzkim okrzyku, który rozdarł mu pierś straszliwym bólem.

I wśród czarnej przestrzeni ujrzał na własne oczy, wyraźnie, jak w biały dzień — portret Kory. Ta druga Kora — Kora z portretu, patrzyła nań całą swoją duszą. W szczęściu i trwodze przymknął oczy przed niewysłowionym spojrzeniem jej wiecznie żyjących oczu.

Pierwszy śnieg. Wszystkie dachy białe, miasto stało się odświętne i wesołe. Przemocą wciska się do serca wesołość, pogoda. Coś zdrowego, pragnącego żyć i cieszyć się życiem, wiruje i migoce w niezliczonych płatkach śniegu. Odzywają się lata dzieciństwa i pustota zapamiętałych zabaw, rozkoszne grzebanie się w śniegu i gromada towarzyszy i małe drewniane saneczki...

Z wysoka, ze swojej pracowni, Siewierski patrzył na zaśnieżone miasto i poddawał się nieprzepartej pokusie jakiejś nadziei. Ten dzień dzisiejszy wróżył spokój i radość. W takim dniu nie staje się nic strasznego. Pierwszy młody śnieg zaciera stare ślady, z pierwszym śniegiem dusza oczekuje dobrej nowiny...

W przeczuciu czegoś niezwykłego, czego nie

śmiał się domyślać, ani nawet rozważać, odpędzając ustawicznie jakąś natrętną radość, która nie zawitała od niepamiętnych czasów, zabierał się do codziennej pracy.

Portret był skończony od dawna, ale Siewierski nie mógł się od niego oderwać. Codziennie spędzał przed płótnem długie godziny, poszukując w ukochanych rysach tego, co nie dawało się jeszcze uchwycić. Był to jeden jedyny jakiś niezapomniany moment, który przemknął się w oczach Kory i utkwił w jego duszy na zawsze.

Był to uśmiech młodości, życia i szczęścia, nieświadoma siebie wola do radości. Coś głęboko ukrytego i spętanego wydobyło się na jaw i przebłysło w smutnych oczach, rozchyliło usta w półuśmiechu. Na jedną chwilę.

Prawdziwa Kora, której nie znał nigdy, Kora — kobieta, ta, która ma oczy kochające i usta, stworzone do pocałunków, wydarła się na mgnienie oka spod przemocy swojego męczeństwa. Obejrzała się jeszcze raz na ziemię, drgnęło pod włosiennicą żywe ciało...

Ów cud nieuchwytny pragnął wypowiedzieć w smutnym obliczu Kory. Dobywał ze swej duszy wszystkie siły, modlił się do wszystkich swoich wspomnień. Wiedział, że nie poradzi tu sztuką. Nie poradzi aktorstwo malarskie, które potrafi udać wszystko, ani łatwe malarskie sposoby, ani owo jakieś nieuchwytne dotknięcie, to jakieś coś, ja-

kieś nic, które zawsze oszuka i złudzi widza.

Wierzył, że tylko wprost z duszy, w błogosławionym natchnieniu niewiadomej, czuwającej nad artystą potęgi zdoła to uczynić jego ręka. Do tej potęgi modlił się z pokorą. Opuściła go zwykła duma i odwaga w tworzeniu. Po raz pierwszy w życiu błagał kogoś o udział, o pomoc.

Wspomniały się młodzieńcze lata studiów, pierwszy dziewiczy podziw dla starego arcydzieła — sale muzealne — i dzieje dawnych wspaniałych czasów, kiedy jacyś ludzie wspaniali, jak bogowie, korzyli się przed Bogiem, zaczynając dzieło swego życia.

Stojąc z pędzlem i paletą przed obliczem Kory — wpadł w zachwycenie, jak wierzący przed cudownym obrazem. Była w tym duma i rozkosz, bo jego to było dzieło, było i ukorzenie się przed czymś tajemniczym i niedościgłym, co biło od płótna. Był w trwodze i niepewności, nie mógł postąpić kroku dalej. Czuł, że stanął na granicy sztuki, że to, co będzie dalej, już wkroczy w dziedzinę tajemnicy, którą nie można się będzie z nikim podzielić. Nie dostrzeże niczego, nie zrozumie tego widz. A choć przysięgał sobie, że nikt nigdy nie będzie oglądał Kory, w duszy pożądał dla niej czyichś zachwyconych spojrzeń i czyichś łez czujących.

Chciał, żeby kiedyś, kiedyś, już po jego śmierci, Kora budziła w ludziach podziw i trwogę i burzę trudnych myśli. Nikt nie odejdzie od niej obojętny.

Kiedyś stawać będą przed nią w zadumie samotnicy marzyciele. Jacyś ludzie znękani, z duszą pełną walki i okropnych własnych, najtajniejszych wspomnień, odetchną w obliczu jej przeczystego spojrzenia. Przed nią wypoczywać będą ci, których przez życie gna duszący wicher potwornych, nienasyconych żądz. Jakieś wielkie siły promieniować z niej będą. Niewiadomymi drogami, niepojętymi dla rozumu, będą się one przelewać w jakichś dalekich, obcych ludzi, którzy nic o niej wiedzieć nie mogą. Będą leczyć ludzkie serca, one będą natchnieniem przyszłych walk, przyszłych czynów, które podejmą dalekie, jeszcze nieurodzone pokolenia. W jej oczach, w jej uśmiechu odgadnie przyszły bojownik tę, która ongiś zwyciężyła śmierć i, odchodząc, pogodnym uśmiechem żegnała młode, rozpoczęte życie. Własnym natchnieniem pozna jej bohaterstwo, ciche i tajemne.

Kiedyś, w jakiejś przyszłej świątyni sztuki narodowej, w gromadzie obrazów starych i nowych, ona jedna tylko nie będzie dziełem kunsztu. Stanie tam, jako pomnik na chwałę duszy dawnego polskiego życia, jako widomy znak niewidzialnego. Będą ją ludzie nierozumieć, będą ją pomijać. Jakaś sztuka wielka, nowa, modniejsza, pociągnie tłumy. Ale w starej swojej szacie, w dawnym swoim języku przemówi Kora do kogoś — nie jako obraz, a jako nieśmiertelny, niezmienny duch. Albowiem ten, który ongiś zapełnił to płótno, nie patrzył na kształt, jeno w rozwartą przed nim du-

szę. I oddał, jako był czuł i jako zdołał, tę ogromną tajemnicę: nic więcej, jeno to, co dla człowieka niewidzialne.

. . . .

. . . .

Tak marzył Siewierski, stojąc przed płótnem w tej ostatniej godzinie twórczej, kiedy brak jeszcze jednego tchnienia, żeby dzieło ożyło — do wiecznego, nadludzkiego swojego istnienia.

W ciężkim trudzie szukał i pragnął. Gnębiła go męka niecierpliwości, gorączka pośpiechu. Ktoś go naglił, ktoś go ostrzegał, że mija jakaś jedyna chwila, że czas kończyć, bo nigdy już tej chwili nie odnajdzie. Podnosiła się ręka, opadała. Próbował, wahał się, bojąc się dotknąć pędzlem.

Czynił coś w zamęcie myśli, drżała mu ręka, łzy przesłaniały mu płótno. Wreszcie coś go jakby odepchnęło od sztalugi. Odstąpił o kilka kroków, spojrzał i nie wierzył oczom.

Gdzieś na samym dnie przesmutnych oczu Kory, na jej bolesnych dziewczęcych ustach, igrał, mienił się, wciąż znikając i wciąż wracając — niewysłowiony uśmiech. Portret był skończony.

Długo stał Siewierski, zapatrzony w podziwie, jak gdyby nie jego to ręki było dzieło. Z oblicza Kory wyzierało coś nowego, nieznajomego. Było to wyższe niż on, niż jego talent i siły. Wyrósł obraz ponad zamiar i ponad samo marzenie artysty. W duszy jego podniosło się proste i korne dziękczynienie.

Czuł się pod czyjąś potężną i łaskawą opieką. Wierzył, że w jego życiu musi się stać rychło, dziś, jutro niesłychanie doniosła odmiana. Poznawał w dziwnym, pięknym dniu dzisiejszym, w tym białym, zimowym poranku — swój wyroczny, przełomowy dzień, który człowiek raz tylko ma w życiu. Bał się jeszcze o czymś pomyśleć, nie chciał się niczego spodziewać. A z oddala już go dochodziły echa rozszalałej pieśni radosnej.

Stanął przy wielkim swoim oknie i patrzył na miasto. Tylekroć patrzał na nie i zawsze wiernie je lubił, a jednak dopiero w tej chwili po raz pierwszy poczuł w sobie ogromne, nierozumujące ukochanie wszystkiego, co ogarniał wzrokiem.

Jego wzruszenie było jakby nieosobiste. Ogarnęło go żywe i przenikliwe rozumienie tych ośnieżonych murów, wież i dachów i dalekiego widnokręgu, gdzie stały czarne lasy. Zdawało mu się, że stare miasto samo szepce coś i mówi — przypomina w gwarze dzisiejszego dnia dawne swoje i jego dzieje. Stanął przy nim cień ojca, cień dziada.

Wraz z nim patrzył na miasto tłum ludzi dawno pomarłych. Siewierski wiedział wszystko, co widziały ich oczy, czym drgały serca.

...Kiedyś, pewnego dnia zimowego, o poranku, sięgały stąd tysiące oczu hen poza miasto, za te lasy. Tego dnia od samego świtu stali ludzie na

tych opadających w dół ku Wiśle ośnieżonych dachach, na wieżach kościołów i sięgali za dalekie lasy wzrokiem, uchem, duszą. Spoza czarnego muru lasów, w mroźnym powietrzu szły ku górze pochyło siwe chmury prochowego dymu, biegł spoza lasów i przelewał się ponad miastem nieustający, głuchy grzmot dział. W niepewności i trwodze czekało miasto losów swoich.

— Tam się to działo, — myślał Siewierski, patrząc ku lasom Miłosny, poza Grochów. I sprawy owe ożyły w nim, jakby i on żył i był już sobą w tamtym dniu, o zimowym poranku.

Długo stał zapatrzony, nie mogąc się wyrwać z dziwnie przejmującego i do łez bolącego opętania.

Zdawało mu się, że jest dzieckiem i słyszy znowu opowiadanie zgrzybiałego dziadka dziwaka o wojnie.

Sędziwa starodawność i wiecznie i wiecznie żywa obecność tych spraw stanęła mu w duszy jak bóstwo nareszcie odgadnione.

Czasy, czasy...

W dali, spoza dachów sterczał las kominów fabrycznych i stał na tle nieba. Siewierski odgadywał już coś, odgadywał...

Z zadumy wyrwało go stukanie do drzwi. Była to ona. Nigdy nie przychodziła o tej porze. Od dawna nie oglądał jej przy świetle dziennym. Była zarumieniona od zimna, ośnieżona cała i promieniejąca radością.

— Panie, co za cudowny dzień. Przeczysty biały śnieg, całe miasto jak we świątecznej odzieży. Dzisiaj moje święto, święto! Tak mi ogromnie dobrze!

Jej radość udzieliła mu się natychmiast. Niepomny na nic, oddał się chwili. Zaczęli oboje szybko mówić, przerywając sobie nawzajem. Kora mówiła bez ustanku, jak gdyby mu chciała wynagrodzić długi szereg posępnych, milczących godzin, które spędził przy niej w ostatnich czasach.

— Co ci się stało, panno Koro? Tak się odmieniłaś cała? To dobrze! Niech tak będzie zawsze...

— Tak będzie zawsze! Zawsze! Zawsze! Co to znaczy! Dziwne jakieś słowo „zawsze''... Czas dla mnie nie istnieje. Nic nie istnieje, tylko jakaś radość. Ukochany, biały mój dzień! Uśmiech w każdym płatku śniegu! Miliardy uśmiechów! Pan myśli, żem oszalała? Chce mi się tańczyć, śpiewać! Chcę, żeby wszyscy ludzie byli szczęśliwi. I pan! Pan niech będzie najszczęśliwszy! Za co pan był dla mnie taki dobry? Niewarta byłam, same zmartwienia panu dałam, troska i nuda się za mną wlokła, wyzyskiwałam pana niegodziwie, zaprzątałam go moimi sprawami. Obrzydliwa egoistka! Ale niech pan tego nie żałuje. Dodał mi pan dużo sił, pozwolił mi pan przeżyć najgorsze czasy! To dobrze, że mi pan kiedyś zabrał ten nabój, bo bym już do tego czasu skończyła marnie. Komu innemu bym nie oddała, tylko panu. Pan wie? Z nikim

nie mogłam być tak szczera, jak z panem. Znam wielu ludzi kochanych, ale zdaje mi się, że pan jest jeden tylko na świecie, a ja druga i naokoło wielka pustynia! O panie Siewierski! Jaki to dziwny dzień... Tak bym panu chciała wypowiedzieć... Ot, z duszy coś sobie wydrzeć i podać ci i rzec. — Masz, masz, to ode mnie — dla ciebie... Ale nie umiem tego zupełnie wypowiedzieć. Wczoraj rozstaliśmy się tak smutnie, a dziś — święto! Chciałam panu nawet przynieść kwiatów — mimozy, ja straszliwie lubię mimozy, ale nie było w żadnym sklepie, mówili, że na mimozy za wcześnie, więc chciałam róż, ale okazało się, że zapomniałam w domu pieniędzy! Głupi traf! Więc panu przyniosłam tylko to. Proszę wybaczyć. Zielona jemiołuszka, ja ją też lubię, choć to skromniutkie badylki. Proszę przyjąć, kosztuje aż dwadzieścia groszy, znalazłam je przypadkiem w kieszeni...

Siewierski był oszołomiony jej gwałtowną wymową i tą nadzwyczajną wylewną dobrocią.

— Dziękuję ci za ten dar. Nie wiem, jak ci podziękować! W Paryżu jemioła jakoby przynosi szczęście, przynosiliśmy sobie nawzajem pour bonheur, pamiętam...

— Zupełnie o tym nie wiedziałam! A więc to samo przeznaczenie. Niechże będzie na szczęście! Na szczęście! Na szczęście całego życia!

Nagle spojrzała na swój portret i umilkła. Z jej twarzy znikł uśmiech i radość. Znikł rumieniec. Ze skupieniem, z brwią zmarszczoną, długo, długo wpatrywała się w siebie. Aż drgnęły jej kąciki ust i dwie łzy...

A potem smutny półuśmiech, niepewne, migotliwe spojrzenie — jak na portrecie.

— Ależ pan to od wczoraj chyba wszystko poprzerabiał? Ja nie jestem taka piękna! I ja tak nie patrzę! Ja nie mam takiej pięknej duszy, jak ona. Boże, jakież to przecudowne. Boli, boli, jak patrzeć! Pan mnie chyba zaczarował... Jak można aż tak okropnie... Tylko to nie ja — mała, słaba, zwyczajna...

— To jesteś ty! Tylko prawda i nic prócz prawdy...

— Skądże pan o mnie wie?

— Teraz już wszystko wiem.

— Nie mogę oczu oderwać, a boli mnie, gdy patrzę. Nie — nie mogę. Niech pan odwróci. Jeszcze raz spojrzę. Tak... A teraz już nie chcę nigdy widzieć. W głowie mi się przewraca Gotowa bym uwierzyć...

— Mnie musisz wierzyć. Nigdym ci nie mówił nieprawdy!

— Tak, tak... Chciałabym tyle, dużo jeszcze powiedzieć, a widzę, że już nie potrafię! Pan i tak wie, jak bardzo... Bardzo... ogromnie... Cóż jeszcze? Ach, muszę uciekać! Wpadłam tylko na chwilę, po drodze, śpieszy mi się bardzo. I tak się spóźnię, zwymyślają mnie. Ale nie mogłam się oprzeć pokusie. Pokusa... Pokusa... Panie Siewier-

ski! Proszę mi wybaczyć ten napad. Chciałam... Ja chciałam dzisiaj...

Mocno potrząsnęła go za obie ręce i wyrwała je natychmiast, zanim zdążył pochylić się nad nimi. Skoczyła ku drzwiom i popędziła po schodach.

— A więc dzisiaj o piątej? — zawołał za nią.

— Dzisiaj, dzisiaj... ha — ha — ha...

Jej śmiech zabrzmiał nagle i urwał się tak nagle, że Siewierski nie był pewien, czy mu się po prostu coś nie przywidziało.

Nie przyszła już dnia tego i nie przyszła nazajutrz. Ponieważ miał najsurowiej zabronione przychodzić do niej na Zielną, napisał list konspiracyjny, niepodpisany, nie mogący jej w niczym skompromitować. Żadnej odpowiedzi. Nie mogąc sobie dać rady, już w zupełnej ostateczności, poszedł do niej wieczorem. W oknie na trzecim piętrze było ciemno. Pan Lekszycki, urzędnik, z martwą twarzą, urzędowym tonem oznajmił mu, że sublokatorka wyniosła się przed tygodniem. — Dokąd?

— To mi nie wiadomo i to mnie zupełnie, że tak powiem, nie powinno obchodzić. — Po czym zamknął mu drzwi przed nosem.

Wówczas dopiero, kiedy już schodził na dół, podniosło się w nim ciche, jak widmo, przerażenie. Wówczas dopiero odgadł wszystko. — Przyszła pożegnać. Wiedziała, że już nigdy... Kiedyś miało się to stać i staje się właśnie teraz. A więc koniec — nigdy...

Szedł gdzieś szybko, nerwowo. Co jakiś czas przystawał nagle, albowiem wśród zamętu i zupełnej niemożności myślenia, zdawało się coś wyjaśniać. — Nie, nie! To zupełnie nie to... I biegł dalej, nie wiadomo dokąd, potrącając ludzi po drodze. Po jakimś czasie opamiętał się. Był daleko od domu, w dzielnicy nieznajomej, gdzie jeszcze chyba nigdy w życiu nie był. Wsiadł do napotkanej dorożki i wydobył drżącemi rękami jakąś złotą monetę, pięć czy dziesięć rubli: — Masz i wal, co koń wyskoczy! — Dryndziarz, oszalały z radości, zaczął prać szkapę. Jechał, trzęsąc się po niegodziwym bruku, w zgiełku i jazgocie roztrzęsionej dorożki. Świat wyglądał jak senny. Szkapa, wciąż ćwiczona batem, wierzgała i biła zadem o dorożkę, która odpowiadała głucho. Błoto z roztopionego śniegu chlastało na wszystkie strony.

— Był tu kto? — spytał w domu służącego.

Lokaj osłupiał. Nigdy jeszcze nie widział pana w takim stanie. Nieprzytomne, straszne oczy w białej twarzy, chrapliwy, głuchy głos.

— Słyszysz, psiakrew?! Po polsku do ciebie mówię...

— Nie, proszę pana, nie był tu nikt...

— Listu nie było? Gdzie ten list?!

— List? Aha, są dwa listy...

— Dawajże, na miłosierdzie boskie...

Porwał listy, spojrzał na koperty i jeden po drugim cisnął w twarz oszołomionemu słudze.

— Co to, kpiny? Łajdaku! Gdzie jest tamten list?

— Nie wiem, proszę łaski pana. Ale nic więcej nie było, prawdę mówię, jak pragnę Boga przy skonaniu!

Siewierski pobiegł na górę do pracowni. Było tu dosyć widno. Na dachach jeszcze się trzymał śnieg i świecił blado.

Nie rozbierając się i nie zdejmując kapelusza, w gotowości śpieszyć gdzieś każdej chwili, Siewierski zmuszał się do myślenia. Jeszcze wszystko było do uratowania. „To'' — jeszcze się nie stało. Kora żyje. Już wie, że ją zdoła uratować, wie teraz — dopiero teraz! — co ma jej powiedzieć. Ale gdzież jej szukać? Teraz, zaraz trzeba biec! Nie tracić ani sekundy — bo może za godzinę, może właśnie teraz — w tej samej chwili... O przekleństwo!

Wił się w bólu. Myślał z niezmiernym wysiłkiem, ale to myślenie jego było, jak gdyby bił głową o mur. Wiedział, że nie ma żadnej drogi do odszukamia Kory — chyba, że sama przyjdzie. — Już nie przyjdzie — mija szósty dzień od czasu, jak była.

Na sztalugach, w głębi zmroku, majaczył portret Kory. Siewierski zdjął go i, trzymając przed sobą oburącz, zbliżył się do okna. Przysunął płótno do samych oczu i patrzył.

— Gdzie ty jesteś? Kora! Gdzieżeś jest?...

Przy niepewnym odblasku śniegu blado i

martwo rysowała się ukochana postać. Na ustach uśmiech, ale oczy były zawarte i zapadłe, czoło sine...

Prosił ją cichym głosem: — Otwórz oczy, otwórz oczy, spojrzyj na mnie... — Wpatrywał się badawczo i czekał.

Ale Kora była niewzruszona. Zamarły jej oczy, zamarła cała. Tylko uśmiech na martwej twarzy szeptał o przedziwnym, dalekim, wiecznym ukojeniu.

— Trup! Trup!

Siewierski przeraził się własnym głosem. Blejtram wypadł mu z rąk. Potykając się pociemku, słaniając się, jak pijany, uciekał z pracowni. Bał się zostać sam na sam z obrazem Kory. Bał się spojrzeć i zobaczyć jeszcze raz to samo. Chciał wierzyć, że to złudzenie, przy niepewnym oświetleniu — ale bał się sprawdzić...

Chodząc po swoim gabinecie, rozumował logicznie, mówiąc do siebie głośno, dla łatwiejszego ujęcia kwestii. Chwilami zatrzymywał się przed lustrem i przekonywał się wymownymi gestami.

— ...Życie jej jest takie, że wszystko w nim zdarzyć się może. Któż to wie, jakie mogą być okoliczności konspiracyjne? Wykoleiło ją jakieś nadzwyczajne wydarzenie tego ich zatraconego partyjnego zamętu. Gdzieś ją posłali, czy co? Może ją szpiegują i ukryła się na jakiś czas? Spodobało się Czarnemu zabrać mi ją, więc ją gdzieś wysłał pod pozorem dobra sprawy i ostrożności...

Powinna mnie była zawiadomić Ale list mógł zaginąć. Wówczas, za ostatnim razem, była dziwna i niezwyczajnie dobra. Ale nieraz bywała dziwna i przedtem. Co jednak jest niezbitym i najpewniejszym dowodem, że „tamto'' jest zupełną niemożliwością, to fakt, że nie pożegnała się ze mną. To mi obiecała i poprzysięgła. Mówiliśmy o tym nieraz. Obiecała wysłuchać mnie — pozwoliła mi na ten ostatni raz mówić już wszystko bez żadnych zastrzeżeń. Dlatego hamowałem się przez cały czas. Obiecała mi powiedzieć wszystko o sobie i o mnie. Byłoby potwornością, nieludzkim okrucieństwem, odejść bez słowa pożegnania, bez ostatniego spojrzenia, bez podania ręki... A to przecie z jej strony niemożliwe! Niemożliwe? — spytał stojąc przed lustrem. — Tak jest, — zgodził się tamten.

— No widzisz! — odpowiedział dziwnie uspokojony.

Jego spokój był przejrzysty, cichy. Rozumiał swój niedawny niepokój, trzeba być kamieniem, żeby w takich sprawach nie wyjść czasami z równowagi, pamiętał nawet, że niepotrzebnie zwymyślał służącego.

Spokojnie i zwyczajnie zjadł kolację, przeczytał kuriera i czuł tylko niezmierną tęsknotę za Korą. Postanowił nie czekać na nic, tylko za pierwszym widzeniem się z nią wypowiedzieć przed nią wszystko, co czuje. Otworzyć całą duszę, a wówczas, kto wie?...

I znowu zaczęła się doń uśmiechać jakaś prosta nadzieja bez żadnych motywów. Nie liczył ani na traf, ani na żaden cud. Stała się dla niego oczywistą zupełna niemożliwość owej ostatecznej katastrofy.

Tej nocy dręczyły go złe sny. Wciąż plątał się koło niego Czarny z szyderczym uśmiechem. Znikał jak cień i ukazywał się znowu. W żaden sposób nie mógł go się pozbyć z pracowni.

Wara mu od portretu Kory! Nie zobaczy! Ale Czarny pcha się już zupełnie brutalnie, siła na siłę. Pchnął go Siewierski ze wszystkich sił i Czarny rozbił się o ścianę na najdrobniejsze kawałeczki — okazało się, że był cały ze szkła. Ale natychmiast ukazał się nowy Czarny i chciał też spojrzeć na obraz. Siewierski gonił go, chwytał, przewracał się z nim po ziemi, wreszcie resztką sił zaczął go dusić. Czarny rzęził i ucichł. Z triumfem spojrzał Siewierski na Korę. Ale cóż się dzieje? Stoi na sztalugach białe, puste płótno. Kora znikła. I w tej chwili uderzył go, jak obuchem w głowę, ogromny, głęboki, głuchy huk. Zatrzęsło się wszystko. Oślepił go przeraźliwy blask. I Siewierski zerwał się z łóżka.

Już wiedział, że Kora zginęła. Już wiedział, że pójdzie za nią.

Od rana puścił się na miasto. Kupił kuriera, ale „to'' jeszcze się nie stało. Nie dało mu to jednak ani chwili radości. — Nie wczoraj, to dziś. Nie

dziś, to jutro. Wszystko jedno — byle prędzej. Zbudziła się w nim niecierpliwość. — Prędzej, prędzej! — popędzało go coś. Biegał też za swoimi interesami, ażeby zdążyć na czas.

Właściwie miał tylko jeden jedyny interes. Ale we wszystkich składach broni żądano od niego upoważnień, dokumentów, poświadczeń. Nic nie pomogła nawet proponowana storublówka. Rusznikarstwo warszawskie było już w owym czasie ostatecznie sterroryzowane przez rewolucję i policję.

Zmordowany i wściekły po użeraniu się z rusznikarzami, wstąpił do dawnej swojej kawiarni, sam nie wiedząc po co. Ujrzawszy przy stoliku Pryczę, zaczepił go wprost.

— Słuchaj no, Prycza, ty jesteś spryciarz i frant. Pomóż mi, bo nie mogę sobie dać rady.

— Do usług.

— Daj no tu ucho, bo sprawa jest poufna. Potrzeba mi porządnego brauninga i nigdzie mi nie chcą sprzedać. Masz tu sto rubli i przynieś mi go zaraz.

— Wyglądasz jakoś nie bardzo wyspanie. To tej nocy tak ci się zachciało? Napij się lepiej ze mną. Angielskiej gorzkiej... Ta już niejednemu odmieniła okrutne idee.

— Prycza, nie bądź no zanadto dowcipny. Diabli ci do tego, na co mi rewolwer? A sprawa jest bardzo zwyczajna. Bandyci mi przysłali wyrok śmierci z trupią głową...

— Nie bój się nic. Jak przyjdą, dasz im po trzy ruble i po hecy. To przyzwoici ludzie. W ratuszu zaprzyjaźniłem się z jednym. Nazywał się tak po polsku i sympatycznie, Jasiocha (zupełnie jak krowa!). Powiesili go przed dwoma miesiącami, bo i on puszczał groźne encykliki z trupią głową. A w istocie chłop brał, co mu tam dawali, i jeszcze dziękował, a broni nawet nigdy w ręku nie miał. Czasami tylko maczał sobie w atramencie prawicę i z palców robił sobie na poczekaniu coś w rodzaju figi, czyli groźną „maszynę'', która, okazana z rękawa w sklepikach i ustronnych monopolach, wywierała ten sam optyczno-psychologiczny efekt, co i prawdziwa. Takich się boisz? Nie bój się nic, artysto-kamieniczniku...

— Prycza, kiedy indziej z przyjemnością posłucham twoich opowiadań z ratusza, ale na razie idź, bracie, i przynieś mi, o co proszę.

— Ej, Siewier... Przecie nie obełguj mnie do diabła... Czy to ja ślepy? Mówię ci, napji się, to ci przejdzie. A jak się chcesz upierać, to się powieś. Powroźnikom jeszcze wolno w Warszawie sprzedawać bez poświadczenia policji. Ja do tego ręki nie przyłożę — mówię ci po prostu.

— Prycza! Daj no ucho, bo sprawa poważna. Jestem w stosunkach z partyjnymi ludźmi. Na gwałt, natychmiast trzeba im jednej sztuki. Ogromnie, okropnie na tym zależy, żeby zaraz. Nie wiem, co to takiego, bo ja z daleka, ale podjąłem się i oni tam czekają. Mają kogoś dziś w południe

odbijać, czy zabijać, licho ich wie — ale to dla mnie sprawa honoru, a tu już dochodzi jedenasta! Przeklęte stosunki!

— No, no...

— Śpiesz się, na miłosierdzie boskie! Boisz się? Przecie w razie czego ja cię nie wydam. Jeżeli się boisz...

— Prycza się niczego nie boi. Ale na dwunastą nie zdążę.

— Zlituj się, wszystko przepadnie!

— Będę się starał.

— Gnaj, chłopie, gnaj, bierz dryndę, płać, co zechcą, masz tu sto rubli — masz jeszcze.

— Dosyć. Utrapienie z tą rewolucją! Siewier, kiedy się to wszystko uspokoi? Kiedyż brauningi przekują na lemiesze? Mam tu znajomego oficerka, pijaczyna to i czarna sotnia. Wezmę go ze sobą i on mi to załatwi. Oficerowi sprzedadzą.

— Daj mu, co tylko będzie chciał.

— Fundnę mu za jakie pięć blatów za fatygę. Więcej nie, bo się jeszcze spietra.

Siewierski był uszczęśliwiony. Nabrał Pryczę, takiego kutego franta! Już zapomniał o swoich troskach. Zdawało mu się, że on, cały świat i cała ludzkość zależą w tej chwili od tego, czy Prycza zastanie w domu oficera i czy oficer zechce z nim pójść...

Pił czarną kawę i z ożywieniem rozmawiał o czymś z jakimś dawno niewidzianym znajomym. Było mu w duszy lekko, myśl wiedziała o wszystkim i wszystko traktowała lekko i z pogodą. Ktoś najmędrszy i nieomylny oznajmił mu o niesłychanym, dopiero co dokonanym odkryciu. Świat i ludzie, wszystkie cierpienia i rozkosze ziemskie są tylko wstępem do prawdziwego istnienia. Dopiero teraz otworzyły mu się oczy, ale Kora wiedziała wszystko od dawna. Teraz ją rozumie, bo zrównał się z nią. Chciałby z nią pomówić o tych sprawach, ale doprawdy już nie warto. Skończone wszystko, co tutejsze, a reszta — tam. — Czekać na nią, czy też pójść przed nią? Najlepiej od razu.

Dziwne było tylko to, że w owych rzeczach tak niesłychanych odgrywają jakąś rolę Prycza wraz z nieznajomym oficerem. Właściwie od nich to jedynie zależy. Jest w tym jakaś zagadka, ale czyż można zrozumieć wszystko, co się odbywa w głupim życiu ciemnych ludzi.

Boć przecie kawiarnia pełna ludzi, kelnerzy, wnoszący na tacach różne frykasy, i wszyscy ci, którzy przechodzą i przejeżdżają za oknem, są to nieświadome cienie, które wymrą na różne dolegliwe choroby, a po jakich czterdziestu latach będą to za nich odrabiały nowe cienie nowych spraw, nowe czyjeś przez sen cierpienia i wysiłki... Ja jeden to zrozumiałem, a przede mną tylko Kora. Ach, jak to rozkosznie rozumieć wszystko...

Rozmawiał z ożywieniem z owym dawno niewidzianym znajomym, a myślał o swojej rozkosznej tajemnicy. — Prycza powinien nadejść lada chwila. Poczciwy chłop! I ów oficerzyna poczci-

wy... I wszyscy najpoczciwsi — tylko to zupełnie nie ludzie.

Za oknem przejechał powóz z furmanem i lokajem na koźle, obaj w cylindrach, a w powozie przepyszny siwy pan z przepyszną panią. Siewierski myślał: — Konie, to zwierzęta, które ciągną, ci na koźle — zwierzęta, co poganiają i służą temu dumnemu państwu, którzy też są zwierzętami i zupełnie nie wiedzą o tym, że są równi swoim koniom. Za kilkadziesiąt lat inne konie i inni lokaje wieźć będą inne państwa, — tamci też nie będą o sobie wiedzieli prawdy. Mógłbym to odkryć światu, ale nie chcę. Kora też nie chciała powiedzieć, nawet mnie. Takie jasnowidzenie prawdy zdarza się chyba raz na milion lat.

Nagle uleciały wszystkie prawdy i zostało tylko jedno. We drzwiach ukazał się Prycza z oficerem. Podeszli prosto do bufetu, pili i częstowali się nawzajem z pół godziny. Na ten czas wszystko zatrzymało się w miejscu. Siewierski uporczywie wpatrywał się w niesłychany jakiś, symboliczny obraz, który wyrażał i streszczał w sobie odpowiedź na odwieczne, wszechludzkie pytanie o życiu i śmierci. Był to jakiś czarny człowiek i jakiś człowiek w mundurze wojskowym. Obaj trzymali kieliszki. Przed nimi suto zastawiony stół, odmęt butelek i piękna podstarzała kobieta, spoglądająca na wszystko obojętnie.

— Gdybym to namalował, byłbym nieśmiertel-

ny na tej ich ziemi. Ale ja jestem naprawdę już nieśmiertelny, więc wszystko mi jedno...

Wreszcie Prycza zaczął płacić i wraz z oficerem poszli ku drzwiom.

— O Boże... On jeszcze nic nie załatwił... — Siewierski poczuł w sobie szaleństwo i furię. W okropnym zamęcie przeczuwał, że zaraz zrobi coś niesłychanego. Z rozpaczą widział, że to coś jedynego, co zostało mu przed chwilą odkryte, psuje się i rozpada jak sen. Za sekundę obudzi się i nic już nie będzie pamiętał...

Ale Prycza pożegnał oficera u drzwi i szedł ku niemu. Z miny nic nie można było wywnioskować. Prycza był jakiś zły. — Nic nie zrobił... — pomyślał z rozpaczą Siewierski.

— Nigdy nie podejmę się niczego podobnego. Cóż to, czy ja dostawca dla socjałów? Co oni mnie obchodzą? Rewidowali mnie po drodze dwa razy... Idę do tej kanalii i gadu, gadu, obchodzę z daleka. Ale ten się od razu domyślił: — Ja wiem, żeś porządny człowiek i polski eser. Dla ciebie kupiłbym nawet armatę. Ja też eser i to już od wtorku. Miałem w nocy „otkrowienje''. I zaczął wrzeszczeć w koszarach: „Dołoj samodierżawje!''. Ledwiem go uspokoił. Facet skończy niebawem na delirium tremens, ale na razie się przydał. Załatwił wszystko, jak się patrzy. Byleby tylko w przyszły wtorek nie miał nowego „otkrowienja'', bo jeszcze na mnie doniesie. Przyprowadziłem go tutaj, żeby mnie po drodze nie zaczepiały patrole. Widzisz, jak na mnie

patrzy ten drab z trzeciego stolika? Ja go znam z widzenia. Mina bezczelna, na pewno bojowiec.

Oczywiście wziął mnie za szpiika, pił z oficerem i t. d. Ogłoszą mnie dranie jedne — tak na oko, a potem do mnie który wygarnie po nocy. Byleby tylko bałwan trafił od razu.

Siewierski dziękował Pryczy, jak tylko mógł i potrafił i, wymawiając się pilnością sprawy, zabrał małą ciężką paczuszkę i poszedł, pełen nieprzebranej radości.

Śpieszył do siebie, żeby spełnić wszystko od razu. Bez namysłu i za jednym zamachem! Ale znalazłszy się w gabinecie, usiadł na chwilę na kanapie, żeby sobie coś ważnego przypomnieć. Potem położył się wygodniej. Potem usnął twardo, jak kamień.

Zbudził go przeraźliwy trzask, jakby mu piorun wypalił nad samym uchem. Ten trzask rozsadził mu głowę. Zerwał się i ścisnął się za skronie. Tętna biły na gwałt.

W pokoju było już ciemno, na mieście biły dzwony. Już piąta! Zaraz powinna przyjść. Pobiegł do pracowni i chodził wielkimi krokami. Nagle stanął, coś sobie przypominał. Myśl wydarła się z martwoty i ze straszliwą szybkością poleciała, jakby czerwonym wężem, pędziła, kołowała, skręcała się, zawracała, nie mogąc się zatrzymać ani na jedną sekundę. Jej drogi znaczyły się w bolącym mózgu,

jak ślad błyskawicy. Wodził się ze sobą, jęczał i niczego nie mógł się dowiedzieć.

Do opamiętania doprowadziło go czyjeś szeptanie. Podniósł głowę, szeptanie szło od strony, gdzie stał portret Kory. Nie wiedział, co mówiła. Zbliżył się, drżącymi rękami zaświecił zapałkę. Spojrzał i skamieniał.

Zapałka dopaliła się i boleśnie sparzyła go w palec. I w tej chwili dopiero obudził się naprawdę.

Już naprawdę wiedział, że Kora zginęła.

To ona sama powiedziała mu ostatnim swoim, jeszcze żyjącym spojrzeniem. Przy nim, w jego oczach umarła. Zbudziła go ze snu i zawołała do siebie. Chciała pożegnać! Pożegnała i odeszła. Już nigdy, nigdy, nigdy... Naprawdę nigdy...

Siewierski szeptał do siebie to jedno słowo. Powtarzał je wciąż, coraz powolniej, coraz niedołężniej. Aż ktoś niegodziwy i mocny dopadł go z tyłu i zdusił go w potężnych ramionach. Podniósł go do góry, okręcił błyskawicznie i z okropnym zamachem cisnął nim o ziemię.